

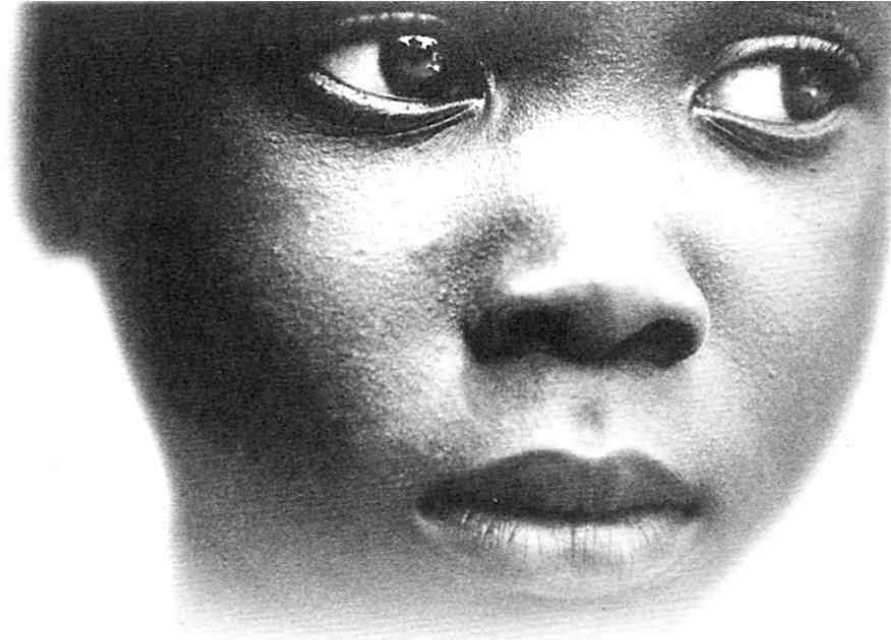
TOM DAVIS
ADANNA

Historia, która zmieniła świat

ZŁOTA EDYCJA



ŚWIĘTY PAWEŁ



TOM DAVIS
ADANNA



Historia, która zmieniła świat

Tłumaczenie
Agnieszka Rasztawicka-Szponar



ŚWIĘTY PAWEŁ

Nota od Wydawcy

Drogi Czytelniku,

historia, którą przeczytasz, częściowo jest oparta na faktach. Niektóre strony mówią o niewyobrażalnym dla nas horrorze. Niestety dla wielu to rzeczywistość. To smutne, że duża część naszego globu wciąż jest pogrążona w ciemności. Słowa z Pierwszego Listu św. Jana (1, 5) przypominają nam, że Bóg jest światłością i nie ma w Nim żadnej ciemności. Jeden z bohaterów książki, pastor Walter, nawiązuje do tego wersetu, pocieszając małą Adannę, gdy zastanawia się, czy Bóg rzeczywiście istnieje. „Boże, czy Ty istniejesz?” – takie pytanie rodzi się w zetknięciu z ogromem przemocy, biedą, śmiercią i cierpieniem, które dotyka tak wielu ludzi.

Niezliczone rzesze odpowiadają: „Tak, On tu jest... i jest światłem”. Pisarz i żarliwy obrońca dzieci Tom Davis maluje przed nami wzruszający obraz cierpienia i bólu, które dotyczą Afrykę. Ta historia przypomina nam, że mamy być światłem w tym mrocznym świecie.

Niektóre ze scen będą Cię prześladować, od niektórych fragmentów wolałbyś uciec – ale tak wygląda rzeczywistość. A taka rzeczywistość wymaga reakcji prawdziwych chrześcijan, potrzebna jest ich uczciwość i miłosierna miłość. Niech historia Adanny zainspiruje Cię i doda Ci odwagi.

Dziękujemy za przeczytanie.

*Don Pape,
Wydawnictwo David C. Cook*

Emily,
mojej najlepszej przyjaciółce od 17 lat,
oraz prawdziwej Adannie,
której historia dała początek tej książce.

Wstęp

Adanna

Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, zanim zasnęłam, to ból w moich wnętrznościach oraz myśl o tym, w co się ubiorę do kościoła. Na nic moje zmartwienia, bo i tak nie mam co jeść, a na sobie mam tylko szmaty. Dzisiaj jest Wielkanoc. Pastor Walter nazywa ten dzień Niedzielą Zmartwychwstania Pańskiego. Dniem nadziei.

Zastanawiam się, czym jest nadzieja dla ludzi z mojej wioski. Próbuję wyobrazić ich sobie, jak zmartwychwstają pełni chwały, tak jak mówi pastor. Niestety widzę tylko ich powykęcane ciała i kości sterczące pod ziemistą skórą. Nie zmartwychwstają. Leżą pod kopcami żółtej ziemi. Myślę o własnym marniejącym ciele, gdyż od kilku dni nie miałam nic w ustach.

Czasami zastanawiam się, dlaczego bogowie mnie nie lubią. Może dlatego, że jestem obdarta i brudna, niczym stara szmata. Mama i pastor powiedzieli mi, że „Wielkanoc to nowe życie”. Nasze życie jednak zupełnie się nie zmieniło.

Wychodzę przed dom i widzę przed sobą lśniąca drogę. Jest gładka niczym podarunek w złotym opakowaniu. Wołają mnie jakieś głosy, zaczynam biec, jedna noga nie nadąża za drugą. Głosy są piękne niczym chór zlewający się w doskonałą harmonię. Nigdy jeszcze nie szłam po tak gładkiej drodze. Zupełnie jakbym miała pod sobą taflę chłodnej wody. Drogi, które znam, są brązowe i wyboiste.

Przez moje zmęczone ciało przepływa jakaś cudowna energia, przywracając mi siły. Jak to możliwe, że czuję się jak w domu, doświadczając czegoś tak nieznanego. Tu jest jednak zupełnie inaczej. Cały horyzont aż błyszczący od olśniewających kolorów – fiolet, błękit i bursztyn tańczą niczym wirujące duszki. Skąpana w kolorach ziemia aż płonie.

Odwracam się i widzę rząd drzew wyższych niż wszystkie inne, które znam. Mogę kołysać się na ich gałęziach. Są tak wspaniałe, że mogłabym pisać o nich wiersze. Ich liście szeleszczą radośnie, a zwisające z nich jabłka wyglądają jak czerwone balony. Jedno z nich wystarczyłoby mi na cały tydzień. Tutaj ludzie nie zbierają księżycowych skał i nie umierają.

Zaschło mi w gardle, więc biegnę do rzeki. Jej wody lśnią niczym kryształ, a tafla jest tak doskonała, że aż boję się jej dotknąć. Nie mogę jednak się powstrzymać. Łączę dłonie i nabieram wody do picia. Wyciągam je z wody, a one nie są już szorstkie i popękane. Są gładkie, a nawet błyszczące. Mam nowe dłonie.

Z moich ust pragnienie przenosi się na każdą najmniejszą komórkę ciała. Skaczę. I przecinam tę wodę, zupełnie jak otaczające mnie kolorowe rybki. Płynę swobodnie, zapominając, że znajduję się pod wodą, robię wdech. I wbrew oczekiwaniom nie krztuszę się. Kolejny wdech unosi mnie w górę, a potem na brzeg.

Postrzępiona rana na moim ramieniu znika. Czuję się jak nowe stworzenie. Nie jestem już głodna i chora. Nawet moja poraniona dusza jest odnowiona. W oddali pulsuje cudowne światło, lśniąca i nieskazitelnie biała. Co może dawać tak ciepły i łagodny blask?

– Adanno.

Głos przypomina szum tysiąca potężnych rzek, huk grzmotu. Nie czuję jednak strachu.

– Kim jesteś? I skąd znasz moje imię?

– Podejdź bliżej, Adanno.

Podchodzę do emanującego blaskiem mężczyzny. Siedzi na złotym tronie. Z tego miejsca wypływa muzyka. Dookoła rozlewa się miłość, dając życie trawie i drzewom. Czuję, że zakorzenia się ona także w moim sercu.

– Czy jesteś władcą tego świata?

– Jestem. Zarówno tego, jak i wielu innych. Od dawna czekam na ciebie.

– Ale ja nie wiem, kim ty jesteś.

– Znam cię, Adanno – śmieje się – od dawna obserwuję, jak dorastasz. Z radością patrzę na chwile, gdy się bawisz, i cieszy mnie, że tak dojrzałaś. Moja miłość towarzyszy ci od zawsze.

Może on jest którymś z moich przodków.

– Nie jestem twoim przodkiem, ale ty należysz do mnie.

Jak to możliwe, że mnie usłyszał?

– Nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek się spotkali.

– Ależ tak, znamy się. Adanno, podejdź bliżej. Pragnę coś ci pokazać.

Ostrożnie idę przed siebie. On zaprasza mnie uśmiechem. Wyciąga ramiona i otwiera dłonie. Dostrzegam na nich jakiś napis.

– To moje imię, ale skąd ono tu się wzduło?

– Sam je zapisałem.

– Dlaczego?

– Bo kocham cię od zawsze.

– Ale przecież nie jestem kimś wyjątkowym.

– O Adanno, gdybyś tylko znała swoją wielkość. Musisz mi zaufać. Dzięki tobie świat ujrzy to, co powinien. Oto twój dar. Używaj go mądrze. On sprawi, że wyraźnie zobaczysz swoją drogę i zarazem ocalisz wielu ludzi z twojej wioski.

Wyciągnął w moim kierunku dłoń z białym zwojem, wykonanym z jagnięcej skóry i podał mi go.

– Dziękuję ci, Panie. Jestem niezwykle wdzięczna. Mogę zapytać, kim jesteś?

– Dowiesz się już wkrótce.

– A czy mogę tu zostać?

– Nie, nie teraz, lecz nadejdzie odpowiedni moment. Pamiętaj o jednym. Bez względu na to, gdzie się znajdziesz, będę przy tobie.

– Jak masz na imię?

– Wszystko, czego potrzebujesz. To moje imię.

– Nie rozumiem.

Rozwiązałam jedwabną wstążkę na pergaminie i rozwinęłam go. Otworzyłam oczy i zobaczyłam strzechę mojej chaty falującą na wietrze.

Rozdział pierwszy

Demokratyczna Republika Konga, Afryka, 1998

Dziesięć lat temu byłem umarły. Wszystko zaczęło się od Lou, mojego pośrednika z Alpha Agency, który zapytał:

– Stuarcie, co myślisz o wyjeździe do Konga? *Time* zbiera zespół, potrzebują dobrego fotografa.

Poprosił, więc pojechałem. Tak wtedy zarabiałem na życie. Teraz jest podobnie.

Miałem przygotować zdjęcia do fotoreportażu o wybuchu buntu, który wkrótce przeszedł w ludobójstwo. Niestety ani Lou, ani ktokolwiek z nas nie został wówczas wtajemniczony w jakże istotne kulisy całej sytuacji. Powinniśmy się jednak spodziewać takiego rozwoju zdarzeń. Bestialskie przykłady zachowań tych plemion nosiły przecież znamię rzezi, jaka rozegrała się pomiędzy Hutu i Tutsi w 1994 roku w Rwandzie. Wiedzieliśmy, że to, co się zaczęło, może przenieść się na cały kraj – jednakże zignorowaliśmy to.

Nasza praca polegała na uchwyceniu konkretnej chwili, bez względu na to, na co trafimy. A było to coś więcej niż tylko dziennikarskie śledztwo w poszukiwaniu prawdy. Oto zaistniała przed nami szansa wygrania jednej z bardziej niebezpiecznych rund – pogoni za zdjęciem do najbardziej prestiżowego konkursu.

Samolot wylądował w stolicy kraju, w Kinszasie. Obok czarnej rządowej limuzyny stał mężczyzna w mundurze polowym, a wokół niego sześciu ochroniarzy uzbrojonych w karabiny maszynowe.

– To musi być burmistrz i sześciu jego najbliższych towarzyszy rzuciłem do Mike’a, naszego sekretarza, przerzucając przez ramię moją ciężką, jaskrawopomarańczową torbę.

– Witamy w świecie, w którym nad niczym nie panujesz.

Mike po raz pierwszy brał udział w międzynarodowej misji.

I mogę przysiąc, że ugięły się pod nim kolana.

W skład naszego zespołu wchodziłem ja, Mike, który dołączył do nas z Holandii (pracownik ze szczebla kierowniczego *Time’a*, szukający mocniejszych wrażeń i pragnący na kilka tygodni uwolnić się od zdradzającej go żony), oraz Tommy, który miał zajmować się sprzętem.

– Witam w Demokratycznej Republice Konga. Mobutu, jestem burmistrzem.

Przedstawiliśmy się zgodnie z subtelnościami tradycyjnego francuskiego protokołu.

– *Bonjour, monsieur.*

– Niestety, śpieszę się. Muszę zająć się kilkoma ważnymi sprawami, ale tam czeka na was samochód. Straż zabierze was do Rutshuru, w północnym Kivu.

Wskazał na land cruisera, zaparkowanego przy budynku lotniska. Twarz burmistrza poorana była bliznami, z pewnością życie go nie oszczędzało. Jego prawy policzek wyglądał tak, jakby ktoś usiłował wyryć na nim literę „Z”. Lewe oko nieco zezowało, w związku z czym, nawet gdy patrzył rozmówcy prosto w oczy, miało się wrażenie, jakby zerkał przez jego ramię.

– Zdaje pan sobie sprawę, że tu jest bardzo niebezpiecznie – odwrócił się do mnie. – Rzykujecie życiem, nie odpowiadamy za to. Wciąż powtarzamy to reporterom, ale oni i tak nas nie słuchają.

Zrobił kilka kroków przed siebie, po czym jeszcze raz się odwrócił i pogroził nam palcem, jakbyśmy byli dziećmi.

- Słuchajcie strażników i nie zapuszczajcie się w rejony konfliktu.
- Dziękujemy za powitanie oraz pańskie słowa – odparłem. Będziemy o nich pamiętać.

Strażnicy kiwnęli na nas, żebyśmy szli za nimi. Tworząc uroczystą kolumnę, skierowaliśmy się do land cruisera.

Trwała pora deszczowa, o czym przypomniła nam popołudniowa burza, która trzaskając piorunami, przetoczyła się po okolicy niczym rozwścieczony tłum. Kiedy tak jechaliśmy w milczeniu, w pewnym momencie włosy aż zjeżyły mi się na karku. Dotarliśmy do wioski mającej służyć nam jako główna siedziba. Pośród małej grupki mieszkańców zajętych codziennymi obowiązkami, którzy wydawali się nie zważać na otaczające ich niebezpieczeństwo, znajdowali się zbici w gromady wysiedleńcy.

Zrobiłem kilka zdjęć. Kiedy tylko dzieci zauważyły mój aparat, oznaczało to koniec zajęć szkolnych. Otoczyły mnie niczym mrówki. Byłem na to przygotowany. Rozdałem im cukierki, tak szybko, jak tylko potrafiłem, i wróciłem do utrwalania owej traumatycznej rzeczywistości.

Słońce schowało się za drzewami i ciemność spowiła kryte strzechą chaty oraz prowizoryczny obóz dla uchodźców. Strażnicy wprowadzili nas na osobny, zamknięty teren, mający chronić nas przed wszelkim niebezpieczeństwem czyhającym w pobliskiej dżungli.

Usiedliśmy na betonowych bloczkach i delektowaliśmy się tradycyjnym afrykańskim posiłkiem, składającym się z kukurydzy oraz fasoli. Śmiałyśmy się na wspomnienie małp, które widzieliśmy po drodze, ciskających bananami w naszego land cruisera. Było zabawniej, niż być powinno.

I wtedy się zaczęło. Do naszych uszu dotarł świst pocisków, pustoszących wioskę od strony dżungli. Usłyszeliśmy krzyki. Te odgłosy aż zmroziły mi krew w żyłach. Upadłem, podczołgałem się do okna przedniej ściany chaty i wyciągnąłem szyję, żeby sprawdzić, co się dzieje na zewnątrz. Znajdujący się przy drugim oknie strażnik zrobił to samo. Wszyscy pozostali leżeli wbici w podłogę. Zerknąłem przez zabezpieczone zardzewiałą kratą okno, jasne błyski rozświetlały niebo, drogę i drzewa.

Chaty stawały w płomieniach, a kobiety wrzeszczały przeraźliwie. Widziałem przemykające cienie, zjawy wychodzące z ciemności niczym demony. Dostrzegłem pięciu lub sześciu żołnierzy okładających butami i kolbami karabinów młodą dziewczynę. Przestała krzyczeć, nie ruszała się, wtedy zerwali ubranie z jej poobijanego dała. Zaczęli ją gwałcić. Odzyskała przytomność i znowu zaczęła krzyczeć, błagając o pomoc, a oni ją bili, dopóki nie zakrzuszyła się własną krwią. Nie miała więcej niż szesnaście lat. Odwróciłem głowę.

Horror tamtej nocy nie był dziełem Boga. Żadnego trzęsienia ziemi czy tsunami. To było dzieło ludzi. Złych ludzi. Demonów w ludzkiej postaci.

Każdy kolejny oddech był wielką niewiadomą. Strażnicy krzyczeli, żebyśmy leżeli plackiem, podczas gdy pociski przebijały ściany i okna, roztrzaskując tynki i szkło. Otarłem słony pot, zalewający mi oczy. Był jednak gęstszy, niż powinien. Spróbowałem go. Krew. Strach wisiał w powietrzu. W malutkiej izbie słychać było płytkie oddechy i gwałtowne bidę serc. Pomyślałem o mojej ostatniej rozmowie z Whitney. Mojej ostatniej. Czy to była ostatnia rozmowa?

Poczułem obok rękę Mike'a. Odwróciłem głowę w stronę, z której dobiegł jego szept.

– Tak skończył jeden z moich kolegów w północnej Ugandzie. Rebelianci rozszarpywali każdego i wszystko, co tylko zauważyli.

Nikt nie przeżył. Te potwory wyznają zasadę, że konieczna jest zagłada wszystkiego, co się rusza.

– Dzięki za słowa otuchy.

– Zawsze wiedziałem, że umrę młodo.

Sięgnął do kieszeni i wyjął różaniec z drewnianych koralików.

– Należał do mojej matki.

- Nie jestem katolikiem.
- Ja także. Do dzisiaj...
- Zamknijcie się! – syknął jeden ze strażników.

Nasze twarze, karki i piersi złane były potem. W płaczu dzieci, ryku zarzynanych zwierząt oraz wrzasku bitych i gwałconych kobiet kryła się śmierć, tak rzeczywista i obezwładniająca.

Serce waliło mi niczym młot. Zerknąłem przez szparę między pustakiem a roztrzaskanym parapetem. Jak szarańcza z każdej strony wylewali się rebelianci, niszcząc po drodze wszystko, co żywe.

Mike trącił mnie łokciem w udo.

– Pamiętasz historię o afrykańskiej milicji, która zgwałciła grupę Amerykanów? Mężczyzn, kobiety, dzieci – nie byli wybredni.

– Macie być cicho – szepnął strażnik. – Przykłąknął na jedno kolano i wyciągnął broń. – Zamknijcie się albo was zastrzelę.

Tuż za drzwiami usłyszeliśmy wrzask jednego z rebelianckich dowódców. Potem nastąpił wystrzał i strażnik, który przed chwilą się odzywał, padł martwy wprost na mnie. Jego krew sączyła się po mojej szyi oraz prawej dłoni, a znajdująca się na niej obrączka z logo *Band of Brothers* zmieniła kolor na szkarłatny. Wrzaski na dworze stawały się coraz intensywniejsze; ludzie uciekali, krzyczeli i umierali.

Gdy nad naszymi głowami świstały pociski, przyłgnałem skulony do ściany, tuż obok Mike'a. Tynk sypał się na nas, aż w końcu nas przykrył. Usiłowaliśmy uczynić siebie niewidzialnymi, zwijając się w kłębki, niczym embriony, i chowając głowy w ramionach.

Tuż obok mojego ucha świsnęła kula, dzieliły mnie od niej centymetry. Przeczółgałem się na drugą stronę izby, próbując wydostać się z linii ognia. Nagle rozległ się ogłuszający huk. Nikt się nie ruszał, miałem wrażenie, że to trwa wieczność. Leżałem sparaliżowany strachem, a coraz głębszą ciszę przerywał od czasu do czasu krótki jęk lub szloch. Czekaliśmy i czekaliśmy, zastanawiając się, kiedy wreszcie będziemy mogli się podnieść i wydostać z wioski.

W końcu odważyłem się wyrzeć przez okno, przebiegłem wzrokiem spowity żółtopomarańczowym dymem teren w poszukiwaniu rebeliantów. Żadnych postaci, żadnego ruchu.

– Wychodzę – szepnąłem do Mike'a.

Nie odpowiedział.

– Hej, wychodzimy. Słyszysz?

Trąciłem go łokciem w żebra.

– Mike! – chwyciłem go za marynarkę, próbując przyciągnąć do siebie. Na jego niebieskiej koszuli w okolicy piersi znajdowała się szkarłatna plama. Miał otwarte oczy. Zamarłem w chwilowym bezruchu, nie wiedząc, co robić. Po czym wyciągnąłem ze swojej torby aparat, podniosłem sprzęt Mike'a i zawiesiłem sobie na szyi.

Powietrze przenikał swąd palących się ciał. W oddali dostrzegłem poruszające się cienie, lecz w pobliżu ani żywej duszy. Na drodze i obok chat leżało kilka drgających stosów. O Boże, Boże.

Poszedłem w kierunku płomieni. Dookoła panowała głęboka cisza, poza przykrym dzwonieniem w moich uszach. Coś zmusiło mnie, żebym podszedł jeszcze bliżej. Zobaczyłem przed sobą porzucane części okrutnie zmaltretowanego ludzkiego ciała. Zwymiotowałem. Obok płonącego stogu siana leżało martwe ciało ciężarnej kobiety. Prawie nie przypominała ludzkiej istoty. Prawa noga była skręcona w nienaturalny sposób, ręka zwisała bezwładnie z barku, przytrzymywana jedynie przez pojedyncze włókniste ścięgno. Miała rozcięty brzuch, z jego wnętrza wylały się wnętrzności, wszystko się jeszcze ruszało.

Nic nie mogłem dla niej zrobić. Zupełnie nic. Podniosłem aparat do lewego oka. Klik. Klik. Obiektyw otworzył się i zamknął. Podszedłem bliżej, by uchwycić wyraz jej

twarży. Wnętrznosci parowały. Kolejne zdjęcia. W jej rozciąym brzuchu, pośród krwi i śluzu dostrzegłem twarz, maleńką twarzyczkę z zamkniętymi oczami.

Usłyszałem jakieś głosy. Coś się działo na końcu wioski. Nie myśląc, ruszyłem pośpiesznie w tamtą stronę, omijając zgliszcza i martwe ciała. Gromada rebeliantów znosiła w jedno miejsce ciała zamordowanych przez nich mężczyzn i układała je w piramidę. Rzucając na stos kolejne zwłoki, śmiali się szyderczo i pluli na zmarłych; świętując swój triumf, popijali w międzyczasie whisky. Strzelali w powietrze. Dookoła płonął ogień. Scena z piekła rodem. Jeden z mężczyzn wdrapał się na dach, rozpiął rozporek i obsikał zmasakrowane ciała. A jego towarzysze klepali się po plecach, głośno się przy tym śmiejąc.

Ustawiłem aparat i pstryknąłem kilka zdjęć, tak szybko, jak tylko mogłem. Ktoś podłożył ogień i piramida z ciał stanęła w płomieniach, stając się stosem pogrzebowym, a ja cały czas robiłem zdjęcia. Fotografowałem zmarłych, podczas gdy ich twarze topniały jak woskowe świece – mężczyzn, których jeszcze kilka godzin temu widziałem żywych, jak opiekowali się swoimi rodzinami. Dokumentowałem także dziką radość rebeliantów. I znowu poczułem mdłości.

Odwróciłem się i zacząłem iść, coraz szybciej i szybciej, po chwili już biegłem. Z każdym krokiem, coraz głośniejszym rozbrzmiewało we mnie jedno pytanie: Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Dotarłem na skraj ogrodzonego terenu i zobaczyłem Tommy'ego. Machał do mnie gorączkowo przez uchylone okno naszego samochodu. Ruszyliśmy gwałtownie. Za kierownicą strażnik, jedyny, który ocalał. Jechał niczym błyskawica, uciekając z tego piekła. Doprawdy to było istne piekło. Kiedy odwróciłem głowę, na siedzeniu za mną zobaczyłem ciało Mike'a. Wtedy coś we mnie pękło. Drżałem na całym ciele. Zacząłem głośno szlochać. Jeśli wydostaniemy się stąd żywi, przynajmniej odeślemy ciało Mike'a jego rodzinie – to była jedyna spójna myśl, na jaką potrafiłem się wtedy zdobyć. Zwrócimy Mike'a zdradzającej go żonie.

Rozdział drugi

Nowy Jork, 2007

Taksówka zatrzymuje się przy Madison Square Garden, od razu rzuca mi się w oczy duży, świetlny napis: „Witamy Gości International Press Association”. Biorę głęboki wdech i wysiadam z samochodu, zmuszając się do kolejnych kroków.

Drzwi rozsuwają się gładko niczym jedwab, odsłaniając trzy nakryte obrusami stoliki dla gości, gdzie mogą się wpisać i odebrać identyfikatory. Szeroki hol przyozdabiają srebrne i czarne balony. Pomiędzy gośćmi przemykają kelnerzy i kelnerki, serwując przystawki i szampana. To Nowy Jork. Każdy jest tu profesjonalistą.

Sufit otacza duży okrąg z flag na złotych masztach. Przypominam sobie państwa, które odwiedziłem: Chiny, Rosję, Turcję, Jordanię... I wtedy mój wzrok zatrzymuje się na błękitnej fladze z biegnącym ukośnie czerwonym paskiem i żółtą gwiazdą w lewym górnym rogu. Kongo. Na moim czole pojawiają się krople zimnego potu.

– Witam. Czy pan Stuart Daniels? – Odwracam się i widzę wysoką blondynkę z gładko uczesanymi, krótkimi włosami. Ma na sobie wydekoltowaną, obcisłą czarną sukienkę. Aż trudno skupić się na jej twarzy. – Na imię mam Kristin, miło cię poznać. Jestem wielką fanką twoich zdjęć. Są naprawdę świetne. Niezwykle wzruszające.

– Dziękuję. Bardzo się cieszę.

Kątem oka dostrzegam znajomego, Garreta. Idzie w moją stronę. Toczy się niczym ogromna kula, a na jego czole błyszczy pot. Nie za bardzo jest, na co popatrzeć, ale to świetny rozmówca – niezwykle bystry i fantastyczny pisarz. Pozostaje wierny lokalnym gazetom i polityce. Gdyby nie ta waga, być może wsiadłby do samolotu i zaistniał na scenie międzynarodowej.

– Gratuluję nagrody – dodaje Kristin i przysuwa się bliżej. I jeśli dzisiaj wieczorem mogłabym cokolwiek dla ciebie zrobić, to zostawiam wizytówkę. – Spoglądam i widzę logo *Timesa*.

Kristin bierze mnie za rękę i nachyla się lekko. Dostrzegam srebrny błyszczący krzyżyk i tatuaż w kształcie serca, walczący o moją uwagę. Zastanawiam się, czy ona rzeczywiście zatrzymała się przy słowie „cokolwiek”, czy może tak mi się tylko wydawało.

– Cześć, Stuarcie. – Garret mierzy wzrokiem Kristin, gdy ta się oddala. – Niezła jest. Czy w czymś wam przeszkodziłem?

– Nie. Co u ciebie?

– Co u mnie? Raczej co u ciebie? Gotowy na wielką przemowę?

Garret ma na sobie wypożyczony smoking, marynarka jest czarna, a spodnie niebieskie. Chciałem już powiedzieć coś o jego guście, na szczęście zdrowy rozsądek wziął nade mną górę.

– Jak nigdy – stwierdzam od niechcienia, odbierając kartę z rezerwacją stolika dla mnie i Whitney.

– A gdzie podziwia się piękna Whitney?

– Przygotowuje program dla CBS News. Powinna być tutaj lada moment.

– To niezwykła szansa dla niej. Jest naprawdę świetna. Trzymaj się jej, luzaku. Jest twoim wybawieniem. – Przeniósł ze mnie wzrok na odległy kąt sali. – A oto i nasz anioł w błękicie...

Odwracam głowę i widzę idącą w naszym kierunku Whitney, ma na sobie niebieską sukienkę bez ramiączek. Założyła naszyjnik i kolczyki, które kupiłem jej miesiąc temu w Egipcie. Jeśli chodzi o ubiór i makijaż, Whitney nie lubi się popisywać, uwielbia za to egzotyczną biżuterię.

– Witam, pani Whitney. Wygląda pani olśniewająco – oznajmia Garret.

– Nawet na ciebie nie spojrziała.

– Spokojnie Stuart, znam się na kobietach.

– Witaj, Garrecie. Miło cię widzieć. – Whitney świetnie radziła sobie w takich sytuacjach. Dorastała przecież z trzema braćmi – no i знаła Garreta tak długo, jak mnie.

Objęła mnie ręką, przysunęła się bliżej i pocałowała. Pachnie od niej wanilią i pomarańczami. Ten zapach przypomina mi lepsze czasy, wdycham go powoli, czując miłe odprężenie.

– Wyglądasz niesamowicie. – Naprawdę tak myślę. Sukienka podkreśla kolor jej oczu. Kolor zimowego nieba.

– Whitney, wiem, że ten facet otrzymał jakieś międzynarodowe wyróżnienie, ale gdybyś miała ochotę na randkę z prawdziwym mężczyzną, daj mi znać, dobrze? – Brwi Garreta uniosły się gwałtownie i opadły niczym dwie gąsienice na rozgrzanym asfalcie.

Rozbawił nas tym tekstem. Zawsze miał słabość do Whitney.

– Skorzystam jeszcze z toalety. – Garret wskazał na drugi koniec sali. – Do zobaczenia przy stoliku.

– Stuarcie, moje gratulacje! – zawołał ktoś z prawej strony. – Nagroda Horacego Greeleya, cóż za zaszczyt!

Znam tę twarz. Niestety, nawet gdyby od tego zależało moje życie i tak nie przypomnę sobie imienia.

– Dzięki. – Nie znoszę talach przesłodzonych wstępów, odwracam się twarzą do Whitney.

– Muszę się napić.

– Widzę, że nie odpowiada ci całe to zainteresowanie.

– Dlatego idę po drinka. Ty też powinnaś się napić. – Obejmuję ręką jej wąskie ramiona i odchodzimy na bok, unikając wszelkiego tłoku.

Przynoszę jej białe wytrawne wino, a dla siebie najpopularniejszą rosyjską wódkę z limetą. Nawet jej nie poczułem.

– Stuarcie, jestem z ciebie dumna. To twój wielki dzień – oznajmia Whitney.

Znajdujemy się poza głównym holem, nareszcie mogę nieco odetchnąć.

– Wiesz co, Whit, to jest naprawdę dziwne.

– To znaczy?

– Ta nagroda jest nie na miejscu. Tamten dzień w Kongo to nie był akt odwagi, jeśli już to raczej akt zwykłej rozpaczki.

– Mylisz się, to zdjęcie coś zmieniło. Odmieniło życie ludzi. Przyczyniło się więc do zmiany świata. Stuarcie, spróbuj tym się cieszyć, dobrze?

Rozmawialiśmy o już tym wcześniej, widziałem, że temat zaczynają męczyć.

– Dobrze.

Ścisnęła moją dłoń, odwróciła się i zaczęła rozmawiać z siedzącą obok niej kobietą. Whitney jest w stosunku do mnie cierpliwa, ale tylko do pewnego stopnia. To typ dziewczyny, która płakała, gdy dostała w szkole piątkę z minusem. Jako dziennikarka bardzo szybko wspinała się po drabinie kariery. Osiągnęła znacznie więcej niż jej rówieśnicy. To dziewczyna z Georgii, nietolerująca żadnych słabości.

Zamawiam kolejnego drinka.

Źle sypiam, od chwili, gdy dowiedziałem się o tej nagrodzie. Znowu wróciły koszmary, które miałem zaraz po powrocie z Kongo. Mój psychiatra dr Brandon zmienił mi leki i przepisał coś, co miało wspomóc mój sen. Jednakże od tygodnia żyję w sporym napięciu.

W kieszeni mam przemowę, którą nakreśliłem naprędce w drodze tutaj. Tak, taksówki sprawdzają się w takich sytuacjach.

Na sali szuranie i zgrzyt krzeseł odsuwanych przez zajmujących miejsca gości. Na scenę wychodzi wysoki mężczyzna; słychać głośne chrząknięcie. To gospodarz dzisiejszego wieczoru. Kogoś mi przypomina. Ach tak, Charlie Swanson, nowa twarz CNN.

– Dobry wieczór, panie i panowie. Witamy! Cieszymy się, że jesteście państwo z nami tego wieczoru, na tej wyjątkowej uroczystości, podczas której uhonorujemy tych, którzy wykonując swoje obowiązki, w sposób szczególnie przysłużyli się innym, zasługując tym samym na wyróżnienie.

W miarę, jak mija wieczór i wyróżnione osoby otrzymują nagrody, które naprawdę im się należą, ja nie przestaję myśleć o jednym. Nie mogę, niestety, powiedzieć, że to zdjęcie przyniosło cokolwiek dobrego. Nie potrafię od niego uciec. Nie chodzi tylko o obraz zamordowanych mężczyzn, których widzę, gdy zamykam oczy. Widzę także tę dziewczynę, okrutne razy, które spadają na jej ciało, i brutalny gwałt. Widzę również zmalretowane ciało kobiety w ciąży. A potem przypominam sobie niewinne oczy, żywe, wpatrzone we mnie. Jest w nich błaganie, a ja nic nie mogę zrobić. Czuję przypływ paniki. Stawiam kołnierz i mam ochotę uciec.

Whitney wie, o czym myślę. Wyciąga rękę i obejmuje moją dłoń.

– Zaczekam tam. – Wskazuję na boczne przejście. Kiedy wstaję, zatrzymuje na mnie wzrok ktoś siedzący bliżej sceny. Widzę afrykański turban i już wiem.

– Nagrodę Horacego Greeley’a wręczy gość honorowy – kontynuuje gospodarz wieczoru. – Czujemy się zaszczytni, że zechciał przyjąć nasze zaproszenie. To kobieta, która oddała swoje życie ubogim i czyni naszą ziemię lepszym miejscem do życia. Jej poświęcenie jest ogromne. W 2004 roku jej działalność została uhonorowana Pokojową Nagrodą Nobla, jest pierwszą afrykańską kobietą, która otrzymała to wyróżnienie. Proszę, przywitajcie wraz ze mną panią Wangari Maathai.

Opadam na krzesło, a moje ręce zatrzymują się w powietrzu, kawałki lodu z prawie pustej szklanki z wodą wyskakują na stół. Na scenę wchodzi moja znajoma, kobieta, która poświęciła wszystko dla swojego kontynentu. Wangari, ubrana w jaskrawą tunikę i wielobarwny turban, zbliża się wdzięcznym krokiem do podium i bierze mikrofon. Krople potu z mojego czoła spadają na leżący przede mną program. Nigdy nie pomyślałbym, że ta kobieta, od tylu lat walcząca o pokój w Afryce, także podczas mojego pobytu tam – o czym dowiedziałem się parę miesięcy później, gdy się spotkaliśmy – będzie dzielić ze mną ten moment.

– Dziękuję i witam serdecznie. Panie i panowie, to dla mnie zaszczyt, że mogę zaprezentować następne wyróżnienie. Jak już wielu z was wie, to najbardziej prestiżowa nagroda, jaką może otrzymać dziennikarz. Mężczyźni i kobiety podejmują bardzo wiele osobistych wyrzeczeń oraz ogromne ryzyko, żeby zasłużyć na coś takiego. Niektórzy z wyróżnionych stracili nawet życie, lecz ich poświęcenie wciąż żyje w tej nagrodzie.

Na ekranie nad sceną pojawiło się zdjęcie: „Piramida śmierci”. Nie muszę na nie patrzeć, żeby ją widzieć.

– Mam zaszczyt wręczyć to wyróżnienie mężczyźnie, którego podziwiam, jednemu z tych, który zaraz zajmie miejsce w gronie najodważniejszych. W ciągu dziesięciolecia swojej pracy stał się orędownikiem najbiedniejszych i najbardziej uciemnionych z wielu narodów. Jestem dumna, że mogę nazwać go bratem i przyjacielem. Zwycięzca Nagrody Horacego Greeley’a za dziennikarskie działania na rzecz innych, pan Stuart Daniels!

Sam nie wiem, czy to podniosłość tej chwili, czy też alkohol lub szok, lecz nie mogę się ruszyć. Nie mogę podnieść się z krzesła. Oklaski stają się coraz głośniejsze. Wszyscy wstają, jeden za drugim. Nagle jestem jedyną siedzącą osobą w tej sali. Czuję przypływ emocji, a

potem pustkę. Wstaję. Wszystko dzieje się jakby w zwolnionym tempie. Cały drzę, i tak noga za nogą, krok za krokiem, udaje mi się jakoś dotrzeć do podium.

– Dziękuję wszystkim za ten wielki zaszczyt. Chcę, żebyście wiedzieli, że nie odbieram tego wyróżnienia z lekkim sercem. Mam za sobą wiele nieprzespanych nocy po tym, jak zrobiłem to zdjęcie.

Zerkam na fotografię i milknę zaskoczony bijącą od niej grozą. Dlaczego tak bardzo ją powiększyli? Mija jedna chwila, potem druga. Przełykam ślinę.

– Mój przyjaciel, pisarz, zginął tamtej nocy. A mężczyźni ze zdjęcia... Tamtego wieczoru rozmawiałem z niektórymi z nich. Zostali zmuszeni do zamieszkania w obozie dla uchodźców wraz z żonami i dziećmi. Robili wszystko, żeby życie w obozie wyglądało w miarę normalnie. A potem przyszli rebelianci.

Zapomniałem o przemówieniu, które napisałem. Wyjmuję z kieszeni kartkę i rozkładam ją. Na sali panuje cisza.

– To wszystko, co mogę powiedzieć... – patrzę na Wangari. – To wyróżnienie tak naprawdę nie należy do mnie. Ono jest dla tych, którzy wtedy zginęli. I dla tych, którzy dzięki mojej pracy zmienili się na lepsze. Tak więc przyjmuję tę nagrodę w ich imieniu. Dziękuję z całego serca.

Wangari wręcza mi wysokie krystaliczne trofeum – tak czyste i nieskazitelne. Jakże inne od fotografii, dzięki której mi je przyznano. Po czym obejmuje mnie i szeptem do ucha.

– Stuarcie, jesteś dobrym człowiekiem. Zawsze to wiedziałam. Pewnego dnia także i ty w to uwierzysz. – Próbuję się cofnąć, lecz nie pozwala mi na to jej uścisk.

Moja głowa waży chyba ze sto kilo, opada na jej ramię. Płaczę. To jedyne, na co mnie stać.

Rozdział trzeci

Adanna

Czerwona glina lepi się do moich bosych i popękanych stóp. Mój krok jest długi i dostojny, zupełnie jak u żyrafy. Woda aż bryzga spod moich stóp, gdy trafiają na błotnistą kałużę. Biegnę najszybciej, jak potrafię.

Słońce zniża się za horyzont. Cała okolica jest skąpana w jego blasku, spod skał dochodzą wibrujące odgłosy życia. Uwielbiam ciszę, nastającą wraz z pojawieniem się migoczących gwiazd. Chłodne, wieczorne powietrze pachnie zupełnie inaczej, przypominając zapach świeżo ostruganego patyka. Wyrównuję oddech i idę w tym kierunku, z którego dochodzi cykanie świerszczy, ich miłosna pieśń unosi się ku wieczornemu niebu.

Kilka miesięcy temu podczas pełni księżyca usłyszałam w oddali podniesione męskie głosy. Podążyłam w ich kierunku, do miejsca zwanego *kraal*. Tam podejmowane są wszystkie ważne decyzje, tam przebywają także duchy przodków. W szkole uczono nas o tym, jak istotne jest to miejsce; zamieszkujące konary drzew i unoszące się w powietrzu duchy dzielą się mądrością z członkami naszej rady. Podeszłam bliżej na palcach i przykucnęłam w samym środku kręgu z jeżyn.

To, co odkryłam, było cenniejsze niż złoto: tajemnice! Czułam się jak najważniejsze dziecko w całej Afryce. Usłyszałam o kimś, kto popadł w konflikt z radą. Jednemu z wieśniaków odebrano ziemię, gdyż ukradł krowę sąsiadowi. Dowiedziałam się, kto stanie przed radą za zaniebdywanie swojej rodziny i jaki wyrok otrzyma mężczyzna, który zabił człowieka z sąsiedniej wioski za to, że ten ukradł mu pięć krów. W naszej kulturze krowy są wszystkim.

Mama często nazywa mnie „małym szpiegiem”.

– Addano, skąd wiesz takie rzeczy? – pytała roześmiana. Odpowiadałam jej śmiechem i kręciłam głową. Nigdy jednak nie zdradziłam swojego sekretu.

Dzisiejszego wieczoru wędruję samotnie ku *kraalowi* i myślę o mamie; jest w domu i odpoczywa. Precious i Abu już śpią, z całą pewnością śnią o słodyczach. Nie mamy co jeść, więc lepiej, żeby przespały czas kolacji. Nie mogę przestać myśleć o dwóch kolbach pieczonej kukurydzy, które jedliśmy dwa dni temu; aż ślinka napływa mi do ust. Podczas gotowania jakaś część strawy zawsze przywiera do garnka. Zeskrobujemy te przypalone resztki i zostawiamy je na później, gdy nie będzie co jeść. Dzisiaj nawet i to się skończyło. Staram się nie myśleć o bólu w brzuchu, lecz to prawie niemożliwe. Przypuszczam, że właśnie z powodu takiego bólu mama musi ostatnio dużo odpoczywać. Za każdym razem, kiedy mamy coś do jedzenia, mama oddaje swoją część najpierw Abu, a potem Precious oraz mnie.

Na niebie widać chyba prawie wszystkie gwiazdy wszechświata. Niebo to czara o głębokim, granatowym kolorze, wypełniona mlecznym bajkowym pyłem. Mama powiedziała mi, że na gwiazdach żyją duszki. Te najjaśniejsze mają największą moc. Marzę o tym, że któregoś razu znajdzie mnie jeden z takich duszków i spełni trzy moje życzenia.

Moje pierwsze życzenie dotyczyłoby taty, chciałabym, żeby znowu był z nami. Po drugie, poprosiłabym o mnóstwo jedzenia, tak żeby nikt z naszej wioski nie był już głodny. Trzecie życzenie to byłaby prośba o skrzydła, żebym mogła latać... Nie, tak naprawdę nie potrzebuję skrzydeł. Poprosiłabym, żeby nikt z wioski nie chorował.

Moje myśli przerywa dźwięk znajomo brzmiącego imienia: – Sipo. To imię wujka. Cichutko zakradam się przez otaczającą *kraal*, wysuszoną i szeleszczącą trawę, pochylam się do przodu, żeby usłyszeć jak najwięcej.

– Musimy działać. Trzeba z tym coś zrobić – odezwał się niski głos.

– Czyli co, mamy zebrać wszystkich chorych i umieścić w jednym miejscu, niech sobie tam umierają, tak Bongani?

– Jest ich zbyt wielu. A teraz choroba atakuje najstarszych oraz dzieci.

Widzę, że coś się porusza po drugiej stronie *kraala*. Słyszę trzask łamiących się patyków.

– Tak, to straszne, że Sipo zachorował. Wydaje się, że jeszcze wczoraj był silny jak lew.

Co to za hałas? Jestem pewna, że to jakieś zwierzę, słyszę jego ciężki oddech. Policzki mnie palą i zaczynam zastanawiać się, czy ten zakradający się stwór słyszy głośne bicie mojego serca. Przywieram do ziemi, zupełnie jak wąż.

– Teraz śmierć zawisła nad Sipo. Na pewno wkrótce dołączy do naszych przodków i podzieli los wszystkich tych, którzy zachorowali. Umrze.

– Bracia, wysłuchajcie mnie. Sipo oraz ci, którzy pomarli, rozżłóścili naszych przodków, stąd ta kara. I dopóki ich nie przebłagamy, kara się nie skończy. Musimy złożyć krwawą ofiarę.

Nie mogę się skoncentrować, coś wyłania się z ciemności. Nie, to nie zwierzę, to człowiek.

– Tak, a więc się zgódźmy. Złożmy krwawą ofiarę podczas najbliższej pełni księżyca.

Teraz widzę wyraźnie. To moja przyjaciółka Tobile, okryta peleryną. Przykładam palec do ust, żeby ją uciszyć.

– Nikt nie może się o tym dowiedzieć – kontynuuje ten sam niski głos. – Bongani i ja poszukamy czarownicy.

– Dobrze, niech tak będzie – to głos wodza. – Znajdziemy czarownicę i zrobimy to, co nam każe.

Tobile podbiega do mnie i przytula się do mojego boku. Zerkamy przez otaczające *kraal* drzewa. Widzimy poruszające się cienie i płonąca pochodnię. Ze strachu całe drżymy, wiemy, że nie możemy odezwać się ani słowem. Głosy przechodzą w przyciszony szept, zebrani niepostrzeżenie się rozchodzą. Skoro starszyzna podjęła rozmowy, a wódz zaakceptował ich decyzję, nie ma już odwrotu.

Chowam głowę w ramionach. Chciałabym stać się niewidzialna. Tobile nie powinna tu dzisiaj przychodzić. To mroczna sprawa, obydwie to wiemy. Ogarnia nas wielki strach, aż nie możemy się poruszyć.

Mija trochę czasu i klepię Tobile po ramieniu.

– Chodźmy stąd.

Biegniemy do mojego domu. Widzę w oknie migocący płomień świecy. Pamiętam dni, gdy otwierałam drzwi chaty i witał mnie śmiech oraz coś do jedzenia. Odwiedzał nas wujek Sipo z rodziną i razem się bawiliśmy. Nasz dom wypełniała radość, ale to było dawno temu.

W moich oczach pojawiają się łzy na myśl o wujku. Nie potrafię wyobrazić sobie życia bez niego. Przykucamy z Tobile przed chatą, tutaj nas nie znajdą.

– Adanno, co się dzieje? Dlaczego oni mówili o krwi? – pyta Tobile.

– Tobile, mnóstwo ludzi zachorowało, wszyscy są przerażeni.

– Dlaczego?

– Nasi przodkowie są rozżłoszczeni, bo wujek Sipo nie oddał im czci. Ktoś powiedział, że narobił sobie wrogów wśród czarowników. Nie wiem, co się dzieje, ale umiera tyle osób, że nie nadążają ich chować.

Podciągam kolana pod brodę i obejmuję je. Znowu jest zimno, muszę znaleźć trochę drewna i podłożyć do ognia.

– Wolalabym nie słyszeć tego wszystkiego.

Tobile klęka przy mnie.

– Adanno, dlaczego Sipo jest chory?

– Nie wiem, ale coś dziwnego dzieje się w naszej wiosce. – Robi mi się niedobrze, nie potrafię wyzbyć się tego dziwnego uczucia.

– Dlaczego?

– Ostatnio ktoś mówił o księżycowych skałach. Spadły z nieba, tuż obok wioski. Tak właśnie mówią. Księżycowe skały sprawiły, że ludzie chorują. Być może jeśli je zakopimy, ocalimy naszą wioskę.

– 1 może krwawa ofiara nie będzie potrzebna.

Nagle otwierają się drzwi, a w nich pojawia się mama.

– Dzieci, dlaczego włączycie się po nocy? Wstyd. Tobile, natychmiast wracaj do domu. Adanno, do środka.

– Tobile, z samego rana poszukamy tych skał. Od nich zależy życie nas wszystkich – szepnęłam na pożegnanie.

Rozdział czwarty

Nowy Jork, 2008

Starbucks na lotnisku to istne niebo. Kolejka jest oczywiście bardzo długa. Na szczęście mam jeszcze trochę czasu do odlotu.

– Poproszę duże espresso.

Moje zamówienie przyjmuje młoda kobieta z kolczykiem w ustach. Zakrzepła krew przy kolczyku świadczy o tym, że nosi go od niedawna.

– Z mlekiem?

– Nie.

Zaczynam wyobrażać sobie krople krwi kapiące do mojej kawy, bardzo szybko jednak zmieniam kierunek myślenia.

– Czy mogę zaferować panu jeden z naszych batoników z karmelowym kremem brûlée?

Spoglądam na brudne paznokcie tej kobiety oraz dłoni, na której ciągle jeszcze widnieje stempel klubu, gdzie spędziła ostatnią noc, i kręcę przecząco głową.

– Nie, dzięki. Ale wezmę jeszcze espresso z karmelem, połową sosu i dużą ilością pianki.

Dla Whitney. Dzwoniła ostatniego wieczoru i pytała, czy może przyjechać na lotnisko. Z całą pewnością wywnioskowała z mojej odpowiedzi, że jej pomysł nie za bardzo mi się spodobał.

Wolałbym zapomnieć o kolejnym podpunkcie z mojej rosnącej listy porażek.

Siedzę przy stoliku dla dwojga osób. Nie mogę uwierzyć w to, że wracam do Afryki. Nienawidzę wszystkiego, co wiąże się z tym kontynentem: upału, biedy, korupcji, obojętności i panoszącej się tam śmierci. Gdzież podziewa się wirus Ebola, gdy się go potrzebuje? Epidemia byłaby dobrym powodem do odwołania wyjazdu.

Przynajmniej wciąż jestem dobry w opuszczaniu miasta. Wystarczyło, że pokręciłem trochę nosem, machnąłem ręką i wszystko wróciło do normy, znowu jestem w drodze. Przez jakiś czas mogę udawać kogoś innego. A może będę sobą – kimś, komu zależy jedynie na dobrze wykonanej pracy, ale nie na tyle, żeby dać się wciągnąć poza kulisy cierpienia, które dokumentuje. Wszystko, czego potrzebuję, to trochę ubrań, przybory toaletowe, mój laptop, aparat i przepisane lekarstwa. Szkoda tylko, że nie dają międzynarodowych wyróżnień za najszybciej spakowaną walizkę. Taka nagroda nie byłaby przynajmniej obciążeniem dla sumienia.

Muszę przyznać, że podróżowanie wygląda teraz nieco inaczej. Te tłumy mnie denerwują. Jedyna dobra rzecz, związana z 11 września, to puste lotniska. Wiem, że to była potworna tragedia, z każdego jednak zła wypływa coś dobrego.

– Stuarcie, nad czym się tak głowisz?

Whitney ma na sobie ciemny dres do joggingu. Jej policzki wciąż są zaróżowione po porannym biegu. Kiedyś robiliśmy to razem. Gdyby nie była taka śliczna, być może odszedłbym na dobre. I każde z nas mogłoby zacząć nowe życie.

– Przygotowuję się mentalnie do podróży.

– Przepraszam za spóźnienie. Straszny korek. Wielka mi niespodzianka, co? Nie wiem sama, dlaczego nie przeprowadziłam się jeszcze na wieś.

– Bo nie znosisz wsi, no i nigdy nie awansowałabyś na stanowisko kierownicze, gdybyś przeprowadziła się do jakiegoś dziury.

Podałem jej kawę, a ona rzuciła mi spojrzenie typu: „po co to?”, a potem „dziękuję” i napiła się łyk. Na jej twarzy wciąż malowało się owo „dziękuję”, brakowało jednak w tym uśmiechu.

– Za dobrze mnie znasz.

– Whit, co my wyprawiamy? To znaczy... co ja wyprawiam?

– Tylko ty znasz odpowiedź na to pytanie. – Patrzyła na mnie, jakby chciała znaleźć odpowiedź, która przecież nie istnieje. – Wiem, co chciałabym, żebyś zrobił – kontynuowała – lecz ty tego nie chcesz.

– Tak, wiem.

– Przysięgałam ci, Stuarcie. Sądziłam, że ty mi też.

– Złożyłem przysięgę, ale...

– Ale co? Ale jest inaczej, niż myślałeś? Posłuchaj, przykro mi, że jest ci ciężko. Wiem, że to wszystko jest dla ciebie trudne. Ja również to przeżywam, ale chyba zapominasz o jednym. Ze jesteśmy małżeństwem.

– Nie, nie zapomniałem.

Niestety były takie dni, gdy wolałbym o tym zapomnieć. Nie dlatego, że nie kocham Whitney. Po prostu myślę, że nie zasługuję na nią. Już nie. Nie od tamtej pory, gdy stałem się nieudacznikiem, niemającym nawet siły, żeby wstać z łóżka, i wycofującym się z projektów, dla których inni zrobiliby wszystko. W końcu zlecenia przestały przychodzić. Aż pojawiło się to jedyne. To, którego nie chciałem.

– Stuarcie, musiałam zobaczyć cię przed wyjazdem, dlatego że... – zaczęła płakać. Nigdy nie poddawała się emocjom. Nie mogłem oprzeć się myśli, że zamierza dać mi ostatecznego kosza. Bóg wie, że zasługiwałem na to. – Stuarcie, kocham cię. Ciągle cię kocham, ale ty jesteś tak daleko. Chcę, żebyś wrócił. Potrzebuję cię. Potrzebuję Stuarta, za którego wyszłam.

Wyciągnęła rękę i objęła moją dłoń.

– Nie ma już tego człowieka. – Tak, to była prawda.

Przez chwilę wydawało się, że da sobie ze mną spokój. Jej słowa mówiły o miłości, ale spojrzenie o bólu i frustracji.

– Stuarcie, modliłam się za ciebie... za nas.

– Modliłaś się? Myślałem, że wyrzekłaś się boga wschodu.

– Tak, bo uświadomiłam sobie, że bóg, który tylko cię zawstydzą i wymaga, nie jest prawdziwy.

– Kiedy to się zmieniło?

Zacisnęła zęby i ścisnęła mocniej moją dłoń.

– Stuarcie, to już trochę trwa. Po prostu mnie nie słuchasz.

Oto niedopowiedzenie roku.

– Przepraszam – odparłem. – Masz rację, od tygodni jestem gdzieś daleko.

– Od miesięcy – poprawiła mnie.

– Ale i tak nie rozumiem, jaką rolę ma w tym wszystkim bóg.

Poluzowała uścisk.

– Ja też nie wiem, czy to rozumiem. Wiem jednak, że tak jest. Po prostu wiem. I...

– Whit, jestem sobą zmęczony. Czuję się jak jeden z bohaterów dramatu Szekspira, który wszedł na scenę, zagrał swoją wielką rolę i umarł.

– ... i dlatego uważam, że ten wyjazd jest dla ciebie szansą. Szansą dla nas.

Co?

– Uważasz, że to dobry pomysł? Byłem przekonany, że nie nienawidzisz tego pomysłu z wyjazdem.

– Tak, nienawidzę. Nienawidzę tego, że nie otrzymujesz zleceń, na które zasługujesz. Nie znoszę myśli o tym, że to ostatnia deska ratunku dla twojej kariery. I nienawidzę tego wyjazdu, bo zabiera mi ciebie i posyła w tak niepewne miejsce.

– Jednak z jakiegoś powodu uważasz, że powinienem jechać?

– Tak. – Wypuściła moją dłoń i napiła się kawy. – Nie potrafię tego wyjaśnić. Po prostu to czuję. Wiem.

Przypomniały mi się słowa Wangari. Stuarcie, jesteś dobrym człowiekiem... Pewnego dnia także i ty w to uwierzysz.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Zerkam na zegarek. – Muszę już iść Odsunęliśmy krzesła, Whit podchodzi do mnie ze zmrużonymi oczami i zmarszczonym czołem. Przytula się do mnie.

– Stuarcie, znajdź odpowiedź. Proszę.

Odwraca się, żeby odejść. Zatrzymuje się jednak i patrzy na mnie. Próbuję się uśmiechnąć, ale przypomina to raczej grymas. Whit odwraca się szybko i odchodzi.

Czy ona wie, że mam jeszcze pół godziny do odprawy? Podchodzę do bramki. Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć. A może, żeby o wszystkim zapomnieć. Kilka kieliszków wina i lek na bezsenność powinny pomóc, szczególnie gdy chodzi o to drugie.

Rozdział piąty

Adanna

Moje imię to inaczej „córka ojca”. Niewiele jednak z moich wspomnień dotyczy taty. Mama mówi, że był kimś ważnym. Nie wiem, czy to prawda; wiem jedno, ciągle go nie było. Niekiedy martwiło mnie to, innym znowu razem cieszyło.

Jedno z najważniejszych wspomnień o nim dotyczy naszego ostatniego rodzinnego *brii*. Przed każdym wcześniejszym *brii* tata i wujek Sipo łowili ryby, a mama i ciocia przygotowywały potrawy i rozpałały ogień. Jednakże tamtego ostatniego razu tata zabrał na ryby także mnie.

Chciał, żeby jego pierworodne dziecko było chłopcem, lecz urodziłam się ja. Abu był jeszcze mady, więc tata czasami traktował mnie jak chłopca. Nie przeszkadzało mi to.

Tamtego dnia wczesnym rankiem szłam wraz z tatą nad oddaloną o pięć kilometrów rzekę. Wszystko wokół kwitło, zarówno kwiaty, jak i drzewa. Istna eksplozja kolorów. Wszędzie aż roiło się od przeróżnych robaków, miałam wrażenie, że zjedzą mnie żywcem. Kiedy dotarliśmy nad rzekę, moim oczom ukazała się gęsta zielona trawa. Doskonałe miejsce do zabawy w chowanego.

Wtedy woda w rzece była jeszcze tak czysta, że każdy mógł się jej napić. Widok rzeki działał na mnie bardzo kojąco.

– Adanno, chodź tutaj i pomóż mi nałożyć robaka na ten haczyk?

– Och, tatusiu, muszę? – Te śliskie robaki napawały mnie odrazą. Nie chciałam też patrzeć, jak wypływają z nich wnętrzości.

I chociaż z całego serca pragnęłam udowodnić tacie, że jestem tak samo dobra, jak każdy inny chłopak, nigdy nie lubiłam tego typu zadań. W naszej wiosce specjalnym okazjom oraz pogrzebom zawsze towarzyszyło zabijanie zwierząt. Wszyscy zbierali się w jednym miejscu i wyciągali szyje, żeby mieć jeszcze lepszy widok, zupełnie jakby podziwiali grę drużyny z RPA podczas międzynarodowych rozgrywek piłkarskich. Z niecierpliwością wyczekiwano chwili, gdy lśniące ostrze noża zanurzy się w gardle biednego zwierzaka. Nie otwierałam wtedy oczu, nawet na chwilę.

– Gdybyś była chłopakiem...

Słyszałam to setki razy. Gdybym była chłopcem, łowiłabym ryby, a tata mógłby zająć się przygotowaniami do *brii*. Gdybym była chłopcem, mogłabym zarobić trochę grosza i pomagać tacie w utrzymaniu rodziny. Nigdy jednak nie miałam mu za złe tych słów, ponieważ zaraz potem spoglądał na mnie z szerokim uśmiechem i mówił:

– Ale wiesz co, Adanno, za nic w świecie nie wymieniłbym cię na chłopaka!

W takich chwilach mój tata był najlepszym człowiekiem pod słońcem.

– No, Adanno, co to za przynęta, skoro na haczyku nic nie ma? Chodź i nałóż tu robaka.

Ostrożnie wcisnęłam robaka na haczyk, jego wnętrzości rozprysnęły się na boki. Tamtego dnia złowiliśmy bardzo dużo ryb. Ich brzuchy mieniły się niczym tęcza. Tata opowiadał mi dowcipy, podczas gdy ja zdejmo wałam śliskie i lepkie ryby z haczyka. Śmiałyśmy się tak głośno, że aż bolał mnie brzuch. Dla zabawy siłowaliśmy się na trawie, dopóki plecy nie swędziały mnie tak, jakby oblażło mnie z tysiąc robaków.

A kiedy wróciliśmy do domu, uniosłam torbę z rybami nad głowę i dumnym krokiem wkroczyłam na podwórze. Mama i ciocia klaskały tak głośno, jakbym co najmniej zdobyła

bramkę podczas meczu piłki nożnej. Poczucie, że swoją pracą wniosłam coś do rodziny, było naprawdę przyjemnym doświadczeniem.

Tamtego wieczoru tata opowiadał nam o swoich podróżach do wielkich miast, takich jak: Durban, Cape Town i Johannesburg. Jako kierowca ciężarówki przejechał całą Afrykę. Obiecał, że któregoś dnia zabierze mnie z sobą. Wciąż widzę jego twarz, gdy patrzę na Abu. Ten sam podbródek i zarys szczęki. I kiedy tak siedzieliśmy przy ognisku, a on dzielił się z nami różnymi historyjkami, żywo przy tym gestykulując, miałam wrażenie, że od jego twarzy bije ten sam blask co od płomienia. Co kilka minut musiał przerywać z powodu kaszlu. Bardzo dużo wtedy kasłał, czoło miał mokre od potu – to ostatni obraz taty, jaki pamiętam. Następnego dnia wyjechał w długą podróż, żeby zarobić dużo pieniędzy. Miał nam przywieźć mnóstwo owoców i słodyczy. Mówił, że jak wróci, to będzie miał przy sobie tyle pieniędzy, że już nie będzie musiał nas zostawiać.

Nigdy jednak już go nie zobaczyłam. Miałam wtedy dziesięć lat.

* * *

– Adanno, biegnijmy nad rzekę, pobawimy się przy drzewach!

– Dobrze, Tobile, i tak będę pierwsza!

Ani słowem nie wspomnieliśmy o księżycowych skałach. Być może zabawa w naszym sekretnym miejscu poprawi mi nastrój. Kiedyś rzeka była dla nas źródłem życia. Krystalicznie czysta woda i mnóstwo pływających w niej ryb, właśnie tam odnajdowałyśmy spokój.

Po wyjeździe taty wszystko się zmieniło. Zaczęło chorować coraz więcej ludzi, chowali się w swoich domach i nigdy już ich nie widzieliśmy. A potem odbywał się pogrzeb.

Teraz ziemi nie pokrywa już zielona trawa, wszędzie pełno krzaków i śmieci – szkło, worki z odpadkami i puszki. Nad rzeką cuchnie jak w wychodku. A kiedy stanie się nad jej brzegiem, trzeba uważać, żeby na coś nie nadepnąć i nie skaleczyć sobie nogi.

Mama i ciocia nieustannie powtarzają: – Nie wolno wam pić wody z rzeki, nawet kropelki, inaczej zachorujecie i umrzecie!

Kiedyś wszyscy z niej piliśmy, teraz wzdłuż brzegów znajduje się mnóstwo niewielkich kopców, pod którymi spoczywają zmarli. Słyszałam, jak podczas jednej z narad starsi ludzie mówili, że rzeka jest zatruta.

Jest w niej coraz mniej wody. Przypomina teraz raczej strumień. Wciąż jednak lubię tu przychodzić, żeby sobie porozmyślać lub po prostu posiedzieć. Dzisiaj myślę o wujku Sipo. Rano odwiedziłam ciocię Zodę. Stała przed domem na wietrze, dookoła unosił się kurz. Nie chciała, żebym zobaczyła wujka.

– Nie wiem, czy dożyje następnego ranka – powiedziała.

Przyzwyczałam się do tego, że dorośli nie chcieli rozmawiać z dziećmi na poważniejsze tematy.

Dorastałam z Tobile, bawiłyśmy się razem, nawet gdy jeszcze nie potrafiłyśmy chodzić. Nasze mamy nosiły nas na plecach, w specjalnych chustach; *kanga*, tak się je nazywa. Kiedy stały blisko siebie, zajęte gotowaniem lub rozmową, wyciągałyśmy ręce i przytulałyśmy się do siebie. Jesteśmy jak siostry.

Gotowanie – miejsce kobiet od zawsze było przy gorących, metalowych garnkach. Wiem o tym, ponieważ mama jest teraz zbyt słaba i ja się tym zajmuję. Jemy tylko kilka razy w tygodniu. Na więcej nie starcza nam pożywienia.

Jemy przeważnie *pap*, składające się z kukurydzy i odrobiny fasoli, jeśli mamy szczęście. Rozpalamy ognisko z patyków, które coraz trudniej znaleźć. Wieszamy nad nim garnek i czekamy, aż potrawa się ugotuje. *Pap* to mado smaczne danie, czasami próbuję oszukać swój smak, wmawiając sobie, że to wołowina ze świeżymi warzywami.

Niekiedy jemy zgniłe produkty. Albo zjemy to, co zgniłe, albo będziemy głodować – taki mamy wybór. Zgniła kapusta, zgniłe ziemniaki, kukurydza z wijącymi się robakami ze starych, przegniłych worków.

Dotykam ust szorstkimi palcami. Wargi są popękane i krwawią. Głód sprawia ogromny ból. Wszystko w środku mnie piecze. Burczy mi w brzuchu, moje wnętrzności domagają się tego, czego nie mogę im dać.

Wczoraj graliśmy w nogę nad jeziorem. Nie jadłam już od tygodnia, ale kiedy jest się głodnym, najlepiej czymś się zająć, żeby zapomnieć o jedzeniu. Zaczęłam jeść trawę, ale zrobiło mi się niedobrze.

Nagle w nogę wszedł mi jakiś cień, poczułam potworny ból w całym ciele. Zaczęło się od brzucha, a potem bolało mnie już wszystko. Przewróciłam się i zaczęłam głośno krzyczeć. Błagałam Boga, żeby zabrał ode mnie ten ból. Niestety nie posłuchał i ból nie odszedł.

– Królowo Adanno! Służba zabiera Waszą Wysokość do kąpieli! – krzyknęła Tobile.

Wyobraziłam sobie kąpiel w ciepłej wodzie z lawendą i płatkami róż, drogocennymi olejkami i perfumami godnymi samej królowej! Nazbierałam igliwia sosnowego, substytut do królewskiej kąpieli.

– Dziękuję, księżniczko Tobile! Cóż ja słyszę? Pukanie do drzwi pałacu? Och, Tobile, najprzystojniejszy i najdzielniejszy rycerz w królestwie zaprasza cię na istic królewską ucztę! Czeka na ciebie w sali bankietowej, a do stołu podano jagnięcinę, ziemniaki i wyśmienity deser, przygotowany specjalnie dla ciebie.

Czasami, gdybym rzeczywiście się postarała, sama uwierzyłabym w te wszystkie marzenia.

Wyrwałam uschnięte źdźbło trawy, myśląc o lepszym życiu. Dzisiaj nie widzę jednak nadziei na lepsze jutro.

– Adanno, pamiętasz tamte dni, gdy życie wyglądało zupełnie inaczej? Kiedy nikt nie był głodny i chory?

– Dlaczego o tym mówisz? Te wspomnienia nie przyniosą nam szczęścia?

– Ale przecież nie mamy koron na głowach ani pomalowanych paznokci. – Dzisiaj także i ona nie potrafiła wyobrazić sobie tego wszystkiego. Siedziała tuż obok, poczułam, że jej ciało drży. Wiedziałam, że płacze.

Objęłam swoją przyjaciółkę.

– Tobile, to się zmieni. Możliwe, że Bóg nam pomoże, tak przynajmniej mówi pastor Walter. – Zagarniam dłonią brudny piach. Sama nie wierzę w to, co powiedziałam. – On nie zapomniał o nas. Nie wiem jednak, ile jeszcze to potrwa.

– A może On się zgubił?

Jej słowa rozśmieszyły mnie, sama nie wiem, z jakiego powodu.

– Możliwe, że musi zająć się ludźmi, którzy mają jeszcze gorzej niż my.

Nasze milczenie potwierdzało, że tak naprawdę żadna z nas w to nie wierzyła.

Pastor Walter mówił o tym w ostatnią niedzielę. Jego kazanie przeraziło mnie. Rozpoczął je słowami: „Padamy jak muchy”.

Jestem już wystarczająco duża, żeby rozumieć, czym jest śmierć. Pastor powiedział, że umieramy z powodu AIDS, ponieważ mężowie nie są wierni swoim żonom. Zaznaczył, że Bóg nam pomoże, jeśli zaczniemy Go słuchać. Podniósł do góry jakąś księgę. Biblię. Wyjaśnił, że jeśli szukamy Boga całym sercem, znajdziemy Go. A może jest nam tak źle, ponieważ ludzie przestali słuchać Boga.

Pamiętam, jak bawiłam się w berka z moją koleżanką Blossum. Podbiegła do mnie i dotknęła mnie: – Berek, teraz ty gonisz! Pobiegłam za nią do wioski. Wpadła do swojego domu, a ja za nią. Kiedy zobaczyłyśmy jej tatę, stanęłyśmy jak wryte. Leżał na posłaniu zwinięty w kłębek i kasłał. Jęczał niczym okrutnie cierpiące zwierzę. Był bardzo

wychudzony, w jego oczach krył się lęk. Wybiegłyśmy na dwór. Był pierwszą chorą osobą, jaką zobaczyłam. Dwa dni później zmarł.

Kładziemy się z Tobile nad brzegiem rzeki. I kiedy tak słucham szumu wody, proszę Boga, żeby wszystko wróciło do normy. Być może jedyne, co trzeba zrobić, to właśnie prosić.

Rozdział szósty

Wysiadam z samolotu na lotnisku w Johannesburgu. Jest grudzień i strasznie tu tłoczno. Mam wrażenie, jakbym znalazł się w ciasnej męskiej szatni. Pierwszy zapach Afryki, gdy wchodzę do terminalu, kojarzy mi się z wonią podobną do tej, którą można poczuć po zajrzeniu do lodówki nieotwieranej od ponad miesiąca. Drinki i tabletki nasenne nie pomogły mi odprężyć się podczas osiemnastogodzinnego lotu.

Są dwie kolejki, jedna dla obywateli RPA, a druga dla obcokrajowców. Ta ostatnia jest poskręcana niczym rura z PVC, każdy jednak cierpliwie czeka na swoją kolej. Nikt się nie odzywa poza elegancko uczesaną kobietą w okularach, ubraną w długą, dzinsową sukienkę. Wciąż rozprawia ona o swoim szlachetnym zamiarze „ewangelizowania barbarzyńców” i niesieniu im zbawiennej nauki o Jezusie, ażeby ocalić ich przed piekielnymi czeluściami. Potem zaczyna narzekać na lot i niemiłe stewardesy, a następnie rozdawać traktaty o Biblii pod znamienym tytułem *Potępienie i piekło jako cena*.

Urzędniczka z odprawy celnej uśmiecha się do mnie, zerkając na mój paszport.

– Z prasy? – obejmuje mnie dociekliwym spojrzeniem.

– Tak, fotoreporter.

Wzdycha ciężko i kręci głową, podwójnie stemplując moje dokumenty.

– Proszę zrobić coś dobrego dla mojego narodu, dobrze? Bóg wie, jak bardzo tego potrzebujemy.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Właściwie to jeszcze nikt z odprawy celnej nie rozmawiał ze mną w taki sposób.

Na taśmociągu bagażowym, przypominającym konstrukcję ze słupów trakcyjnych, widzę dwie torby o jaskrawym, pomarańczowym kolorze. Nikt rozsądny nie mógłby pomylić ich ze swoimi szarymi lub beżowymi bagażami czy też próbować ich ukraść. A w tym mieście kradzież jest czymś tak powszechnym, jak przeziębienie.

Przesuwając się w kolejce, zatrzymuję wzrok na urzędniku imigracyjnym, siedzącym za podniszczonym, pokrytym laminatem podium. Skupiony na czytaniu gazety, przepuszcza wszystkich, machając ręką. Jest im zupełnie obojętne, co ludzie przywożą do ich kraju. Bo czy może to być coś gorszego niż AIDS?

Szklane drzwi wychodzą na duży hol, gdzie na swoich bliskich czy też współników w interesach czekają setki ludzi. Rozglądam się dookoła i widzę karton ze swoim nazwiskiem, napisanym czarnym atramentem, trzymany przez dwoje ciemnych rąk. Fajnie. Podchodzę bliżej, czuję się tak, jakbym dostał obuchem w głowę, pozostałość po kacu. Jedyne, czego pragnę, to znaleźć się w hotelowym pokoju.

– Dzień dobry, jestem Stuart.

Kierowca od razu zabiera ode mnie walizki, istna ulga dla mojego zmęczonego ciała.

– Dzień dobry, panie Daniels. Mam nadzieję, że lot był udany.

Mężczyzna mówi piskliwym, nieco chropawym głosem z wyraźnym południowoafrykańskim akcentem.

– Będę pańskim przewodnikiem tutaj, w Afryce. Przyznam, że to dla mnie ogromny zaszczyt. Znam pański dorobek i...

– Dziękuję, dziękuję – odpowiadam i ruszam w stronę samochodu. – Jestem gotowy, możemy już jechać do hotelu.

– Oczywiście, panie Daniels. Tak na marginesie, mam na imię Charles. Chętnie odwiozę pana do hotelu i dostarczę wszystko, czego pan potrzebuje. Jestem do usług.

– Proszę tylko zawieźć mnie do hotelu, to naprawdę wystarczy.

–Już się robi.

Przez szybę widzę pogrążone w chaosie miasto. Na każdym murze dostrzegam graffiti, a na ścianach budynków całą gamę amerykańskich przekleństw. Ludzie w pośpiechu przemykają ulicami, jakby czegoś się obawiali. Widzę kilka kobiet kurczowo trzymających torebki przy piersiach i nerwowo zerkających przez ramię. Słońce chowa się za horyzontem, wraz ze zmrokiem miasto ogarnia coraz większy niepokój.

Apartheid, nie jestem w stanie zapomnieć o całym złu tego systemu. Mnóstwo ludzi zatraciło swoje człowieczeństwo w tym koszmarze; całe to zło przysłano chyba z najgłębszych piekielnych czeluści. Wciąż istnieją tu jego pozostałości, czające się w szczelinach spękanej ziemi i we wszelkich możliwych rozpadlinach.

Za każdym razem, gdy stawiam nogę na afrykańskiej ziemi, w pełni zdaję sobie sprawę z czyhającego tu niebezpieczeństwa. Nie mam na myśli tylko łamania prawa. Kiedy tylko postawisz tu nogę, odnosisz wrażenie, jakby nagle brały cię w posiadanie jakieś złe moce. Demony, będące zmaterializowanym echem trwających tu od pokoleń wojen, aktów nienawiści, przemocy i gwałtu. Mam niestety zbyt wiele złych wspomnień związanych z tym kontynentem, począwszy od tamtej potwornej nocy sprzed dziesięciu lat w Demokratycznej Republice Konga.

Mam nadzieję, że sprawa meldunku w hotelu pójdzie sprawnie. Wypiję tylko kieliszek czegoś mocniejszego i od razu idę spać.

* * *

Wychodzę z windy, ciągnąc za sobą bagaż, a Charles czeka już na mnie przy recepcji. Punkt ósma trzydzieści, tak jak się umawialiśmy. Ma na głowie czarny melonik. Wygląda jak dżokej.

Johannesburg kojarzy mi się z jakąś zupełnie odległą planetą. Każdy dom otoczony jest murem, wysokim na mniej więcej trzy metry. Na jego szczycie znajdują się kawałki potłuczonego szkła, ostrego jak kły lwicy, a z boku sterczą metalowe kolce. Oczywiście ogrodzenie jest pod napięciem, a więc jeśli intruz nie wykrwawi się wcześniej na śmierć, zginie od porażenia prądem. A gdyby i to nie podziałało, za murem czekają groźne psy.

Charles uchylił elegancko swój melonik i obserwuje mnie we wstecznym lusterku.

– Jak już pewnie pan zauważył, tutejszym życiem rządzi strach.

– Widzę. Charles, a ty jak to widzisz?

– Bogaci boją się, że biedni zabiorą im wszystko, na co tak ciężko pracowali. Biedni natomiast boją się, że bogaci, robiąc zapasy zjedzenia, zabiorą im ostatni kęs chleba i zagłodzą ich na śmierć, tak jak czynili to Rzymianie wobec swoich wrogów.

Mijamy budynek bardzo podobny do rzymskiego Koloseum. Zastanawiam się, czy Charles przygotował sobie całą tę mowę.

– A więc biali z RPA obrali taktykę Rzymian?

– Jeśli głębiej się nad tym zastanowić, to świetna strategia. Otoczyć całe miasto i odciąć dostawy żywności. Trochę to potrwa, ale na pewno skończy się śmiercią.

– Naprawdę wierzysz, że są tacy podstępni?

W lusterku wstecznym dostrzegam błysk gniewu w jego oczach, głos Charlesa pozostaje jednak spokojny i opanowany.

– Dorastałem w slumsach i omal nie przypląciłem tego życiem. I to właśnie biali omal mnie nie zabili. Są bezlitośni, chociaż tak dobrze im się powodzi i mają, czym się dzielić.

– Odebrali ci wszystko? I czekali, aż umrzesz?

– Traktowali mnie gorzej niż psa. Podczas gdy jedyne, o czym marzyłem, to kształcić się, chodzić do szkoły. Biali pozamykali jednak wszystkie szkoły w sąsiedztwie. Nie chcieli, żebyśmy się uczyli. Chodziło im jedynie o to, żeby zagłodzić nas na śmierć.

– Czyli zakamuflowana forma eksterminacji. Bez potrzeby użycia broni czy też bomb. Sprytne.

– Ma pan rację, panie Daniels. – Charles pokiwał głową.

Od razu przypomniały mi się plotki o tym, że to biali z RPA wynaleźli wirus HIV, żeby pozabijać czarnych. Zawsze pachniało mi to konspiracyjnym fanatyzmem. Skoro jednak biali bogacze byli zdolni do tego, żeby ich głodzić, dlaczego by nie mieli ich czymś zarazić? Co za chora myśl, nie zamierzam dzielić się nią z Charlesem. Niech Bóg broni. Co by się stało, gdyby jednak było to prawdą.

– Niech pan sam zobaczy. Wszystkie te wille na wzgórzu – właśnie tam mieszkają bogaci. A teraz proszę spojrzeć w dół, zaraz poniżej tych willi. Widzi pan to połyskujące srebro? To blaszane dachy w dzielnicy slamsów. Tam każdego dnia ludzie umierają z głodu. Bogacze spoglądają ze swoich balkonów i patrzą, jak tamci konają. To jedna z ich rozrywek.

– Chyba w to nie wierzysz, prawda?

– Robią to. Dzień w dzień.

– Charles, jeżdżę po całym świecie. Ekonomiczne okrucieństwo dotyka nie tylko południowej Afryki. Na Dominikanie jest podobnie jak tutaj, nawet i w Ameryce biedni wołają głośno o pomoc.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Zapewniam, że nie chodzi tu o żaden spisek, nie jesteście jedynymi, którzy cierpią. A obwinianie bogatych nikomu nie pomoże.

– Panie Daniels, czy kiedykolwiek cierpiał pan biedę? Nie mam tu na myśli problemów z opłaceniem rachunku za telefon komórkowy lub telewizję kablową. Mówię o takiej sytuacji, gdy budzi się pan rano i zastanawia dziesiąty dzień z rzędu, czy dzisiaj znowu pójdzie pan głodny spać.

– Nie. Nie byłem biedny. Czy jednak wiesz, co mówisz? Twierdzisz, że to bogaci są odpowiedzialni za biednych? Że to ich wina, że tamci głodują?

– Panie Daniels, odpowiedzialność ciąży na bogatych. Pieniądze dają władzę.

– Ci, którzy pragną władzy lub już ją posiadają, nie dbają o to, kogo zdominują.

Wyjeżdżamy z miasta. Pofałdowane wzgórza, urodzajna ziemia i bujna roślinność. Aż trudno uwierzyć, że w miejscu, które wygląda na tak urodzajne, ludzie umierają z głodu.

– Biali mają nadzieję, że AIDS i głód pozabiją nas wszystkich, a wtedy nie będą musieli już chować się za elektrycznymi ogrodzeniami. Słyszałem nawet, jak ktoś mówił, że to Bóg w ten sposób niszczy grzeszników i zesłał na nas epidemię, jak kiedyś na Egipcjan. – Jego skrzeczący głos przybrał jeszcze wyższy ton.

– Jeśli to, co mówisz, ma jakikolwiek sens, to plaga spadła raczej na bogatych, gdyż to oni zatracili dusze.

– To prawda, panie Daniels, bo cóż to za korzyść, gdy zyska się cały świat, a straci duszę? Ludzie tutaj są jednak tak zrozpaczeni, że są w stanie sprzedać własną duszę za kromkę chleba. Nie wyobrażam sobie, żeby miłosierny Bóg mógł osądzać ludzi za taką wymianę.

– Jak to możliwe, że wierzysz w Boga w całej tej sytuacji, którą opisałeś? Po tym wszystkim, co widzisz dookoła?

– O tak, wierzę. Panie Daniels, Bóg jest naszą jedyną nadzieją. A pan nie wierzy?

– Wierzyłem, ale to było dawno temu. – Prawda jest taka, że sam już nie wiem, w co wierzę.

Kiedy tak jedziemy do odległych wiosek, w powietrzu unoszą się kłęby dymu, kształtem przypominające smoki. Tegoroczne zbiory stają się już tylko wspomnieniem powracającym do ziemi, by przeczekać zbliżającą się zimą.

– A jak to jest z panem? – Charles unosi wzrok, nasze spojrzenia spotykają się w lusterku wstecznym.

– To znaczy?

– Czy pan zatracił swoją duszę?

– Nawet nie wiem, co to oznacza. To, co widzę w twoim kraju, występuje wszędzie.

– Wiem, widziałem pańskie zdjęcia.

– I mam na sumieniu różne rzeczy, z których nie jestem dumny.

– Pozwolę sobie zadać panu jedno pytanie, jeśli mogę. Czy przyjechał tu pan jedynie po to, by robić zdjęcia cierpiącym ludziom, a potem prezentować ich całemu światu, jakby byli zwierzętami?

Poczułem, że robi mi się gorąco, powściągnąłem jednak emocje.

– Posłuchaj, jestem tu, żeby wykonać zleconą mi robotę, moją robotę – a nie rozwiązywać problemy twojego kraju. Nie przyczyniłem się do nich i nie jestem odpowiedzialny za całą tę sytuację. Przyjechałem tu, żeby zrobić to, za co mi płacą.

– Proszę mi wybaczyć, panie Daniels.

– Nie, Charles, to ty mi wybacz – wyrzuciłem z siebie, czując się nagle winnym. Sam nie wiem dlaczego.

Poczułem ulgę na myśl, że w Suazi czeka na mnie Gordon. On nie będzie mnie maglował jak jakiegoś kryminalistę. Nie znam lepszego dziennikarza, z którym chciałbym współpracować niż Gordon. Można powiedzieć, że jest żywą legendą. Słyszałem jednak ostatnio, że za dużo pije i ma etykietkę kobieciarza, ale to czyni go jeszcze bardziej interesującym.

Pomiędzy mną i Charlesem zapanowało milczenie. Nie mamy sobie już nic do powiedzenia. Zamknąłem więc oczy, mając nadzieję, że może uda mi się zdrzemnąć.

Rozdział siódmy

Adanna

Pożegnałam się z Tobile i ruszyłam w stronę domu. Słońce przypomina ogromną pomarańczową kulę ognia, zawieszoną w bezruchu na niebie. Przygląda mi się.

– Bóg jest światłością i nie ma w Nim żadnej ciemności. – Pastor Walter cytował nam te słowa z Biblii. Powiedział, że wszyscy powinniśmy starać się chodzić w świetle. Zastanawiam się, jak mam chodzić w świetle, skoro gdy słońce chowa się za horyzontem, odnoszę wrażenie, jakby Bóg odszedł razem z nim.

Jestem zupełnie sama.

– Boże, jesteś tam? – krzyknęłam głośno. – Jestem głodna, słyszysz?

Cisza.

– Pastor Walter mówi, że jesteś dobry i że jesteś światłem. Jeśli to prawda, to dlaczego przyglądasz się, jak opadamy z sił, a potem umieramy.

Moje słowa przeszły nocną ciszę, a potem zniknęły, porwane przez wiatr. Wzięłam głęboki oddech.

– Pastor Walter jest dobry, ale jeśli chodzi o Ciebie... – przeniosłam wzrok na ciemniejące niebo. – Wcale nie jestem tego pewna.

Poczułam chłód i przestałam wsłuchiwać się w ciszę. Moje serce bije coraz szybciej, powraca ból brzucha. Siedzę za krzakiem i czekam. Ciekawe, czy ktoś przypadkiem mnie nie śledzi. Po chwili robi mi się głupio i ruszam dalej.

Widok ścieżki prowadzącej do domu uspokaja mnie. Wpadam na podwórko i szybko otwieram drzwi. Coś złego dzieje się z mamą. Stoi w rogu i obejmuje pał podtrzymujący dach. Dlaczego chwyta się za bok i zgina w pół? Obok niej stoi wiadro. Widzę dużą, łuszczącą się ranę na jej lewym ramieniu, sączy się z niej krew. Moja niespodziewana obecność przestraszyła mamę, obejmuje mnie zdziwionym i smutnym wzrokiem.

– Adanno, nie wchodź do domu w taki sposób! Ile razy mam to powtarzać?

Dlaczego jej głos jest taki zachrypnięty i zbolący?

– Przepraszam, mamu. To dlatego, że stęskniłam się za tobą. A gdzie Precious i Abu?

Opada na materac, a kiedy próbuje przenieść nogi na posłanie, jej twarz wykrzywia się w grymasie bólu. Nogi mamy przypominają suche i martwe gałęzie. Łóżko jest w nieładzie.

– Mamu, jak się czujesz? Co się dzieje?

– Jestem tylko trochę zmęczona. Twój brat i siostra są u cioci, ale zaraz powinni tu być. Nie ma się czym martwić.

Mama prawie nigdy nie chorowała. Jest silniejsza od bawoła. Myślami wracam do rozmowy starszyny, którą ostatnio słyszałam.

– Chodź, Adanno, usiądź obok mnie.

Powoli powłóczę nogami po zabrudzonej podłodze i siadam na łóżku. Zaskrzypiało głośno, jakby miało się zaraz załamać.

– Chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo cię kocham i jak bardzo wyjątkowym jesteś dzieckiem. Kiedy nosiłam cię jeszcze pod sercem, wiedziałam, że będziesz kimś szczególnym. Bóg czuwa nad tobą.

– Dziękuję, mamusiu, ale dlaczego o tym mówisz?

– Chcę, żebyś wiedziała, kim jesteś. Nigdy nie trać nadziei. Nie wolno ci myśleć, że nie dokonasz wielkich rzeczy. Chcę, żebyś wierzyła w siebie, bez względu na wszystko.

– Och, mammo. Ja wierzę w siebie. Któregoś dnia dostanę pracę i kupię jedzenie dla nas wszystkich, żebyśmy już nigdy nie głodowali.

– Tak, dziecko, wiem o tym. – Objęła moją dłoń. – Aleja mówię o dokonaniu w życiu czegoś wyjątkowego, o dalekich podróżach i wypełnieniu przeznaczenia. Nie zmarnujesz swojego życia na tej pustym, sam Bóg dał mi to do zrozumienia. Musisz dbać o Precious i Abu. Znajdź jakiś sposób, żeby wydostać was stąd. Rozumiesz, o czym mówię?

– Chyba tak.

– Bez względu na to, co się stanie i jak źle będzie. – Zwinęła się w kłębek i zaczęła głośno kasłać.

– Mammo, co ci jest? Mamusiu, mogę ci jakoś pomóc?

– Przygotuj coś do jedzenia dla nas wszystkich.

Pocałowałam ją. Czoło mamy jest chłodne, zupełnie jakby dookoła panowała zima, a nie lato. Z lekko słonawym posmakiem w ustach idę do lasu po drwa.

Od tygodni mama nie jadła nic dobrego. Do sklepu jest zaledwie trzy kilometry. Pójdę tam i kupię dla niej coś dobrego. Kilka razy chodziłam tam razem z tatusiem po ogon wołowy na zupę, gdy chcieliśmy uczcić coś naprawdę wyjątkowego. Obok sklepu jest miejsce, które napawa mnie strachem. Siedzą tam obcy mężczyźni, piją alkohol i mówią brzydkie rzeczy. Przypominają warczące zwierzęta. Staram się o tym nie myśleć, gdy tam idę.

Mijam to złe miejsce ze spuszczoną głową. Aż ślinka mi cieknie, gdy mój wzrok zatrzymuje się na kilku bochenkach chleba za lśniąca czystością sklepową szybą. Burczy mi w brzuchu, przypomina to odgłos bębna podczas rytualnych tańców. Mogłabym ukraść ten chleb i nawet nie poczułabym się winna.

Obserwuje mnie otyła kobieta, o groźnym spojrzeniu. Z pewnością nie narzeka na głód. Lada pachnie zsiadłym mlekiem. Czuję się brudna i zażenowana. Wyobrażam sobie, że jestem księżniczką.

– Dzień dobry. Czy może mi pani pożyczyć bochenek chleba?

– Pożyczyć? Dziecko, w tym sklepie niczego się nie pożycza. Masz jakieś pieniądze? Tylko w ten sposób możesz kupić sobie chleb.

– Nie mam pieniędzy. Ale obiecuję, że oddam je pani, gdy tylko będę mogła. Moja mama zachorowała, na pewno dlatego, że nie ma co jeść.

Do sklepu wchodzi mężczyzna w czerni. Na dworze stoi srebrny błyszczący samochód, na jego masce widzę jakiś znak przypominający gwiazdę. Spogląda na mnie z obrzydzeniem. Ciekawe, dlaczego mnie nienawidzi.

– Wszystkim nam brakuje jedzenia. Musimy płacić za to, co jemy. Jeśli nie masz pieniędzy, nie mogę ci pomóc.

– Co mogę zrobić, żeby zarobić na bochenek chleba? Czy mogę u pani popracować? Ja dobrze pracuję, mogłabym posprzątać w sklepie.

– Wykluczone. Ale możesz iść i zapytać w sąsiedztwie, czy ktoś nie kupiłby ci chleba. Może oni się nad tobą ulitują.

– Oto litość dla ciebie – zaśmiał się głośno elegancki mężczyzna. I rzucił mi monetę.

– Dziękuję panu. – Niestety to nie wystarczy nawet na kawałek skórki. Odwraca się do mnie plecami, jakbym nie istniała.

Jego zachowanie rozbawiło tę niemłą kobietę za ladą. Nie mam wyboru, muszę poprosić o litość mężczyzn z sąsiedztwa. Może uda mi się zebrać wystarczającą ilość monet, żeby kupić bochenek chleba. Poszukam kogoś życzliwego.

Mały korytarz wypełniony jest dymem i stęchłym zapachem alkoholu pędzonego z kukurydzy. Szukam jakiejś przyjaznej twarzy, niestety nie widzę takiej.

Większość z tych mężczyzn to starsi ludzie. Tylko niektórzy są w wieku mojego taty. Spoglądają na mnie jak sępy na padlinę. Każdy z nich ma papierosa w zębach i kieliszek w dłoni. Kilku młodszych mężczyzn stoi przy zniszczonym stole bilardowym i gra.

Przechodzę obok nich, a oni wytykają mnie palcami, śmieją się ze mnie. Co w tym takiego śmiesznego? Jestem tylko dwunastolatką, ze spuchniętym z głodu brzuchem. Moje ubrania przypominają szmaty. Kiedyś były na mnie dobre, a teraz wiszą jak na szkielecie.

Starszy mężczyzna z brakującymi zębami piorunuje mnie wzrokiem. Porusza językiem jak wąż. Czuję strach, obracam się i chcę uciec, ale chwytam mnie mocno i przyciąga do siebie.

– Czego szukasz, dziewczynko? Przygody z prawdziwym mężczyzną?

Muszę iść, lecz on tak mocno ściska moją kościstą rękę. Pozostali mężczyźni śmieją się głośno.

Kopię go w pizczel, ale to nie pomaga. Uderza mnie pięścią w twarz i upadam na podłogę. Pluje na mnie, gdy leżę na wznak. Pozostali idą za jego przykładem i robią to samo. Ich ślina miesza się z ciekącą z mojego nosa krwią.

Wyciąga rękę i znowu mnie chwytam, moje paznokcie wbijają się w jego ciało, drapię go aż do krwi. Niestety jego uścisk staje się jeszcze mocniejszy, rozbawiony odchyła głowę do tyłu.

– Tylko tyle potrafisz?

Z mojej duszy wydobywa się krzyk. Wołam o pomoc, ale tu nie ma księcia, który rzuciłby się na ratunek księżniczce. Mężczyzna bije mnie po twarzy, od jego ciosów aż kręci mi się w głowie. Ucisza mnie, zakrywając mi usta swoją kwaśną i brudną ręką. Brakuje mi powietrza, zaczynam się krztusić.

Gryzę mocno jego dłoń i czuję w ustach smak jego zgniłej krwi. Z bólu aż wykrzywia twarz, ale to doprowadza tego demona do jeszcze większej wściekłości. Wlecze mnie do pomieszczenia z tyłu sklepu, jakby ciągnął zwłoki. Pachnie tu pleśnią i uryną. Śmiech cichnie, drzwi zamykają się z trzaskiem, gdy wciska mnie w ścianę.

– No, dziewczynko, czego chcesz? Co? Przyszłaś tu, żeby się zabawić? Dam ci to, czego szukasz.

Z jego ust cuchnie alkoholem. Krztuszę się, chce mi się wymiotować, ale nawet nie mam czym. Dotyka moich ust swoim okropnym językiem.

– Chcę tylko bochenek chleba dla mojej chorej mamy! – wykrztusiłam.

– Tylko tyle mnie to będzie kosztować? Bochenek chleba? Postaraj się, a dam ci dwa.

Rzuca mnie na ziemię i kładzie się na mnie, podciągając moje ubranie.

– Będzie bolało, ale tylko chwilę.

Z mojej duszy wyrywa się jęk skargi.

– Och, Boże, ocal mnie. Proszę, ocal mnie.

Widzę wszystko jak przez mgłę. Na suficie przesuwają się jakieś cienie. Inni mężczyźni wchodzi do środka, żeby popatrzeć. Chyba zaraz umrę. Kolejny krzyk, lecz mój głos też się poddaje. Zapada cisza. Wszystko jakby zamiera w bezruchu. Nie czuję już bólu.

– Adanno, jestem przy tobie.

Podchodzę do złotego tronu.

– Jestem w domu?

– Nie, jeszcze nie nadeszła odpowiednia chwila.

– Proszę, nie każ mi wracać.

– Adanno, pamiętaj, kim jesteś. Pamiętaj, co oznacza twoje imię, i nie zapominaj o darze, który ci dałem.

– Proszę, spraw, żeby oni mnie zostawili.

– Adanno, nie trać wiary.

– Co dobrego może przynieść dar, którego nie rozumiem? Co napisano na tym zwoju?

– Zaufaj Mi, tylko o tyle cię proszę.

– Ale ja nie wiem, jak to zrobić!

Unoszę się nad moim ciałem. Spoglądam w dół. Leży na mnie jakiś mężczyzna, przypominający raczej zwierzę niż człowieka. Trzyma w rękach moją sukienkę, rwie ją na strzępy, rzuca na bok. Do pomieszczenia wchodzi dwóch innych mężczyzn, chwytają te strzępy, jakby stanowiły jakąś nagrodę. Ściskają je i wachają.

Czas jakby się zatrzymał. Widzę siebie leżącą na ziemi w bezruchu. Do pomieszczenia wpada jakaś postać, szybko niczym gepard i ściąga ze mnie to zwierzę. Ten potwór szybuje w powietrzu, jakby uderzyła w niego rozpędzona ciężarówka, i z hukiem ląduje na ścianie. Nagle jestem wolna. Nie jestem w stanie otworzyć oczu, z nosa i ust sączy mi się krew, ale żyję.

Słyszę brzęk rozbijanego szkła i trzask łamanych mebli, gdy pozostali mężczyźni uciekają przed wojownikiem, który mnie ocalił. Wszystko wokół zlewa się w całość i znika.

Rozdział ósmy

Otwieram oczy i widzę, że Charles pokonał naprawdę niezły szmat drogi. A miałem wrażenie, że zdrzemnąłem się tylko na chwilę. Mówi mi, że niedługo dotrzemy do Mbabane, stolicy Suazi. Tutaj jest zupełnie inaczej niż w Demokratycznej Republice Konga. Gdzie nie sięgnę wzrokiem, widzę góry i pofałdowane wzgórza, porośnięte zieloną trawą. Krajobraz przypomina raczej Irlandię niż Saharę.

Przyciskam guzik i szyba uchyla się z piskiem. Wdycham głęboko rześkie powietrze. Ogarnia mnie zdumienie na widok mnóstwa kwiatów i panującego dookoła ładu. Przypomina mi się czas spędzony w jednym z klasztorów w południowej Kalifornii. Każdego wieczoru otwierałem okna na oścież i wdychałem zapach jaśminu. Było mi tam tak dobrze.

– Panie Daniels, zatrzymamy się na chwilę na granicy. Jeszcze kilka minut i będziemy w Suazi. Proszę wyjąć paszport i iść za mną.

– Dobrze.

– To nie potrwa długo.

Dobrze jest rozprostować trochę nogi. Bez problemu pokonujemy granicę Konga. Wygląda na to, że bardzo chętnie się nas pozbywają. Przechodzimy krótki odcinek drogi i już jesteśmy w krainie Suazi. Wchodzimy do budynku służb granicznych, na ścianie wiszą dwa olbrzymie portrety.

– Od tej pory prawie w każdym budynku będzie towarzyszył panu ten wybuchowy duet – szepce Charles. – Królowa Matka i król Mswati.

– O ile wiem, bardzo tu ich czcicie.

– Można tak powiedzieć. Niestety jest to raczej wymuszone. Krajem rządzi Królowa Matka; każdy to wie. Król, czyli jej syn, to zwykła marionetka.

– Zapewne dobrze mu się powodzi.

– Tak, to prawda. Ma trzynaście żon i tyle pieniędzy, ile tylko zapragnie.

– Czyli ma wszystko, nie ponosząc przy tym żadnej odpowiedzialności. Co za życie!

Kolejka do punktu kontrolnego posuwa się bardzo powoli, gdyż wszystkich obsługuje tylko jeden urzędnik. Siedzi za ladą i pali papierosa, a jego zmarszczone brwi świadczą o tym, jak bardzo lubi swoją pracę.

– Właściwie to ma jeden obowiązek – dodaje Charles.

– No proszę, a jaki?

– Raz w roku przejeżdża cały kraj, szukając sobie kolejnej żony.

– Och, to prawdziwe wyzwanie.

– Wszystkie piękne kobiety, które sobie upatrzył, w grudniu tańczą przed nim topless. Ta, która robi to najlepiej, zostaje jego żoną.

– Żartujesz sobie?

– Nie, wcale nie żartuję. Chociaż mamy dwudziesty pierwszy wiek, w Suazi wciąż dominują starożytne pogańskie zwyczaje.

– Wielu młodych Amerykanów marzyłoby o takim królowaniu.

W końcu przyszła kolej i na nas, wpisano nasze dane do komputera i podstemplowano paszporty. Urzędnik ani razu nie podniósł wzroku, żeby się nam choćby przyjrzeć.

Droga prowadząca do stolicy jest bardzo kręta, aż mam mdłości. Sięgam do torby i łykam dimenhydrinat. Z każdym kolejnym zakrętem zbliżamy się do miasta. Jest naprawdę piękne, isticie królewskie. Znajduje się wysoko w górach, przed wrogiem ma chronić je zwykły mur.

Szybko docieramy do centrum, wysokie budynki wzbijają się w niebo, na ulicach jest tłoczno. I chociaż większość tych ludzi to obcokrajowcy, miejsce niczym się nie różni od każdej innej większej metropolii. Zatem wszystko w porządku.

Niestety, gdy tylko wyjeżdżamy z miasta, pojawia się dramatyczna rozbieżność. Zamiast elegancko ubranych mężczyzn i kobiet widzę dzieci. Przy drodze jest ich całe mnóstwo. Mają na sobie podarte ubrania. Dziewczynka i chłopiec, mający nie więcej niż osiem lat, przeszukują śmietnik. Szmaty, które mają na sobie, odsłaniają kościste ciała.

Dostrzegam dzieci z niemowlętami na plecach. One także wyglądają na bezdomne i porzucone. Jedna z dziewczynek z niemowlęciem na plecach podbiega do naszego samochodu i starą podkoszulką zaczyna czyścić przednią szybę.

– Chcą pieniędzy. Chętnie zrobią wszystko, żeby tylko mieć co jeść. Umyją szyby, sprzedadzą swoje ciało, to bez znaczenia.

– Jak nisko może upaść człowiek?

– Tak nisko, żeby tylko przetrwać, panie Daniels.

Przy drodze zauważam dwoje umorusanych od stóp do głów dzieci, mają ze trzy lub cztery lata, ich stopy są bose, wyciągają do nas ręce.

– To straszne – mówię, bardziej do siebie niż do Charlesa.

– Można to tak opisać.

– Aż nie chce mi się wierzyć, że to dzieje się naprawdę.

– A myślał pan, że jest inaczej? Podczas gdy Amerykanie skarżą się, że stek jest niedosmażony, te dzieci szukają jedzenia po śmietnikach! – Najwyraźniej Charles czuje się już zupełnie swobodnie w moim towarzystwie.

– Wszędzie jest ich pełno – jak mrówek. – I wtedy dociera do mnie, że to przecież dzieci.

– Charles, a gdzie są ich rodzice? Dlaczego jest tu aż tyle dzieci?

– Panie Daniels, ludzie tu mają szczęście, jeśli dożyją trzydziestki.

Mijamy szpital, rozpadający się, trzypiętrowy biały budynek, przypominający raczej porzucony schron przeciwbombowy z lat zimnej wojny. Ludzie leżą na dworze jak śmieci. Przypomina to bardziej jadalnię dla bezdomnych niż izbę przyjęć.

Przy ulicy stoją starsze kobiety, usiłujące sprzedać przechodniom swoje ręcznie wykonane wyroby. Gdy zatrzymujemy się na światłach, napotykam na wzrok jednej z nich. Ma ogorzałą i zniszczoną twarz. W jej dużych i wyraźnych oczach widać zmęczenie, jak u konia ciągnącego przeładowany wóz i bliskiego wyczerpania, zarazem jednak przebija z nich jakieś dostojeństwo i determinacja.

Wita nas szcęk otwieranej bramy, gdy Charles zajeżdża pod elegancki hotel. Przypomina mi się prosta amerykańska architektura z lat sześćdziesiątych – piękna, jednak staroświecka.

– Panie Daniels, a oto kawałek Ameryki, tutaj w Suazi. Nazywamy tę okolicę Niebiańską Doliną.

Jest lepiej, niż się spodziewałem. Byłem przygotowany na to, że będę spał w buszu, narażony z rana na atak jadowitej kobry, a wieczorem zmuszony do picia małpiej krwi wraz z tubylcami. Dzięki Bogu jest inaczej. Może nawet mają tu piwo z beczki.

Zastanawiam się nad moim rzeczywistym podejściem do zlecenia, które otrzymałem. Nie wiem, czy dam radę fotografować na wpół martwych ludzi, trzymających się kurczowo tłącego się żyda, które lada moment zgaśnie.

Myślę o tym, co usłyszałem przed wyjazdem od Wielkiego Billa, mojego szefa i przyjaciela. Zaprosił mnie na lancz, a potem wyjechał z tą propozycją, stawiając mnie pod murem.

– Stuarcie, chcielibyśmy zatrzymać cię w *Timesie*. Cholera, wszyscy przecież wiedzą, że jesteś autorem jednych z najlepszych zdjęć. Masz świetne oko i stalowe nerwy. Niestety masz

coraz mniej zleceń, a ja nie mogę cię dłużej kryć. Musisz coś z tym zrobić, dać nam jakieś dobre zdjęcia albo jesteś skończony.

Pokiwałem tylko głową, a potem zacząłem opowiadać mu o wszystkich swoich problemach. I chociaż byłem już nieco otepiały po kolejnym kieliszku martini, czułem, że on tak naprawdę wcale mnie nie słucha. Ze dla niego liczy się jedynie biznes.

Nie mogło być już gorzej. I oto jestem tutaj, tysiące kilometrów od domu. A do tego... sam już nie wiem, czy w ogóle mam jeszcze dom.

– Stuarcie – usłyszałem czyjś niski głos na końcu korytarza. To Gordon, mój wspólnik z Suazi. Przywitał mnie entuzjastycznie mocnym uściskiem dłoni.

– Witamy w Suazi, w królestwie AIDS, gdzie liczba zarażonych wirusem HIV jest największa na świecie!

– Cześć, Gordonie. Świetnie znowu cię zobaczyć. – Ten człowiek to prawdziwy weteran. Zaczął od kariery w *Manchester Guardian*, a potem przeniósł się do *Timesa* i podróżował po całym świecie, pracując na umowy zlecenia. W końcu zatrzymał się w Afryce i obecnie jest głównym korespondentem z RPA.

Nosi okulary, co dodało mu kilka lat, ma zupełnie siwe włosy i nieco rzadsze niż ostatnim razem, gdy się widzieliśmy. Prawdopodobnie to samo myśli o mnie, na szczęście przy mojej fryzurze w stylu Jima Morrisona nie widać aż tak kryzysu wieku średniego. Gordon przypomina trochę Einsteina po drzemce.

Zawsze go lubiłem, chociaż niezły z niego szajbus.

– Królestwo AIDS, tak? Powiedziałeś to tak, jakby chodziło o jakiś zaszczyt czy coś w tym stylu.

– Nie ma sensu ukrywać prawdy, Stuarcie. Najgorszy wróg to ten, którego nie widać.

– Fakt, musisz jednak przyznać, że to nieco szalone powitanie.

– Nie przejmuj się. Kiedy tu się przeprowadziłem, miałem wrażenie, że wszystko dokoła jest jednym wielkim obłędem. Po pewnym czasie przywykłem do tego, że obłęd to część życia. Śmierć, głód, choroby, gwałty, kazirodztwo – przyzwyczaisz się do tego.

Tak naprawdę sam nie wiem, czy on mówi poważnie.

Za plecami słyszę jakiś przeraźliwy wrzask, do złudzenia przypominający rozpaczliwe błaganie o pomoc. Obracam się i widzę dwie małe skaczące po drzewach w pogoni za trzecią. Mam wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi.

Gordon wybucha śmiechem.

– Masz taką minę, jakbyś zobaczył ducha!

– Tak, omal nie narobiłem w gacie.

– Witamy w Afryce. Tak na marginesie, nie wyglądasz najlepiej, idź i rozgość się w pokoju. Spotkamy się za godzinę w holu.

– Jestem po prostu trochę zmęczony.

Poklepał mnie po ramieniu.

– Pamiętaj o wypróżnieniu.

– Co?

– Stu, mam ci to przeliterować? Zanim wyruszymy do buszu, radzę, żebyś zafundował sobie dłuższe posiedzenie.

– Tak, zrobię to – zaśmiałem się.

Odwrocił się i skierował w stronę baru. Równy gość.

– Jeśli się pośpieszysz, kupię ci piwo.

Na myśl o tym, aż ślinka mi cieknie, przyśpieszam kroku. Stukot moich butów o białą marmurową posadzkę sprawia, że po całym holu roznosi się echo, gdy idę do pokoju. Przed sobą widzę kamienną ścieżkę i kwadratowy, zielony dziedziniec, otoczony kilkudziesięcioma innymi pokojami. Urzekający widok. Teraz rozumiem, dlaczego nazywają to miejsce Niebiańską Doliną. Poniżej, między pofałdowanymi wzgórzami i bujną szmaragdową

roślinnością porastającą zbocza gór, rozciągają się rozległe połacie żyznej ziemi. Aż zapiera mi dech w piersiach. Kto by pomyślał, że miejsce, w którym śmierć rozpostarła swoje panowanie, może być zarazem tak piękne?

Biorę długi i głęboki wdech, po czym wyrzucam z płuc resztki rakotwórczych substancji, pozostałość po Nowym Jorku. Rozkoszuję się czystym powietrzem tak jak zapachem nowego samochodu. Już prawie zapomniałem, jak to jest.

Mountain Inn, ten hotel zupełnie nie kojarzy mi się z Afryką, przynajmniej z tą, którą poznałem. Wpływ angielskiego kolonializmu wciąż jest bardzo silny w wielu zakątkach świata. Kraina Suazi to jeden z nich. To także sposób na przyciągnięcie tu bogaczy, podczas gdy niepożądany element trzyma się z dala od tego miejsca.

Pokój jest trochę za mały i pachnie tu stęchlizną, ale jest dosyć wygodny. Wnętrze przypomina typowy motel z lat sześćdziesiątych. Dwa pojedyncze łóżka, małe biurko, a na nim lampka oraz ekspres do kawy i kilka torebek Nescafe. Od lat nie widziałem takiego wystroju. Z telewizyjnych głośników dochodzi znajomy dźwięk: CNN International. Nieważne, ile tysięcy kilometrów dzieli cię od domu, złe wieści wszędzie cię dopadną. Właśnie poinformowano o strzelaninie w jednej ze szkół w Beverly Hills.

Nagle słyszę krótki sygnał, mój komputer kieszonkowy właśnie poinformował mnie, że dostałem maila. Zerkam na wyświetlacz. To od Billa.

Wystarczy, że tylko pomyślę o tym facecie i zaraz się odzywa. Nie mogę od niego uciec. Siadam na łóżku i biorę głęboki wdech, zanim zacznę czytać nieuchronny wyrok.

Stuarcie,

chciałem ci tylko przypomnieć o naszej ostatniej rozmowie. Potrzebuję zdjęć, na których uchwycisz AIDS oraz spustoszenie, jakie czyni. Spróbuj dotrzeć do tych ludzi. Wiem, że sobie poradzisz!

Bill

Uwielbiam takie dwuznaczne komplementy. Wciąż nie czuję się sobą, celebruję więc rutynę, do której się uciekam po każdej długiej podróży samolotem i zmianie stref czasowych. Myję zęby, chlapię twarz lodowatą wodą i czekam na cud. W myślach słyszę słowa Charlesa: „Czy przyjechał tu pan jedynie po to, by robić zdjęcia cierpiącym ludziom, a potem prezentować ich całemu światu, jakby byli zwierzętami?”.

Jesteś bydlakiem – słyszę głos w swojej głowie. – *Jesteś bydlakiem*. Być może. Nagle czuję falę lęku, a wraz z nią skurcze żołądka, zupełnie jakby otworzyła się jakaś tama. Siadam na krześle i biorę kilka łyków wody. Szumi mi w głowie, łykam więc ibuprofen i jedną z tabletek na uspokojenie, które przepisał mi dr Brandon.

Gdy ożeniłem się z Whitney, byliśmy w sobie zakochani do szaleństwa. Miałem pracę, którą uwielbiałem, oraz pieniądze spływające na moje konto niczym wezbrana rzeka. Nie mogło być lepiej. Nikogo bym nie skrzywdził.

Jednak po jakimś czasie coś zaczęło się zmieniać. Sam nawet nie wiem kiedy, na początku miało to bardzo powolny przebieg. Zacząłem tracić motywację i to zarówno w stosunku do pracy, podróży, małżeństwa oraz życia. Rano nie mogłem zwlec się z łóżka, a wieczorem miałem problemy z zaśnięciem. Nienawidziłem słońca, nie chciałem przebywać między ludźmi i z jakichś powodów, które wymykają się wszelkiej logice, przestało zależeć mi na Whitney.

Nadal dzieliliśmy z sobą mieszkanie, chociaż od tygodni żyliśmy w separacji. Sam nie wiem, dlaczego przyjąłem to zlecenie – na pewno nie chodziło o odrodzenie wiary w siebie. Nie mogę nawet powiedzieć, że to ostatnia próba ratowania tego, co niegdyś wyglądało na obiecującą karierę. Po prostu chciałem uciec na trochę. Oddzielić życie, które już nie

przypominało mojego, od niepewnej przyszłości. Gdyby nie fakt, że tak bardzo nienawidzę Afryki, być może zatrzymałbym się tu na dłużej.

Zapakowałem aparat, obiektyw i trójnog do najmniejszej pomarańczowej torby. Schodząc na dół, wchłaniam w siebie możliwie jak najwięcej otaczającego mnie piękna.

Gordon już na mnie czeka, zerkając znad lokalnej gazety.

– Stuarcie, wyglądasz znacznie lepiej. Przed hotelem stoi samochód, który zawiezie nas do Beckilanga. To punkt żywnościowy, do którego po jedzeniu przychodzą setki dzieci, głównie sierot.

Wygląda na to, że piwo musi poczekać.

Wskakujemy do mitsubishi pajero, samochodu z napędem na cztery koła, przystosowanego do jazdy po wyboistych afrykańskich drogach. Siadamy z Gordonem z tyłu. Czuję od niego dżin, a jego niebieskie oczy są tak samo przekrwione, jak moje.

– 1 co piszą w dzisiejszym dzienniku?

– Jak zawsze same potworne rzeczy. Brat zgwałcił ośmioletnią siostrę.

– Co za barbarzyństwo!

– Nawet nie masz pojęcia. Tam widać mój dom. – Gordon wskazał na skromny budynek za żelazną bramą, otoczony prawie trzymetrowym betonowym ogrodzeniem.

– Niezła forteca. Sądziłem, że tu jest bezpieczniej niż w wielkich miastach.

– Tak, Stu, ale tutejsi ludzie też są zrozpaczeni. Usiłują kraść owoce z moich drzew, banany, a nawet resztki jedzenia ze śmietnika.

Nie mogę wystawić śmieci ani sekundę wcześniej przed przyjazdem śmieciarki, inaczej roznieśliby je w cztery strony świata.

– A jak śpisz w nocy? Nie boisz się o życie?

– Nie do końca, ale trzeba się mieć na baczności. Muszę zachować rozsądek. Poza tym mój rodezyjski ridgeback pogoni każdego, kto byłby na tyle głupi, żeby przeskoczyć ogrodzenie.

– Ma robić za pit bulla, tak?

– Te psy pojawiły się tu w czasach apartheidu i miały rozrywać jądra każdemu czarnemu facetowi, którego spotkały. Myślę, że oni ciągle jeszcze czują ból swoich przodków.

– Właściwie to dlaczego tu się przeprowadziłeś? Rozumiem, że są tu bardzo wyraźne pozostałości angielskich wpływów, ale z całą pewnością nie jest tu zbyt gościnnie.

– Coś ci pokażę. – Z tylnej kieszeni swoich spranych dżinsów wyciąga portfel i wyjmuję z niego zdjęcie. Wygląda na rodzinną fotografię: Gordon, piękna biała kobieta i prześliczna, ciemnoskóra dziewczynka, mniej więcej dwunastoletnia, z dużymi, piwnymi oczami. Dziewczynka ma na sobie dżinsowe, rozszerzane spodnie, ciemne, skórzane botki i jasną koszulę w paski z sercem na środku. Jej uśmiech mógłby rozjaśnić całe miasto.

– To moja żona Jo i nasza córka. – Wskazuje na nie z czułością. – Pewnie już o tym słyszałeś.

– O czym?

– Ach, nieważne. To długa historia.

– Mam czas.

Gordon bierze długi wdech.

– Kiedy skończyłem zlecenie w Suazi, postanowiliśmy przeprowadzić się do RPA. Wtedy byliśmy tylko we dwoje. Moja żona zakochała się w tym miejscu i ludziach. Byli tacy serdeczni i gościnni.

– Pomimo iż było tu tak niebezpiecznie?

– Piętnaście lat temu sytuacja nie wyglądała aż tak dramatycznie. To było naprawdę urocze miejsce. Mówiono o pojedynczych przypadkach AIDS, ale większość ludzi była zdrowa. Pociągała nas tutejsza kultura, bogate i interesujące tradycje panujące tu od pokoleń.

Zerkam przez szybę. Znajdujemy się poza miastem, krajobraz drastycznie się zmienia. Widzę pofałdowane wzgórza, a wszędzie aż roi się od chat z gliny i patyków. Ikona... sielska ikona żywcem z National Geographic.

– Jo poznałem jeszcze w szkole średniej. Kochałem ją nad życie. Marzyliśmy o dużej rodzinie, okazało się jednak, że nie możemy mieć dzieci – przerwał i spojrzał mi prosto w oczy. – Nie wiem, czy na pewno chciałbyś to usłyszeć.

– Chcę. Proszę, powiedz mi o tym.

– Kiedy przeprowadziliśmy się do RPA, zaczęliśmy działać w małej lokalnej społeczności, razem z Lynn, naszą znajomą. Miała złote serce i niezwykle podejście do dzieci. Okolica była biedna, naprawdę biedna. Jeździliśmy tam co tydzień, żeby jej pomagać. Uczyliśmy w szkole, gotowaliśmy, a nawet wprowadzaliśmy dzieci w tajniki łowienia ryb i pływania. Prawdę mówiąc, my także dużo się od nich nauczyliśmy. Dni przeszły w miesiące i pewna mała dziewczynka o imieniu Aisha skradła nam serca. Była pełna życia i taka niewinna. Obydwoje wiedzieliśmy, że gdybyśmy mogli mieć dziecko, to chcielibyśmy, żeby było takie jak Aisha. Poza tym, że na pewno byłoby białe.

Obydwaj się roześmialiśmy.

– Jej ojciec zmarł kilka lat wcześniej. Nigdy nie dowiedzieliśmy się dlaczego. A potem zachorowała jej matka. Zmarła w ciągu miesiąca. Powiedziano nam, że to była gruźlica. Teraz wiem, że raczej nie.

– Myślisz, że to mogło być AIDS.

– Tak, sądzę, że tak. Wtedy jednak niewiele widzieliśmy o AIDS. W każdym razie powiedziano nam, że Aisha nie ma żadnych krewnych, bo wszyscy wyemigrowali z Suazi. Była zupełnie sama. Nikt się o nią nie troszczył, nie miała co jeść.

– Tak po prostu? To aż niewiarygodne.

Jeśli chodzi o dzieci, Whitney i ja nie mieliśmy wspólnego języka. Może raz albo dwa zapragnąłem być ojcem, ale to zbiegło się z tymi rzadkimi chwilami, gdy ona nie chciała być mamą.

– Tak, to dziecko na nowo ożywiło nasz związek. Stała się naszą córką. Jej imię oznaczało „życie” i rzeczywiście tak było. Mówił o tym jej uśmiech, jej śmieszne powiedzonka, a nawet napady złości. To był cudowny czas.

Był. Czas przeszły. Nie wiem, dokąd zmierza ta historia. Gordon bierze kolejny głęboki wdech, a w jego oczach pojawiają się łzy.

– Wyjechałem wtedy do Mozambiku, otrzymałem zlecenie od *Manchester Guardian*. Tego lata panował tam potworny głód, miałem zrobić o tym reportaż. I kiedy mnie nie było...

Przerywa w połowie zdania. Kładę rękę na jego ramieniu. Ociera kilka łez.

– Gordonie, nie musisz tego kończyć. Naprawdę.

Odnoszę wrażenie, że mnie nie słyszy.

– 1 kiedy mnie nie było, do naszego domu włamał się mężczyzna. Jo i Aishy także nie powinno tam wtedy być. W tym czasie miały brać udział w safari wraz ze znajomymi z Anglii, ale oni musieli to odwołać w ostatniej chwili z powodu śmierci w rodzinie. I ten włamywacz... ten demon w ludzkim ciele zastrzelił je obie.

– Tak mi przykro.

– Po ich śmierci nie mogłem dłużej mieszkać w tym domu. Myślałem nawet o powrocie do Anglii, nie mogłem jednak tego zrobić. Zawsze mówiliśmy sobie z Jo, że resztę naszego życia spędzimy w Afryce. Postanowiłem uszanować tę obietnicę. Aisha pochodziła z Suazi, więc postanowiłem tu zamieszkać. Pomyślałem, że być może uda mi się cokolwiek tu zmienić.

– Jesteś świętym człowiekiem.

– Tak naprawdę nie musiałem podejmować żadnej decyzji, bo wszystko było ustalone już od dawna. Obydwoje kochaliśmy Afrykę i zależało nam na tych ludziach. Nie miałem dokąd pójść.

– Nie sądzę, żebym potrafił zdobyć się na coś takiego. Pewnie bym stąd wyjechał. Nie mógłbym zapomnieć o zemście.

– Stuarcie, tutaj chodzi o dzieci. Nigdy nie byłem religijny, ale te wszystkie doświadczenia zmieniły mnie. „Człowiekiem religijnym i nieskazitelnie czystym przed Bogiem Ojcem jest ten, kto sierotom i wdowom przychodzi z pomocą” – te słowa z Biblii szczególnie do mnie przemawiają. Rozumiesz, ktoś musi im pomagać. Zrozumiałem, że to mogę być ja.

– Święty Gordon. – Znowu zignorował mój komplement. To oczywiste, bo przecież właśnie tacy są święci.

Zbliżamy się do punktu żywnościowego poza Manzini i wprost nie mogę uwierzyć w to, co widzę. Wiatr, oburzony na resztę świata, głośno huczy, roznosząc kurz we wszystkich możliwych kierunkach. W oddali dostrzegam setki dzieci, jedne stoją, inne leżą na ziemi lub odpoczywają w cieniu drzew. Przypomina to obóz dla uchodźców. Dzieci nie mają co robić, nie ma żadnego ogrodzenia, żadnych namiotów czy placu zabaw, tylko pusta przestrzeń. Pomędzy nimi siedzą dwie kobiety w kolorowych turbanach na głowach i robią na drutach.

– Dlaczego jest tu aż tyle dzieci?

– Przyszły z nadzieją, że dostaną coś do jedzenia – odparł Gordon. – Ale, jak to często bywa, rząd i organizacje humanitarne nie dostarczyły żadnej żywności. Kiedy jest się tak głodnym, nawet sama nadzieja, że być może dostaniesz coś do jedzenia, to wystarczający powód, żeby przejść pięć i więcej kilometrów.

– Jak długo już czekają?

– Z tego, co wiem, to już czwarty dzień.

– Czwarty dzień? To jakiś obłęd. Dlaczego tutaj wciąż są?

– Nie mają gdzie iść, a po drugie, dzień jeszcze się nie skończył. Ciągłe mają nadzieję, że żywność może pojawić się w każdej chwili. To właśnie oznacza mieć nadzieję wbrew nadziei.

– To zupełnie nie przypomina kolejki po zupę w jadalni, jaką widziałem w Stanach. – Wiatr jest tak silny, że aż trudno rozmawiać.

– Mój drogi, dla nich zupa to luksus. Ich posiłek składa się z kukurydzy i odrobiny fasoli. To gęsta, rozgotowana papka. Smakuje tak samo, jak się nazywa, ale jest tania. Obliczyliśmy, że jedna porcja kosztuje około siedmiu centów. Jeden posiłek dziennie, pięć razy w tygodniu, jeśli mają szczęście, czyli miesięczny koszt to mniej więcej półtora dolara.

Zanim zdążyłem przeliczyć w myślach, ile dzieci mógłbym nakarmić, gdybym raz w tygodniu odmówił sobie kubka kawy ze Starbucksa, rozległo się głośne trąbienie. Po wyboistej drodze jedzie nowusieńki dostawczy mercedes. Na jego boku widnieje napis „Food vision”.

– Food vision. A więc gdzie to jedzenie?

– Też chciałbym to wiedzieć.

Patrząc na rozdęte brzuszki tych dzieci, ma się wrażenie, że skóra jest maksymalnie odciągnięta od kości. W ich oczach nie ma światła. Myśl o tym, że te dzieci mogłyby grać w piłkę nożną, chodzić na lekcje baletu lub jeść na obiad pieczony schab, wydaje się strasznie pusta.

Instynkt fotografa bierze górę, przystawiam aparat do oka i zaczynam robić zdjęcia. Po cichu zanoszę do Boga, w którego sam nie wiem, czy wierzę, egoistyczną modlitwę. *Proszę, żeby te zdjęcia przyniosły jakiś zysk. Moje życie musi wrócić do normy.*

Idziemy w kierunku drzew, gdzie zgromadziła się ponad setka ludzi.

– Stuarcie, chciałbym przedstawić cię pastorowi Walterowi. To dzięki niemu wszystkie te dzieci są jeszcze żywe, nawet jeśli dzisiaj sytuacja nie wygląda najlepiej.

Walter to niski mężczyzna, mierzący około metra sześćdziesięciu pięciu centymetrów. Idzie do nas, utykając na jedną nogę, jego twarz rozjaśnia niezwykle uśmiech, odsłaniając rząd lśniąco białych zębów. Zamiast skupić wzrok na jego radosnym spojrzeniu, nie mogę oderwać oczu od sporej przerwy między zębami, gdzie powinna być jedynka.

– Miło pana poznać, panie Daniels. Modlę się w pańskiej intencji od dnia, gdy dowiedziałem się, że pan przyjedzie.

Jego akcent i zaciśnięte usta sprawiły, że moje nazwisko zabrzmiało jak „Dinnels”.

– Modli się pastor za mnie?

– Bóg przygotował tu dla pana coś szczególnego.

Mam taką nadzieję. Potrzebuję tych pieniędzy.

– Tak – wymamrotałem. – Nie za bardzo wiem, jak to rozumieć, ale mnie także miło poznać pastora. Dziękuję za to, co pastor tu robi.

Głupio to zabrzmiało, ale co innego miałem powiedzieć. Ciekawe, czy mniej więcej tak bym się czuł, poznając Matkę Teresę. Z całą pewnością ten mężczyzna wygląda inaczej, niż to sobie wyobrażałem, chociaż sam już nie wiem, czego tak naprawdę się spodziewałem. Jest taki skromny. Nie ma w nim żadnego podstępu.

Wyciągam rękę i ściskamy sobie dłonie, podczas gdy on wolną ręką obejmuje swoje przedramię. Przypominam sobie, że gdzieś o tym czytałem. Oznaka szacunku? I jakbym wiedział, co robię, ja także chwytam się za przedramię.

– Dziękuję, dziękuję, bracie. Tylko Bogu należy się chwała. Bez Niego nic nie moglibyśmy zrobić dla tych wspaniałych dzieciaków.

A także i dla siebie. Nastał trudny czas dla naszego kraju. Wiemy jednak, że Bóg o nas nie zapomniał i przeprowadzi nas przez to wszystko.

Pastor ma mocny akcent, mam problemy ze zrozumieniem tego, co mówi.

– Walterze, opowiedz Stuartowi swoją historię – zachęca Gordon.

– To nie moja historia, to historia tych ludzi – rozkłada szeroko ramiona, jakby chciał objąć cały świat. Następuje długie milczenie. Tak jakby miało wyjaśnić wszystko, co powinno być powiedziane. Być może rzeczywiście to wystarczy.

– Walterze, myślę, że przydałoby się nieco więcej szczegółów.

Pastor uśmiecha się i odwraca do mnie twarzą.

– Kiedy w mojej wspólnocie zaczęło umierać coraz więcej ludzi, czułem się zdruzgotany. AIDS uczyniło życie w naszym kraju bardzo bolesnym. Zawsze stawałem przed moimi parafianami i opowiadałem im o dobroci Boga, ale pewnego dnia rozejrzałem się po kościele i zauważyłem, że pełno w nim sierot, a każda z nich jest bardzo głodna. Trudno wtedy mówić o dobroci Boga. Te dzieci nie miały nikogo, kto mógłby im pomóc, nikogo poza Kościołem. Innego dnia podczas nabożeństwa w jednym kącie leżało kilkoro dzieci. Kiedy zakończyliśmy modlitwy, wszyscy wstali i wyszli, poza jednym dzieckiem. Pomyślałem, że pewnie zasnęło z wycieńczenia. Podszedłem do niego, ale ono nie spało.

Do pastora podbiega śliczna dziewczynka i obejmuje go za nogę. Jej oczy błyszczą niczym słońce. Ubrana jest w żółtą, brudną sukienkę. Ma krótkie włosy. Czyżby chodziło o uniknięcie wszawicy? Pastor kładzie dłoń na jej kościstym ramieniu.

Na jego twarzy maluje się smutek.

– To było dla mnie prawdziwe przebudzenie. Boża miłość nie rozleje się na innych tylko dlatego, że o niej mówimy. Zrozumiałem, że muszę działać. Zacząłem wołać do Boga: „Przyślij nam ludzi, którzy będą mieli serce i pieniądze, żeby nam pomóc”. I wie pan, co odpowiedział mi Bóg? Powiedział: „Walterze, co masz w kieszeni? Zaczynaj dawać z tego, co masz, a Ja zatroszczę się o resztę”. I tak się właśnie stało. Tyle razy moje dzieci szły głodne

spać, bo gdybyśmy nie dali jeść innym dzieciom, to one umarłyby z głodu. Być może moje dzieci trochę schudły, ale za to inne pozostały przy życiu.

– Stuarcie, wczoraj rozmawialiśmy trochę z Walterem. Twierdzi, że byłoby dobrze, gdybyś odwiedził niektórych ludzi z jego wspólnoty i zobaczył, jak wygląda ich życie. Nie ma lepszego sposobu, jeśli chcesz uwiecznić prawdę o życiu tutaj.

– Tak, bracie. Myślę, że to dobry pomysł, żebyś odwiedził Samsona. Ma HIV, o wszystkim ci opowie. Mieszka na wzgórzu, niedaleko stąd.

Wsiadamy do samochodu. Zmieniam obiektyw, gdy jedziemy wyboistą drogą. Mógłbym zrobić to nawet podczas jazdy kolejką górską w parku rozrywki, do góry nogami. Przyznaję jednak, że jestem trochę podenerwowany. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się rozmawiać z kimś, kto jest nosicielem wirusa HIV.

Kilka minut później parkujemy przed rozpadającą się chatą, w małym zagajniku. Ktoś zebrał kilka patyków, dodał całą masę gliny i złożył to wszystko do kupy. Pofałdowany dach z blachy przytrzymuje dziesięć dużych kamieni. Jego brzegi falują i podnoszą się na wietrze. Wydaje się, że w każdej chwili może wznieść się do góry. To nie jest dom odpowiedni dla człowieka. Flesz szybko błyska, robię zdjęcia z każdej strony.

Wchodzimy do środka, zatrzymuje nas duszący zapach zgniłych ziemniaków. Jest tu bardzo mało miejsca, drugie pomieszczenie służy chyba jako sypialnia. Całość ma około trzydziestu metrów kwadratowych. Nie ma tu prądu. Przez dziury w dachu do wnętrza wpada kilka słonecznych promieni, to jedyne światło. Żadnego znaku życia.

– Samson, bracie, jesteś tu? – pyta pastor Walter.

Milczenie.

– Samson! – nadal cicho.

Uczucie grozy przedłuża się.

Pastor wchodzi do drugiej izby, a my siadamy z Gordonem na starej, chwiejącej się ławie. Chociaż wiem mniej więcej, jak dochodzi do zarażenia wirusem HIV, mam wrażenie, że wszystko w tym domu nosi znamię śmierci. Staram się niczego nie dotykać. Z drugiego pomieszczenia dochodzi odgłos szurania nogami i czyjś szept. Gordon rozgląda się po chacie i zapisuje coś w rozlatującym się notesie, który wygląda tak, jakby nosił go przy sobie co najmniej od piątej klasy podstawówki.

– To dobry znak – uspokaja Gordon głośnym szepciem.

Kilka minut później pojawia się pastor.

– Już idzie, jest bardzo słaby. To trwa od kilku tygodni. Martwię się o niego. Nie chce brać leków. Twierdzi, że jeśli Bóg zechce, to go uzdrowi. Jak mam go przekonać?

Samson z trudem człapie w naszą stronę. Podpiera się wysuszonym kijem, każdy jego krok mówi o bólu. Gordon, którego takt przyrównałbym raczej do zachowania dzika, podchodzi do niego, obejmuje go ramieniem i prowadzi, a wręcz prawie go niesie w stronę bardzo już zniszczonego fotela, stojącego w rogu izby.

Mam wrażenie, że samo dotarcie tam i zajęcie miejsca zabiera mężczyźnie około dziesięciu minut. Nie wiem, co powiedzieć, co zrobić. Czuję się nieswojo.

W końcu Samson przerywa ciszę. W jego spojrzeniu jest tyle żyda, ale dało zupełnie podupadło. Mogę jedynie wyobrażać sobie, jak silne musiało być kiedyś. Obejmuje kij, żeby utrzymać proste plecy, jego dłonie drżą. Wygląda tak, jakby w każdej chwili mógł osunąć się na podłogę.

– Witaj, bracie! To zaszczyt, że mogę cię poznać. Modliłem się o bezpieczną podróż dla ciebie.

– Ja też się cieszę, że możemy się spotkać. – Modlił się za mnie?

Gordon zapisuje coś w swoim notesie.

– Jeśli chodzi o ducha i charakter, Samson jest mocniejszy niż bawół – wtrąca pastor. – Może nie od razu to widać, dlatego trzeba otworzyć oczy duszy. Kiedyś nie był dobrym

człowiekiem. Jeździł ciężarówką i sypiał z kobietami, które spotykał na postojach. Właśnie tak zaraził się HIV.

– Nie jestem z tego dumny – szepnął Samson.

– Ale to człowiek kochający Boga. To On odmienił jego życie i Samson wierzy, że Bóg go uzdrowi. W tym albo w przyszłym życiu. – Pastor Walter przypomina teraz Martina Luthera Kinga.

– Chcę, by świat widział, że ciągle jestem człowiekiem – zaznacza Samson. – Nawet jeśli jestem śmiertelnie chory, wciąż mam uczucia i jestem dzieckiem Boga. To bardzo smutne, gdy jesteś chory, a cała społeczność, wszyscy, którzy znają cię od lat, traktują cię jak trędowatego.

Kiwam głową, moją uwagę zwracają dziwnie wyglądające krosty na jego twarzy. Przypominają czyraki.

– Chcę, żebyś zrobił mi zdjęcie. A pod nim napisał: „Ciało cierpiącego Chrystusa”.

Ze wszystkich zdjęć, które zrobiłem, to może wydawać się najdziwniejsze. Ten umierający, brudny i naznaczony śmiercią człowiek chce, żebym go sfotografował.

Staje prosto i opiera się o ścianę. Za jego plecami wiszą dwie fotografie.

– Samson, kim są ci ludzie? – Muszę to wiedzieć, skoro mam sfotografować go razem z nimi.

– To moi rodzice. Obydwoje nie żyją. Zachorowali na AIDS. Najpierw zaraził się mój ojciec, a potem wrócił do domu i zaraził matkę.

Stoi wyprostowany, na tyle na ile może. Na jego ustach pojawia się lekki uśmiech. Chce coś powiedzieć światu.

– A teraz – kontynuuje Samson – chcę, żebyś się za mnie pomodlił.

– Ale ja jestem tylko fotografem z *Timesa*. I naprawdę mało wiem o modlitwie. Niech pomodli się pastor Walter. On wie, jak to zrobić.

Pastor obejmuje mnie spojrzeniem.

– Stuarcie, proszę. Pomódl się za tego człowieka. Czekał na ciebie od tygodni. Pomodlimy się z tobą.

Czuję ciarki na plecach jak przed kolizją z furgonetką, której cudem uniknąłem. Pastor Walter bierze mnie za rękę i podprowadza do Samsona. Cały drzę. Nie modliłem się na głos od czasów szkółki niedzielnej.

Kładę dłoń na kościstym ramieniu Samsona i otwieram usta, błagając Boga, żeby włożył w nie jakieś słowa.

I już po wszystkim, sam nawet nie wiem, co powiedziałem. Po policzkach Samsona płyną łzy. Pełen wdzięczności kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Zrobiłeś mi ogromną przysługę, dziękuję. Niech Bóg wynagrodzi cię za dobre serce.

Dobre serce? Nie jestem dobry. Czuję jednak, że stoję przed wspaniałym człowiekiem. Być może Bóg wie o nim coś, o czym ja nie mam pojęcia.

Rozdział dziewiąty

Adanna

Jakaś miłosierna ręka wyciąga mnie z tego więzienia. Delikatnie przyciąga mnie do siebie. Okrywa moje nagie ciało swoją marynarką. Jego oddech jest ciężki od walki, którą właśnie stoczył, ma ranę nad okiem. Jest piękny.

– Nie bój się, moja maleńka. Jestem tu i będę cię bronić.

Padam w jego ramiona, to Tagoze. I nagle wszystko spowija ciemność.

* * *

Tagoze to brat wodza naszej wioski. Dzień po tym, jak wyjechał tata, przyszedł, żeby sprawdzić, czy wszystko u nas w porządku. Przyniósł nam kukurydź, banany, chleb i słodycze. Abu wtedy był jeszcze u mamy w brzuchu.

A potem mama powiedziała takie słowa: – Tagoze to dobry człowiek. Czuwa nad nim sam Bóg. Ma dobrą opinię i złote serce. Adanno, w naszej wiosce niewielu jest takich jak on.

Tutaj każdy rodzi się biednym. Jedynie przyjdzie na świat w rodzinie wodza może przerwać tę klątwę. Tagoze jest jednym z tych szczęśliwców. To tak, jakby pochodził z królewskiego rodu.

Tagoze nie chce jednak wykorzystywać tego, że jest bratem wodza. Wielu ludzi wierzy, że gdyby to od niego zależało, nikt w naszej wiosce nie byłby głodny ani chory. Nie uważa się za lepszego od innych i zawsze dzieli się z potrzebującymi.

Nie od razu takim się stał. Kiedyś był złym i samolubnym człowiekiem. Zanim stracił rodzinę, szedł tą samą ścieżką, co inni mężczyźni z wioski. Pił całymi dniami i nocami, nie chciał pracować i zdradzał żonę. Niektórzy mówią, że często słyszeli jej krzyk, gdy ją bił. Aż nie chce mi się wierzyć, ale mama mówi, że to prawda.

Któregoś dnia jego świat się zawalił. Z tego, co mówią, sześciolatek syn Tagoze, Kgosi, zaproszył ogień w domu. Bawił się przy piecyku naftowym, gdy jego siostra i mama spały. Na dworze było zimno i nie wyłączono go. Wybuchł pożar. Zona Tagoze wybiegła z domu cała w płomieniach. Zmarła tej samej nocy. Dzieci już nie żyły.

Podczas niedzielnego nabożeństwa Tagoze nie przestawał łkać, niektórzy mówią, że trwało to nawet kilka godzin. Minęło parę dni, ludzie martwili się o niego. Jednakże po pewnym czasie, który spędził u boku pastora Waltera, stał się zupełnie innym człowiekiem. Kimś, kto troszczy się o wszystkich.

* * *

Nie mogę otworzyć oczu. Chwilami widzę jakieś światło przez niewielkie szparki. Jednak zaraz potem wszystko się rozmywa i staje mlecznobiałe. Powinnam spać.

Obok słyszę bawiących się brata i siostrę. Nawet nie muszę patrzeć, żeby wiedzieć, czym się bawią – starą puszką z wyblakłym napisem „Coca-Cola”.

Podnoszę rękę, żeby przetrzeć zaspane oczy. Czuję potworny ból, jakby jakiś kot zadrasnął mnie po twarzy. Dotykam policzka, obtarty i spuchnięty, prawie dwa razy większy.

Teraz widzę wyraźniej. Zatrzymuję wzrok na ścianie, tuż za drzwiami słyszę jakieś głosy; to głos cioci i dwóch mężczyzn.

– Dlaczego dziecko znalazło się w takim miejscu? – To pastor Walter.

– Pewnie kogoś szukała. Być może ojca. – Słyszę niski i wyraźny głos Tagoze. – Teraz mam na sumieniu śmierć kolejnego człowieka, ale nie szkoda mi tego potwora, który tak zhańbił dziecko.

Zatem to zwierzę jest martwe. Unoszę głowę, żeby lepiej słyszeć. Precious i Abu zauważają, że się poruszyłam, i podchodzą do mnie. Mój brat Abu ma prawie trzy lata, a siostra Precious cztery, a właściwie już prawie pięć. Ich obecność przywołuje uśmiech na mojej obolałej twarzy.

– Cześć, Abu. Precious, gdzie jest mama? – Mój głos brzmi tak, jakby należał do kogoś starszego. Nisko i szorstko, jak kobiety z naszej wioski, która pali papierosy.

Abu wyciąga rękę, żeby dotknąć mojej twarzy, z moich ust wyrzywa się krzyk Do środka wpada ciocia, tuż za nią pastor Walter i Tagoze.

Ciocia ma opuchniętą i zaczerwienioną twarz, jakby płakała.

– Adanno, moje dziecko, co się stało?

– Och, ciociu, ciociu. To tak bardzo boli. Dlaczego tutaj jesteś?

– Skarbie, nie martw się o nic. Odpoczywaj.

– A gdzie mama?

– W bezpiecznym miejscu.

– Ale gdzie? Potrzebuję jej. Powinna być w domu. – Zaczynam płakać, ale nie pojawia się ani jedna łza, żadnego szloch. Mój brzuch unosi się i zapada, a ból jest potworny.

– Wujek Malako i ja zabraliśmy ją na trochę do siebie, żeby się nią zająć. Adanno, ona jest bardzo zmęczona.

Tuż obok czai się ogromny ptak strachu. Szepce mi do ucha, że nie jest dobrze.

Ciocia odwraca wzrok i załamuje dziwnie ręce. Takie zachowanie dorosłych potwierdza jedynie, że dzieje się coś złego.

– Czy coś się stało? Czy mama dotknęła księżycowej skały? Ciociu, proszę, powiedz mi.

Pastor Walter klęczy obok mojego łóżka.

– Moja mała siostrzyczko, tak mi przykro z powodu tego, co się stało.

– Abu i Precious – ciocia odwraca się do mojego brata i siostry – chodźcie ze mną na dwór, dajmy odpocząć waszej siostrze.

Czuję jakiś dziwny niepokój. To gorsze od bólu po tym, co mnie spotkało.

– Adanno, twoja mama nie dotknęła księżycowej skały, ale jest chora. Pomożemy jej i będziemy z nią. Będziemy prosić Boga o cud. Najpierw jednak chcę pomodlić się za ciebie.

Tagoze klęka obok pastora i zamyka oczy, gdy ten rozpoczyna modlitwę.

– Boże, zmiłuj się nad Adanną, błogosław jej i przynieś uzdrowienie. Amen.

Spoglądam na Tagoze. Na jego twarzy dostrzegam głębokie zadrapania, ale nie ma już śladu po krwi, rany zostały oczyszczone.

– Dziękuję.

Nigdy jeszcze nie czułam się aż tak zmęczona. Znowu zapadam w mroczny sen.

Budzi mnie okropny ból w brzuchu. Próbuję wstać, ale zginam się wpół, wyciągnięte ręce ocaliły mnie od upadku na twarz. W ustach zbiera mi się ślina, mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję. Mój żołądek jednak ciągle jest pusty, pojawia się kolejny skurcz. Nie znoszę tego uczucia.

Podbiega do mnie ciocia i pomaga położyć się do łóżka.

– Spokojnie, kochanie. Dam ci trochę wody. – Zwilża mi usta. – Spałaś aż dwa dni.

Próbuję usiąść. Ciocia siada obok, podając mi swoje szerokie ramię.

Zycie i głód to chyba nierozłączna para.

Od kiedy sięgam pamięcią, ciocia zawsze była taka serdeczna i życzliwa. Lubię ją. W naszej społeczności można by uznać ją za bogatą. Gruba kobieta, która ma co jeść, to symbol bogactwa. A tak właśnie wygląda moja ciocia. Ktoś powiedział nawet, że gdyby umarła,

musieliby pochować ją w pustej skrzyni po pianinie, cokolwiek to znaczy. Ciocia twierdzi, że jest tak samo biedna, jak każdy z nas. Jej organizm po prostu inaczej funkcjonuje i tyle.

Ciocia przyniosła nam coś do jedzenia. Dzisiaj nie pójdziemy spać głodni. Strasznie tu pusto bez mamy. Nie czuję się bezpiecznie, nasze drzwi nie mają zamka. Zjadam niewielką porcję jedzenia i od razu jest mi lepiej. Twarz mniej boli, wciąż jednak nie mogę jej dotknąć.

– Adanno, muszę wrócić do domu i zająć się obowiązkami.

– Ciociu, możemy iść z tobą?

– Nie, nie mamy aż tyle miejsca. Jesteś już dużą dziewczynką i dasz sobie radę z Abu i Precious.

– Ciociu, a kiedy znowu coś zjemy? Przyniesiesz nam coś?

– Spróbuję. Kiedy z wujkiem będziemy mieć trochę więcej jedzenia, podzielimy się z wami. Pamiętaj, że musisz chodzić do szkoły, nawet jeśli mama jest u nas. Dopilnuj, żebyście wyszły z Precious o odpowiedniej porze i nie spóźniły się.

– To mama nic ci nie powiedziała?

– To znaczy?

– Nie chodzimy do szkoły już od ponad miesiąca.

– Dlaczego?

– Nie mamy pieniędzy. Mama mówi, że teraz nie stać nas na szkołę i musimy trochę poczekać.

– Wstyd! Żeby nie posyłać własnych dzieci do szkoły. Porozmawiam z waszą dyrektorką i zobaczę, co się da zrobić.

– Dziękuję, ciociu!

– A teraz pomogę wam przygotować się do spania i muszę iść. Abu i Precious leżą już w łóżkach, ciocia całuje mnie w czoło.

Potem bierze swoje torby i mówi: – Nie przychodź do nas, dopóki sami cię nie zawołamy. Dobrze?

– Tak, ciociu.

– Dobranoc, skarbie.

– Dobranoc.

* * *

Tak tu dziwnie bez mamy – cicho, pusto i smutno.

Od dwóch dni nie mam żadnych wieści od cioci. Nikt do nas nie przyszedł, a ja wciąż nie mam siły. Abu przez większą część dnia płacze z głodu. Nazbierałam trochę niedojrzałych jagód z drzewa, nie są za smaczne. Da się nimi oszukać głód, ale potem ma się straszłą biegunkę.

Abu musi dzisiaj coś zjeść, nie możemy dłużej czekać. Obiecuję sobie, że nie wrócę do domu z pustymi rękoma. Kilka kilometrów od domu znajduję jagody, które nie są aż tak kwaśne. To istna kopalnia złota! Dwa krzaki pełne okrągłych, zielonych owoców. W mojej podkoszulce od razu lądują dwie garście, jestem dumna ze swojego odkrycia. Dobrze się czuję w roli głowy rodziny.

Niestety jagody to za mało. Idę więc do domu pastora Waltera.

Kiedy pukam do drzwi pastora, czuję wstyd. Nie powinno mnie tutaj być. Czy mam jednak jakiś wybór?

– Dzień dobry, Adanno. Cieszę się, że cię widzę. Proszę, wejdź.

– Dziękuję, pastorze. – Wbijam wzrok w podłogę. Nie za bardzo wiem, co powiedzieć, i jestem na siebie zła, że tu przyszłam.

– Jak się czujesz? Co się dzieje?

– Nie wiedziałam, dokąd mam iść. Ja... chciałam tylko zdobyć trochę jedzenia. Poszłam tam, bo miałam nadzieję, że ktoś da mi trochę pieniędzy. Mama musiała coś zjeść. Myślałam, że znajdę tam życzliwość...

– Skarbie, jesteście pewnie głodni, prawda?

– Tak, mama jest u cioci, a Precious i Abu nie mają co jeść. Znalazłam trochę jagód... ale to chyba nie wystarczy.

– Kochana Adanno, od tej chwili, gdy będziecie czegoś potrzebować, przychodźcie do mnie, rozumiesz?

– Tak.

Pastor Walter podchodzi do małej puszki, stojącej w rogu kuchni i otwiera wieczko. Stara się ją ukryć przed moim wzrokiem, ale jestem pewna, że jest prawie pusta. Wysypuje na dłoń to, co pozostało, i wyciąga do mnie rękę. Nie mogę tego wziąć.

– Proszę, idź i nakarm swoje rodzeństwo.

– Ale ja...

– Nic nie słyszę, no dalej, idź.

– Dziękuję, pastorze.

Pastor Walter oddał mi wszystko, co miał, dzisiaj jego dzieci pójdą spać głodne.

– Adanno? Tu wujek. Jesteś tam?

Wujek Malako jest zupełnie inny niż wujek Sipo. Boję się go. Ma w sobie coś takiego strasznego. Coś dziwnego jest w jego spojrzeniu.

– Tu jestem.

– Adanno, moja droga, dobrze cię widzieć.

Wchodzi przez drzwi, chwytając mnie za rękę i głaszcze ją. Zaczynam drżeć.

– Tęskniłaś za wujkiem Malako?

Nie odzywam się. Kładzie rękę na mojej nodze, podciąga mi spódnicę i dotyka uda. Jest jakiś dziwny. Czy to dlatego, że pałęta się pomiędzy tymi strasznymi mężczyznami z baru?

– Rozluźnij się i pozwól przytulić wujkowi, a dam ci największą porcję słodyczy, jaką kiedykolwiek widziałaś. O tak, mam dla ciebie niespodziankę.

Chcę uciec. Wyobrażam sobie, że go kopię i okładam pięściami. Ciekawe, czy potrafiłabym to zrobić.

Na dworze słychać czyjeś kroki.

– Adanno!

Do środka wpada Precious.

Malako odskakuje na bok, tak szybko, jakby zobaczył pełzającą po podłodze kobrę.

– O, cześć wujku! Adanno, w naszej wiosce są jacyś obcy ludzie. Możemy ich zobaczyć?

– Nie, nie teraz, maleńka – mówi wujek. – Przyszedłem, żeby zaprowadzić was do mamy.

Gdzie Abu?

– Jest w wiosce z tymi białymi ludźmi.

– Idź po niego, a potem przyjdźcie do mojego domu.

– Dobrze, wujku.

Wychodzę razem z Precious.

– Adanno, zostań tu – woła wujek – muszę z tobą porozmawiać.

Udaję, że nie słyszę, i biegnę do wioski.

Wysoki biały mężczyzna trzyma Abu w ramionach. Obcokrajowcy przyjeżdżają tu dwa lub trzy razy do roku. Wszystkie dzieci cieszą się z ich odwiedzin, ponieważ zawsze rozdają słodycze i prezenty. Słodycze to rzadki przysmak. Lubię je jak każde inne dziecko, ale to za mało. Nie tego potrzebujemy. Gdyby zamiast słodyczy dali nam pieniądze, moglibyśmy kupić sobie coś do jedzenia.

– Abu, musimy iść! Chodź szybko, idziemy do mamy.

Abu zeskakuje z kolan mężczyzny. Bierzemy słodycze od tych ludzi.

– Dziękuję – mówię cicho. – Podziękujcie – zachęcam Abu i Precious.

– Dziękujemy – wołają chóralnie.

Zanim odchodzę, moją uwagę zwraca wysoki biały mężczyzna. Nie potrafię odczytać tego, co widzę w jego oczach. Większość tych białych ludzi uśmiecha się szeroko i mówi: – Bóg cię kocha. – On natomiast milczy.

Wujek i ciocia mieszkają mniej więcej kilometr dalej niż my. Chwilową radość ze słodyczy przerywa mi niepokojąca myśl o mamie. A na wspomnienie wujka Malako czuję skurcz żołądka. Aż boję się pomyśleć, co mogło się stać, gdyby nie zjawiała się Precious.

Już widzę ich dom i zatrzymuję się nagle. Nie jest zbudowany z patyków i gliny jak nasz, ale z drogich betonowych bloczków. Jest znacznie większy i ma dwa pomieszczenia. Nie chcę tam wchodzić z powodu tego, co mogę zobaczyć. Myśl o tym, że z mamą dzieje się coś złego, jest ponad moje siły.

– Adanno, dlaczego stoisz na dworze? Wejdz. Co się z tobą dzieje? – Nawet nie zauważyłam, kiedy pojawił się wujek. Pcha mnie w stronę drzwi.

Mama leży w kącie. Jej oczy są dziwnie żółte i jest strasznie chuda.

– Och, mammo, jak się czujesz?

Podnosi się resztkami sił i siada na łóżku, potem unosi rękę i głaszcze mnie po głowie. Stara się ukryć, jak bardzo jest chora. Wiem jednak, co to oznacza. Mama wkrótce umrze.

Łzy same cisną mi się do oczu, nie potrafię ich powstrzymać. Mama nie wyzdrowieje, niedługo zostaniemy zupełnie sami. Ja, Precious i Abu. Nikt już nie będzie się o nas troszczył, nikt nie będzie nas kochał.

Tak bardzo chciałabym zabrać od niej to cierpienie. Och, gdybym tylko miała czarodziejską różdżkę. Machnęłabym nią i mama byłaby zdrowa. Nie musiałaby umierać. Gdyby Bogu naprawdę na nas zależało, mógłby użyć swojej czarodziejskiej różdżki i uzdrowić ją. Może jest za bardzo zajęty, żeby dostrzec mamę? A może po prostu Mu nie zależy?

Ten świat jest okrutny i podły. Nienawidzę go.

Rozdział dziesiąty

Słońce, gigantyczna pomarańczowa kula, znika za wzgórzami, żeby trochę odpocząć. A kiedy już go nie widać, resztki pozostawionego przez nie blasku rozświetlają niebo delikatnymi i olśniewającymi barwami. Być może rzeczywiście był tu kiedyś Eden, jak twierdzą niektórzy.

Rozkoszuję się chłodnym heinekenem i zerkam na brunetkę w skąpym, czerwonym bikini, w międzyczasie przesyłając zdjęcia, które dzisiaj zrobiłem. Brunetka nie zwraca na mnie uwagi, cieszę się z tego. Tak naprawdę wcale nie chcę, żeby mnie zauważyła. Właściwie to sam nie wiem, dlaczego się jej przyglądam.

Po raz pierwszy w życiu korzystam z tak wolnego łącza internetowego. Szybkość przesyłu danych wynosi 16 kB. Próbowałem nawet skorzystać z naszego firmowego serwera, ale to nie pomaga. Najwyraźniej w Afryce inaczej to wszystko działa.

Rozglądając się po hotelu, mógłbym odnieść wrażenie, że ciągle jestem w Stanach, w jednym ze starszych moteli. Niestety zdjęcia na moim laptopie przypominają mi, że tak nie jest. Patrzę na umierającego mężczyznę, odzianego w brudne łachmany, wiszące na nim jak na wieszaku, mieszkającego samotnie w rozpadającej się chacie, której pewnie nie użyłbym nawet do przechowywania swoich gratów. Jednakże to nie bieda przemawia do mnie aż tak mocno z tego zdjęcia. To uśmiech tego mężczyzny.

Uśmiech świadczący o ludzkiej godności. Godności, która wychodzi naprzeciw wiszącej nad nim nieuchronnej śmierci. Nie potrafię przestać myśleć o tej szalonej sesji zdjęciowej. I o tym, co mówił; że czekał na mój przyjazd ze Stanów oraz o jego słowach o Bogu.

Ciekawe, że ktoś, kto prawie nie przypomina człowieka, może z taką miłością mówić o Bogu, który raczej się o niego nie troszczy. Nikt nie powinien umierać w taki sposób. Samotnie.

Tak, właśnie tego życzę temu człowiekowi. Żeby nie umierał w samotności. Myślę o swoim życzeniu, bardzo podobnym do modlitwy. Nie kieruję jednak tej prośby do Boga.

Czekając aż zdjęcia zostaną przesłane, zerkam szybko na maile. Reklamy, spamy, przypomnienia o płatnościach i wiadomość od Whitney.

I w tym właśnie momencie dzwoni moja komórka.

– Halo?

– Cześć Stu, tu Gordon. Jesteś gotowy?

– Tak, daj mi jeszcze kilka minut, tylko zbiorę to wszystko razem i zaraz będę na dole.

Gordon zaprosił na kolację jakąś kobietę z rządu Suazi. Chce zrobić z nią wywiad.

– Zamówiłem już kolację dla trzech osób. Tutaj lubią wiedzieć o wszystkim z wyprzedzeniem.

– Zatem większość mieszkańców Suazi nie ma co jeść, jednakże ci, którzy już jedzą, to lubią jeść po królewsku.

– Tak, Stu, tak mniej więcej to wygląda. Rzeczywiście skosztujemy najlepszych potraw, jakie serwuje się w Suazi.

Pół godziny później, z wilgotnymi jeszcze włosami, schodzę na dół i dołączam do Gordona oraz pięknej kobiety, noszącej się isticie po królewsku. Jej głowa owinięta jest tradycyjną jedwabną chustą, przyozdobioną diamentowym wzorem w kolorach fioletu, zieleni i żółci. Sukienka spływa jej do kostek.

Wstaje, gdy podchodzę do stołu.

– Stuarcie, to Sipwe.

– Miło mi poznać, przepraszam za spóźnienie. – W moim przypadku to akurat nic nowego.

– Nie martw się, mój drogi. Nie słyszałeś nigdy o afrykańskim upływie czasu? Tutaj nikt się nie śpieszy.

– Tak, mówiono mi o tym. Myślę jednak, że ta zasada odnosi się do obywateli Afryki, a nie Ameryki. Proszę mi wybaczyć.

Mam wrażenie, że jej zielone oczy przeszywają moje myśli na wylot.

Gordon zamówił już czerwone wino, co bardzo mnie cieszy. Sipwe ma na sobie żółto-turkusową biżuterię, jakiej nigdy jeszcze nie widziałam, z czarnymi smugami na każdym elemencie. Whitney byłaby zachwycona.

W naszym kierunku zbliża się kelner, ciągnąc wózek z kilkoma srebrnymi tacami. Ma na sobie elegancki strój, stylizowany na lata czterdzieste – biała koszula, czarne spodnie, muszka oraz perfekcyjnie wypastowane skórzane buty i frak. Mam wrażenie, że za chwilę zza ściany wyskoczy sam Charlie Chaplin. Kelnerzy i kelnerki to Afrykanie, zwracają się do mnie i Gordona „mój panie”. Nie lubię tego, zupełnie jakbyśmy wrócili do czasów sprzed wojny secesyjnej. I do tego jeszcze obecność Sipwe. Mógłbym przysiąc, że to scena z filmu.

Kelner delikatnie stawia przede mną każdą z tac, jego obsługa jest perfekcyjna. Uniesione pokrywki ujawniają, że oto mamy przed sobą wyborny szwedzki stół. Sałatka cesarska ze świeżym parmezanem i połówkami papryki, ponad dwukilogramowy filet z polędwicy wołowej w sosie pieczarkowo-paprykowym, do tego piure ziemniaczane z czosnkiem oraz świeżo grillowane szparagi z kawałkami cytryny po bokach.

Jeśli chodzi o inne zakątki świata, to dosyć przystępne danie, ale tutaj w Suazi kosztuje fortunę. Na szczęście istnieje coś takiego jak fundusz reprezentacyjny.

– Stuarcie, jak postrzegasz ludzi zarażonych HIV? – zwraca się do mnie Sipwe. Gordon uśmiecha się znacząco. Daję głowę, że uwielbia wymianę zdań tego typu.

– Nie za bardzo rozumiem, co masz na myśli.

– Czyli co o nich myślisz? Jak ich widzisz? Co sobie mówisz, gdy nikt nie słyszy?

– Słuszne pytanie. Przez lata postrzegałem zarażonych HIV jako chorych na własne życzenie, widząc w nich aktywnych homoseksualistów lub narkomanów. Nie myślałem o tym w kategoriach epidemii, z którą trzeba walczyć.

Odkroiłem kawałek polędwicy, na talerzu pojawił się czerwony, wodnisty sok. Perfekcyjnie przyrządzone danie.

– Zabrzmiało to dosyć okrutnie, nie sądzisz?

Zerknąłem na Gordona.

– Gordonie, czy nie powinieneś zadać jakiegoś pytania?

– Sipwe, powinnaś być dziennikarką – odparł, nie śpiesząc mi jednak na ratunek.

– Tak, być może. Według mnie to bardzo zasadne zapytać człowieka fotografującego cierpiących ludzi, co myśli o tym podstępny, milczącym i powolnym zabójcy.

Sipwe jest bardzo rzeczowa. Zaczynamy jeść. Biorę pierwszy kęs parującego jeszcze mięsa – Gordon miał rację, to musi być najlepsze jedzenie w Suazi. Może nawet najlepsze, jakie kiedykolwiek jadłem. Kiedy jednak przeżuвам powoli kruche mięso o delikatnym, maślanym posmaku, nie mogę przestać myśleć o tamtych dzieciach. Widzę je skulone w marnych chatkach, szkielety obleczone przezroczystą wręcz warstwą skóry, wyglądające niczym drewniane kukielki. Połowa tego, co znajduje się na moim talerzu, wystarczyłaby jako posiłek dla sześciorga z nich. Zastanawiając się nad odpowiedzią, rozdłubuję jedzenie. Połykam pełny kęs piure i odkładam widelec.

– W ciągu ostatnich lat moje poglądy się zmieniły. Nie jestem już taki naiwny jak kiedyś. Będąc tutaj od kilku dni, zaczynam inaczej patrzeć na chorych z HIV czy z AIDS. – Przed oczami mam dwoje małych dzieci, stojących na drodze w pierwszym dniu mojego pobytu. –

To naprawdę potworne widzieć dzieci zarażone śmiertelną chorobą, pozostawione same sobie, bez jakiegokolwiek opieki.

– Czy tylko w stosunku do dzieci czujesz litość?

– Tak, głównie. A dorośli? No cóż, wciąż nie mogę uzmysłwić sobie, jak można uprawiać poligamię, wiedząc, że to zabija. Nie wiem, dlaczego kobiety się na to zgadzają? Przecież mają wybór. To bez sensu.

– Stuarcie – wtrącił Gordon – właśnie z tym walczy Sipwe, nie tylko w Suazi, ale w całej Afryce. Tutaj kobiety nie mają wyboru.

Sipwe ściska moje ramię, jej grube bransolety wciskają mi się w skórę.

– Tutaj nie istnieje coś takiego jak prawa kobiet. Kobieta nie ma prawa do żadnych decyzji ani nie może odmówić mężowi, gdy ten chce z nią spać. Jeśli to robi, oberwie od niego i będzie zhańbiona.

Zagarniam jedzenie na talerzu do środka, zastanawiając się nad tą i innymi trudnymi do pojęcia prawdami. W końcu zostawiam to, co powinno być wspianym posiłkiem.

Kelner zaskakuje mnie swoim nagłym pojawieniem się w czasie przerwy w rozmowie. Przyniósł deser – dwudziestoletnie porto oraz sernik z truskawkami i bitą śmietaną. Zerkam na talerz Gordona. Jest pusty, a on gotowy na zjedzenie deseru. Najwyraźniej można przywyknąć do biedy, która jest tuż obok.

Sipwe unosi kieliszek z winem, przez chwilę wpatruje się weń, po czym kontynuuje rozmowę:

– Ludzie tutaj nie wiedzą, z czym mają do czynienia – mówi. – Większość ludzi w naszym kraju nie ma pojęcia, w jaki sposób rozprzestrzenia się ten wirus. I gdy ma się do wyboru jedzenie, jedzenie, które zapewnia męża, a uwaga – bycie bitą przez niego i pozostawioną na pastwę losu oraz śmierć, bo odmawia się spania z nim, to jak myślisz, co wybierze kobieta?

Sipwe bierze łyk wina i spogląda na Gordona.

– Dlatego tak ważna jest edukacja. Przewyciężenie nieświadomości, w której ci ludzie trwają od pokoleń, wymaga czasu i zorganizowanych działań.

A teraz czas na pytania ze strony Gordona.

– Jakie więc są wasze największe potrzeby? O jaką pomoc chcielibyście poprosić świat? – Gordon otwiera swój notatnik.

– To złożone pytanie. Po pierwsze, potrzebujemy zrozumienia. Ludzi, którym na nas zależy. Jeśli im zależy, pokonają tysiące kilometrów, żeby tu się zjawić i wspierać nas. Na pewno potrzebujemy nauczycieli do szkół. Wielu z naszych najlepszych nauczycieli umarło, a pozostali umierają. To bardzo poważny problem. AIDS to choroba, która zabija nawet najsilniejszych.

– Sipwe, ale – przerywam jej – w jaki sposób chcesz pokonać strach wolontariuszy przed wirusem? To znaczy, jak zamierzasz zachęcić ich do przyjazdu, skoro sytuacja jest tak niebezpieczna i – wybac mi moją szczerość – potworna.

– Właśnie tak to wszystko widzisz?

– Przyznaję, że trudno to przyjmować. Dzisiaj spotkałem mężczyznę – umierającego mężczyznę. Nic już nie można dla niego zrobić. Czuję się bezradny, a nie lubię tak się czuć.

– Gordon opowiedział mi o twoim spotkaniu z Samsonem. Kolejny łyk wina. – To wstyd, że ktoś taki umiera samotnie. I co jeszcze smutniejsze, takich jak on jest tysiące.

– Tutejszy pastor stara się mu pomagać, ale ma całą masę takich przypadków w parafii.

– Zatem, Stuarcie – Sipwe zatrzymuje na mnie spojrzenie – jak postrzegasz moje działania? Co o mnie myślisz?

Sam nie wiem, co odpowiedzieć.

– Przypominasz mi znajomą z Konga. Nazywa się Wangari i pracuje na rzecz swojego narodu, podobnie jak ty, starając się dać ludziom głos i położyć kres przemocy. Bardzo krótko cię znam, ale już darzę cię szacunkiem.

– Dziękuję, Stuarcie. To dla mnie zaszczyt być przyrównaną do takiej osoby. Możliwe, że zmienisz o mnie zdanie, gdy poznasz moją historię.

– To znaczy?

– Jestem nosicielką HIV.

– Nie! Ale w jaki sposób? – Natychmiast pożałowałem, że w ogóle zadałem tak głupie pytanie.

– Zdaję sobie sprawę, że nie jestem stereotypowym przypadkiem.

– Nigdy nie przyszłoby do głowy ludziom takim ja my, czy to mnie, czy Stuartowi, że możesz być zarazona. – Gordon usiłuje jakoś mnie wytłumaczyć. Wygląda na to, że zna historię Sipwe, doceniam jednak jego gest.

– W przypadku tego wirusa nie ma znaczenia, kto będzie następny. Jestem szanującą się kobietą, wierną mężowi od samego początku. Niestety on mnie zdradzał. Odpowiedzialna praca i wysokie stanowisko w rządzie uderzyły mu do głowy. Obiecował mi jedno, a robił drugie. Pewnej nocy wrócił do domu i zaraził mnie śmiercią. Dowiedziałam się o tym dobre kilka miesięcy później.

Gordon skrupulatnie zapisuje wszystko w swoim notatniku.

– Jak się o tym dowiedziałeś?

– Zwykle przeziębienie, z którego długo nie mogłam wyjść. Rzadko chorowałam, ale to przeziębienie przeszło w zapalenie płuc i wylądowałam w szpitalu. Wiedzieli, jaka jest przyczyna, nie chcieli mi jednak powiedzieć. Właśnie tak objawia się HIV. Badanie krwi potwierdziło obecność wirusa.

– Jak przyjąłeś wiadomość o tym?

– To zupełnie zmieniło moje życie. Postanowiłam jednak, że nie zmarnuję czasu, który mi został, i nie będę umierać na odludziu. Znowu położyła dłoń na moim ramieniu. – Z całym szacunkiem dla Samsona, ale niektórzy z nas nie mieli wyboru. W dniu, w którym dowiedziałam się prawdy, zdecydowałam, że będę twarda.

– Co daje ci siłę do walki?

– Moje marzenia. Chcę, żeby każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko w tym kraju dowiedzieli się, jak potworną chorobą jest AIDS. Chcę, żeby wiedzieli, jak dochodzi do zarażenia i co mają robić, żeby przetrwać, jeśli już do niego dojdzie. Chcę, żeby kobiety miały odwagę mówić „nie” swoim niewiernym mężom. Pragnę zrobić wszystko, co tylko w mojej mocy, by panowanie HIV zakończyło się na moim pokoleniu, i patrzeć, jak to następne dorasta zupełnie od niego uwolnione.

– No tak, piękna idea. Ale czy realna?

– Stuarcie, czyż nie jest tak, że wszyscy w coś wierzymy? – Gordon zerknął w moją stronę i zmarszczył brwi.

Czerwone wino połyskuje w kryształowym kieliszku. Podnoszę go do ust i wypijam wszystko.

Nawet nie tknąłem sernika. Znowu pojawia się kelner i czeka, aż oddam mu głos.

– Czy deser nie odpowiada pańskim upodobaniom?

– Z całą pewnością jest pyszny, tak jak wszystko inne, ale nie mam dzisiaj apetytu.

Odsuwam swoje krzesło.

– Dokończcie wywiad beze mnie, a ja pójdę po aparat. Chciałbym zrobić wam kilka zdjęć na zewnątrz, na tarasie.

– Jasne, Stu. Zamówię herbatę na taras.

– Dla mnie kawę. Pamiętaj, jestem Amerykaninem.

Zastanawiam się, skąd tyle nadziei w tych ludziach. Przecież w ich ciałach mieszka śmierć, zabijając ich powoli, komórka po komórce. A jednak niektórzy – tacy jak Sipwe – wciąż widzą powody, by wierzyć, podczas gdy wiszą na półce skalnej, trzymając się jedynie opuszkami palców.

Taras na piętrze będzie świetnym miejscem do małej sesji zdjęciowej. Nawet w nocy jest tam dobre światło. Księżyc jest w pełni, jego blask nada więc zdjęciom niezmiernego uroku – co świetnie się zgra z niezwykłą naturą tej kobiety.

Kelnerzy podali kawę i herbatę w srebrnym serwisie, godnym samej królowej.

– Sipwe, może stań tam, bliżej drzwi.

Zerkam w obiektyw, wydaje się otoczona niezmiernym blaskiem.

W oddali słychać szczekające psy. Mają chronić przed niepożądanymi gośćmi. Robię zdjęcia, więcej niż potrzebuję. Instynkt podpowiada mi, że każde z nich będzie dobre. Niektórzy ludzie mają w sobie to coś.

Gordon unosi rękę i dżentelmeńskim ruchem zaprasza Sipwe, żeby przyłączyła się do niego. Ona wstaje z gracją i idą razem jak starzy przyjaciele.

– Stuarcie, przejdźmy się. Nie możemy zmarnować takiego wieczoru.

Gordon ma rację. Księżyc wisi nad szczytami niczym ogromny reflektor. Z jakichś powodów tutaj wydaje się większy niż gdzie indziej. Idziemy przed siebie.

Wiatr porывa liście do tańca i zaczynają wirować w koncentrycznych okręgach. Robi się coraz chłodniej, Sipwe otula ramiona szalem.

Dociera do mnie jakiś dźwięk, który to się oddala, to zbliża, zależnie od kierunku wiatru.

– Słyszycie to?

– Co? Samochody, wiecznie tu jeżdżą – odpowiada Gordon.

– Nie, to przypomina śpiew.

I gdy tak idziemy, dwóch białych mężczyzn i afrykańska dama, dobiegające z dali odgłosy stają się coraz wyraźniejsze.

Od gwaru dzieli nas jedna lub dwie przecznice.

– Co to za uroczystość? – pytam Sipwe. – Może wesele? Bo na pewno nie pogrzeb?

Skręcamy w stronę budynku, z którego dochodzi muzyka.

Sipwe bierze mnie pod rękę.

– To nabożeństwo, Stuarcie. W całym kraju w niedzielne wieczory ludzie zbierają się w kościołach.

– Aż tak licznie?

– Tutaj ludzie są bardzo religijni – wyjaśnia Gordon. – Bardzo wielu z nich wierzy w przesady i oddaje cześć przodkom. Są to tak zwani syjoniści, coś pośredniego pomiędzy chrześcijaństwem a odwiecznym kultem przodków. Biegają albo do Chrystusa, albo do czarownicy. Pastor Walter usiłuje walczyć z całym tym zamieszaniem panującym wśród mieszkańców okolicznych wiosek.

– Nasz kraj doświadcza ogromu cierpienia – dodaje Sipwe, zatrzymując się – a kościół jest jedynym miejscem, gdzie ludzie odzyskują nadzieję.

Wchodzimy do niewielkiej kaplicy. Wnętrze ma surowy wygląd, w środku znajdują się jedynie proste krzesła, w oknach nie ma żadnych zasłon.

Widzę mnóstwo starszych kobiet oraz dzieci. Bardzo wiele z nich jest w złym stanie, przypominają obleczone skórą szkielety. Zupełnie jak Samson, wytrzeszczone oczy i sterczące kości. Niektórzy siedzą w kącie na poprzecieranym dywaniku, sporo osób stoi. Jednakże każdy śpiewa.

Muzyka, głośny śpiew... nigdy nie słyszałem czegoś podobnego. Śpiewają na całe gardło i tańczą, jakby nikt nie patrzył. Ich modlitwa płynie prosto z serca i jest taka żarliwa.

Czuję się tak, jakbym znalazł się w zupełnie innym świecie. Myślę o wersecie, którego nauczyła mnie babcia, jednym z niewielu, które wciąż pamiętam. „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie”.

Oto stoję w przedsionkach nieba. Muzyka staje się coraz bardziej porywająca, wszyscy chwytają się za ręce. Chorzy, chromi i zdrowi. Moje serce bije mocno i szybko. Nie chcę dotykać dłoni tych ludzi.

Podchodzi do mnie mała dziewczynka. To, co ma na sobie, ledwie przypomina sukienkę, niegdyś różową i zapewne śliczną, białe falbanki są mocno przybrudzone. Mała patrzy mi głęboko w oczy i wyciąga rękę. Zerkam niepewnie na Gordona. Kiwa głową. Ściskam dłoń dziecka i dołączam do modlących się ludzi.

Tłum pada na kolana i śpiewem wielbi swojego Boga. Klękam razem z nimi. Zaczynam śpiewać, chociaż nie znam słów ani melodii. Czuję w sercu pokój, przemieszany ze smutkiem.

Pomimo hałasu dociera do mnie jakiś aksamitny głos: *Stuarcie, nakarm Moje owce*. Znam ten głos, chociaż minęło już tyle czasu. Do oczu napływają mi łzy, ale nie mogę ich otrzeć, gdyż nie pozwalają mi na to małe rączki obejmujące moje dłonie.

Po zakończeniu nabożeństwa ludzie podchodzą do nas i podają nam ręce. Niektórzy się przytulają, nie bronię się przed tym. Jeszcze przed chwilą byliśmy obcy, a teraz jesteśmy jak przyjaciele.

– Stuarcie, czy doświadczyłeś dzisiaj czegoś wyjątkowego? – Sipwe to bystra obserwatorka. Aż się zarumieniłem.

– To znaczy?

– Wiem, jak to jest, gdy Bóg przemawia do człowieka. I właśnie o tym mówi twoje spojrzenie.

Czuję ciarki na plecach, lecz brakuje mi słów.

Rozdział jedenasty

Adanna

Wrzask drobiu nad ranem, podczas gdy ja jeszcze chcę spać, doprowadza mnie do pasji. Na dworze wciąż jest ciemno i chociaż zaciskam mocno powieki i uderzam lekko stopą o materac, co zwykle pomaga mi w zasypianiu, nie mogę przerwać potoku kłębiących się w mojej głowie myśli. Nie chcę dzisiaj wstawać.

Ciocia rozmawiała z naszą dyrektorką i otrzymała zgodę na powrót mój i Precious do szkoły. Abu przez kilka dni w tygodniu pomieszkuje u zaprzyjaźnionej rodziny. Mówią, że tak jest lepiej dla niego, gdyż nie wiem, jak opiekować się takim maluchem.

Pani Ncondu, moja wychowawczyni, nie uczy już w szkole. Garbiła się jak staruszka, chociaż wcale nie była jeszcze stara. Kiedy czytała nam historyjki, w tym moją ulubioną o tym *Jak krokodyl stracił złotą skórę*, modulowała głos i robiła śmieszne miny. Czytała nam także piękne wiersze, przy jednym z nich nawet się rozplakałam. Znam go do dzisiaj, gdyż nauczyłam się na pamięć.

Zrobiłam błąd i zapytałam nowego nauczyciela o panią Ncondu. Ten chudy, niski mężczyzna podszedł do mnie, spojrzał mi w oczy i pogroził palcem.

– Dzieci nie zabierają głosu, dopóki nie zostaną o to poproszone! Do zakończenia lekcji będziesz stała w kącie z tyłu klasy.

Wczoraj, po szalonym napadzie złości, kazał nam patrzeć na siebie i ani na chwilę nie spuszczać z niego oczu. Za odwrócenie głowy oberwałam kilka razy witką z jakarandy. Czyta książkę, a potem coś mówi, zupełnie jakby kierował to do kogoś za oknem. Niestety nie jest dobrym człowiekiem. Któregoś dnia powoli podwinął rękawy koszuli, a potem przejechał swoimi długimi, brudnymi paznokciami po tablicy. Na jego twarzy pojawił się złowrogi uśmiech, jeden z takich, które widnieją na tych strasznych plemiennych maskach. Wszyscy aż podskoczyli do góry. Miałam ochotę zatkać sobie uszy, walczyłam jednak ze wszystkich sił, żeby tego nie zrobić. Ten, kto pierwszy się odezwał lub poruszył, był skończony. Nasza grupa liczyła kiedyś piętnaście osób, a teraz jest nas tylko ośmioro, i to wszystkich razem, tych z pierwszej, drugiej i trzeciej klasy. Szkoda mi najmłodszych dzieci, takich jak Precious. Całe szczęście, że jest spokojna z natury. Tobile chodzi razem ze mną do klasy, ale nie widziałam jej od kilku tygodni. Nie zapytam jednak o nią nauczyciela!

Jestem obecnie głową rodziną. Precious i Abu, gdy tylko się obudzą, od razu mnie szukają. Mają spuchnięte, obolałe brzuszki i ten błagalny wzrok, by się nimi zaopiekować. A szczególnie Abu, który nie rozumie, dlaczego kredens jest pusty – jak mu to wyjaśnić? Płaczę i woła mamę, a ja mam wrażenie, że zaraz pęknie mi głowa.

Stary wehniany koc z dziurami zaczyna poruszać się na podłodze. Na początku delikatnie, potem coraz mocniej, to się marszczy, to prostuje, jakby za chwilę przez izbę miał przejść jakiś sztorm. Pojawiają się duże i ciemne oczy, otwierają się i witają ranek.

Cisza zostaje przerwana, budzi się dzień. Abu jest już na nogach i biega po domu.

– Cześć, mały urwisie, chodź do Danny. – Koniec spania, Abu budzi nas wszystkich. Krzyczy i kaszle.

Mama zwykła nazywać Precious „Śpiącą Królowną”. Nawet jako maluch spała dłużej niż my wszyscy. Teraz też lubi sobie pospać i uwielbia, gdy się jej usługuje. Zawsze rozkoszowałam się ciszą poranka i kolorami porannego nieba, teraz także i to się zmieniło. Boję się świtu, gdyż oznacza on początek kolejnego dnia bez jedzenia i bez mamy.

Słyszę głośne pukanie do drzwi.

– Dzień dobry, dziewczynko. Jesteś tam? – pyta ktoś niskim i skrzeczącym głosem.

Drzwi otwierają się szeroko i wypadają z przerdzewiałych zawiasów. Podbiegam i chwytam je. Na zewnątrz stoi stara kobieta, na twarzy i na powiekach ma czerwoną farbę. Z jej głowy zwisają różnokolorowe paciorki, przypominające ziarnka fasoli. Ma na sobie czarnoczerwoną pelerynę, przewiazaną na piersiach. To czarownica.

– Tak, czy mogę w czymś pomóc?

– Czy ty możesz mi w czymś pomóc? – odrzuca głowę do tyłu i wybuchu śmiechem. – To ty będziesz mi dziękować, że przysłałam ci pomoc.

– To znaczy?

– Duchy powiedziały mi o tobie. Twoja matka jest chora. Czy to prawda?

– Tak, zgadza się.

– A wiesz dlaczego?

Zanim zdążyłam otworzyć usta, sama odpowiedziała na to pytanie.

– Bo bardzo rozgniewała przodków, Adanno.

Skąd ona zna moje imię?

– Karzą ją za jej grzech i żądają ofiary.

– Jakiej ofiary?

– Ofiary krwi. Jeśli nic nie zrobimy, grzech spadnie na kolejnego członka rodziny, czyli na ciebie.

– Ale to będzie niesprawiedliwe! Ja nie zrobiłam nic złego!

– Właśnie dlatego tu jestem, dziecko. Wiem, że nie macie żadnych zwierząt na ofiarę. Dlatego będzie musiała wystarczyć twoja krew.

– Moja krew? – Otwieram szeroko oczy i chociaż się boję, czuję nagle przypływ nadziei.

– Moja krew może uratować mamę?

– Kiedy przodkowie są zagniewani, tylko krew może ich uspokoić. I właśnie jej żądają.

– Co mam zrobić?

– Przyjść do mnie.

– A mój brat i siostra.

– Wszyscy możecie przyjść, maluchy zaczekają na dworze. Wiesz, gdzie to jest?

Kiwam głową. Chata jest pomalowana jasnoczerwoną farbą, taką samą jak ta, którą ma na twarzy. Nigdy nie byłam w środku. Dlaczego Abu i Precious mają zostać na dworze?

– Czy ma pani coś do jedzenia? Dla nich? – pytam.

– Po prostu przyjdźcie. Będę na was czekać, w południe. – Po czym odwraca się i odchodzi. Jeszcze przez chwilę widzę jej falującą pelerynę.

Precious, zupełnie już obudzona, wygląda za nią.

– Kim była ta śmieszna kobieta?

Nagle robi mi się niedobrze, ale biorę Abu na ręce i niosę go do dołu za domem, służącego nam jako wychodek.

Moja krew. Żeby uratować mamę.

Przypominam sobie słowa świetlistej postaci: – Oto twój dar. Używaj go mądrze. On sprawi, że wyraźnie zobaczysz swoją drogę i zarazem ocalisz wielu ludzi z twojej wioski. – Czy właśnie o tym mówił? Czy tym darem jest moje życie?

Precious nie odrywa ode mnie wzroku, gdy wracam z Abu.

– Kto to był? – pyta.

– Ta kobieta chce pomóc mamie wrócić do zdrowia.

– Okropnie śmierdziała.

Precious ma rację. Od czarownicy pachniało alkoholem z kukurydzy i spalonymi grzybami.

– No dalej, chodźcie. – Prowadzę ich do wiadra z wodą. Jest prawie puste, przemywam im oczy wilgotną ściereczką, a o swojej twarzy zapominam.

Ile tak naprawdę jest warte moje życie? Jestem chuda i niezbyt ładna. Jeśli mama wyzdrowieje, Precious i Abu będą z nią szczęśliwsze. Zrobię wszystko, żeby tylko wróciła do zdrowia.

Podjęłam decyzję. Odsuwam drzwi, teraz jedynie opierające się o wejście. Do środka wpada słoneczny blask, oświetlając wszystkie ciemne zakątki. Nagle pyłki kurzu ożywiają się i zaczynają wirować w pustej przestrzeni. Zerkam jeszcze po raz ostatni. Tutaj, w miejscu przeznaczonym na kuchnię, Abu zrobił pierwsze kroki. Dokładnie tam, przy ścianie, gdzie leży mój materac. Będę tęsknić za Abu, Precious oraz mamą. I za Tobile.

– Abu, Precious, kochani, chodźcie.

Precious podchodzi powoli na palcach, ale Abu nie słucha. Biorę więc go za rękę i wyprowadzam na dwór. Zastawiam wejście drzwiami, zostaje jedynie niewielka szpara, przez którą spokojnie przecisnę się mała małpka.

Chata czarownicy znajduje się dziesięć minut drogi stąd. To przerażające miejsce. Przed chatą znajdują się paliki, do każdego z nich przywiązane są zwierzęce kości. Gdy w rodzinie zdarzy się jakaś choroba czy śmierć, urodzi się dziecko, a nawet gdy potrzebujesz jedzenia lub pieniędzy, czarownica zawsze ma odpowiedź. Wygląda na to, że czerpie swoją niezwykłą moc od duchów. Jeśli zaspokaja ich żądania, one robią to, o co je poprosi. Zazwyczaj zadowolają się krową. Niestety nie wiem, co jest prawdą o czarownicy, a co zmyślono. Nie mam jednak wyboru, muszę jej ufać. Dla dobra mamy.

– Adanno, dokąd idziemy? Po jedzenie dla mamy? Czy ona wyzdrowieje, jak zje? – Precious nie za wiele rozumie. I niech tak zostanie.

– Tak, niedługo wyzdrowieje.

Idziemy ścieżką, którą przemierzam niemal codziennie. Rosną wzdłuż niej kaktusy i jest tu sporo skał, a niedaleko znajduje się piękny baobab. To nie tylko nasz narodowy symbol, to po prostu Afryka. Czuję się dumna, będąc Afrykanką. Trzymam Abu za rękę, Precious idzie przed nami.

W oddali widzę chatę czarownicy. Ścieżka odbija w prawo – tam mieszkają ciocia i wujek Malako.

– No dobrze, wy idziecie do mamy, a ja muszę porozmawiać z czarownicą.

Abu podskakuje z radości, natomiast Precious przystaje w miejscu i patrzy na mnie ze zdziwieniem.

Ściągam usta i całuję aksamitne, delikatne czoło Precious. Moja młodsza siostrzyczka jest warta więcej niż tysiące diamentów.

– Idź już. Abu, uważaj na Precious. Wasza siostra kocha was bardziej niż słońce, zwierzęta i wszystko inne na świecie.

– Dobrze, siostrzyczko.

Patrzę, jak znikają w dole drogi.

Przy dzwonku u drzwi wisi popękane, zmatowiałe lustro. Przyglądam się swojemu odbiciu. Mam podkrążone oczy oraz smutną i zmęczoną twarz. Moja skóra przybrała popielaty wygląd. Krótkie i kręcone włosy, gdzieniegdzie rozświetlone jaśniejszymi pasemkami, są przykurzone i dostrzegam w nich coś, co przypomina pokruszone Uście. Próbuję się uśmiechnąć, lecz zaciskam jedynie usta.

Żołądek podchodzi mi do gardła, jakbym miała w brzuchu jakiegoś trolla, który przerzuca moje wnętrzności zimną, stalową łopatą. Na czole pojawiają się krople potu.

Pukam cicho do drzwi, mając nadzieję, że czarownica mnie nie usłyszy. Trzęsą mi się ręce. Słyszę jakiś szelest.

– Wejź, dziecko. Czeka na ciebie.

W środku pachnie stęchlizną i ziołami. Czarownica siedzi przy kotle, z którego na boki unosi się para, układając się w coś, co kształtem przypomina pajęczę odnóza. Świece na podłodze tworzą okręgi, z sufitu i ze ścian zwisają resztki martwych zwierząt.

Szczękam zębami jak w środku lodowatej nocy. Podnoszę wzrok, w koszu widzę kości. Czy moja czaszka też tam wylądowała? To dla mamy, muszę być silna.

Czarownica coś nuci pod nosem.

– Usiądź. Duchy przodków dużo mi powiedziały o tobie i chorobie twojej mamy.

Siadam na kiwającym się stołku naprzeciwko niej. Macha chudą i pomarszczoną ręką nad wydostającymi się z koda oparami. Ogień wystrzela żółtymi i czerwonymi iskierkami. Kobieta przemawia do kotła, jakby ktoś się w nim ukrywał.

Ciecz w garnku zaczyna bulgotać. Jest gęsta i czarna, jak zastygnięta krew krowy.

– Duchy przodków, przyjmijcie tę ofiarę jako zapłatę za grzechy tej kobiety. – Aż podskakuję, słysząc skrzekliwy głos czarownicy.

Ze strachu kurczy mi się żołądek, zginam się wpół, jakby ktoś mnie popchnął. Wszystko w środku mnie pali. Mam wrażenie, że zaraz coś ze mnie wyjdzie. Oblewa mnie zimny pot i ciarki przechodzą mi po plecach.

– Odwróćcie swój gniew od naszych ludzi – niech zostanie stłumiony, zanim zakończy się ta noc.

Unosi z trudem ręce, po czym gwałtownie je opuszcza, by dosypać do ognia białego proszku. Natychmiast czuję zawroty głowy, robi mi się ciemno przed oczami, wszystko dokoła zwalnia, moja głowa robi się coraz cięższa. Cały lęk, jaki mam w sobie, ucieka ze mnie, by zginąć w płomieniach. Języki ognia w zwycięskim tańcu obejmują okopcony kocioł. To koniec.

Przypominam sobie twarz mamy.

– Niech krew tego dziecka stanie się dla was zapłatą! Uwolnijcie tę rodzinę od klątwy i spod panowania zła, któremu była poddana.

Szybkim ruchem, niczym kobra, chwytam moją rękę. Krzyczę, odzyskawszy nagle świadomość. Boję się. Nie chcę umrzeć ugotowana w tym kotle. Kobieta unosi moją rękę i wymachuje nożem, jego ostrze aż błyszczy. Koniec z chorobą i śmiercią. Mama będzie żyła. Biorę ostatni, głęboki wdech i zamykam oczy.

Ramię rozrywa mi ostry, palący ból, po czym ogarnia resztę mojego ciała. Chcę krzyknąć, ale usta odmawiają mi posłuszeństwa. Moje wargi są opuchnięte i skamieniałe. Czuję na ręce coś gęstego i wilgotnego. Otwieram oczy, czarownica kłania się przed kotłem i przewraca gwałtownie oczami, widzę jej drgające białka. Ma otwarte usta, jej podniebienie jest żywo czerwone i pulsuje. Krew z mojego nadgarstka ścieka ku łokciowi i kapie prosto w ogień.

Po chwili oczy czarownicy stają się normalne.

– Skończone.

Wypuszcza moją rękę i podaje mi ręcznik.

– Ściskaj ranę, dopóki nie przestanie krwawić.

– To wszystko? – pytam zmieszana.

– Duchy przodków są zadowolone. Przyjęły twoją ofiarę i cofnęły klątwę.

– Ale ja myślałam, że krwawa ofiara oznacza...

Znowu kręci mi się w głowie. Zerkam na ranę. Jest mała.

– Co myślałaś?

– Ze muszę poświęcić swoje życie...

– Nie, skądże, moje dziecko. Idź do domu. Teraz wszystko będzie dobrze.

Mam nogi jak z waty. Wychodzę na dwór, świeże i chłodne powietrze ożywia moje zmysły. Zaczynam normalnie widzieć. Idę powolnym, lecz pewnym krokiem.

Byłam przygotowana na śmierć, a teraz czuję w sobie radość: wszystko się ułoży. Mama wyzdrowieje i znowu będziemy razem!

Powraca mi jasność myślenia, przyśpieszam kroku. Prawdopodobnie mama już czuje się lepiej! Czarownica mówiła, że przodkowie zostali przebłagani. Myśl o powracającej do zdrowia mamie dodaje mi sił. Nie mogę się doczekać, gdy zobaczę jej uśmiech. Kiedy biegnę do domu cioci, aż liście się unoszą i wirują w powietrzu.

Wpadam do środka, nie czekając na zaproszenie.

– Mamo, och, mamo, czy jesteś już zdrowsza?

Staję jak wryta. Precious i Abu także znieruchomieli niczym posągi. Mama leży na tym samym łóżku; wygląda na to, że nie przesunęła się nawet o centymetr. Czuję gryzący zapach ludzkich odchodów. Jest jakby mniejsza i jeszcze chudsza. Jej ręce przypominają suche gałązki, takie, których używa się na podpałkę.

Zauważyła mnie i uchyliła lekko powieki, ale nie do końca. Ma zaropiałe oczy. Powoli wyciąga do mnie trzęsącą się rękę i kładzie mi dłoń na ramieniu. Z wyglądu prawie nie przypomina człowieka.

Dlaczego nie czuje się lepiej? Przecież czarownica i przodkowie obiecali mi to! Może to musi trochę potrwać. Może za kilka dni odzyska siły. I wtedy wszystko będzie jak dawniej.

Abu i Precious tulą się do mnie. Uśmiechy na ich twarzach szybko przechodzą w grymas, gdy widzą to, co ja. Abu od razu chowa się do kąta, zakrywa twarz małymi rączkami i zaczyna płakać.

Pochyliam się nad mamą.

– Wszystko się ułoży. Znowu będziesz zdrowa. Obiecuję ci to!

Coś szepce, ale bardzo niewyraźnie. Wytężam słuch.

– Adaaannooo, kocham cię.

– Ja też cię kocham i wiem, że wszystko będzie dobrze. Duchy przodków powiedziały tak czarownicy. Poczekaj, mamusiu, tylko poczekaj.

Czuję szczypanie w miejscu rany. Zasnęta krew utworzyła purpurową linię na mojej ręce, od nadgarstka aż do łokcia.

– Złożyłam ofiarę. Została przyjęta i wszystko wróci do normy. Czarownica tak powiedziała.

Mama głaszcze mnie po głowie. Jej dłoń i dotyk są mi tak bliskie; wiem, że to dopiero początek, że ona wyzdrowieje. Opieram głowę o jej kościste ciało, wykrzywia twarz z bólu. Kładę się więc na podłodze, u jej stóp i zasypiam.

Mija jakiś czas, może godzina lub dwie, budzę się, bo ktoś ciągnie mnie po podłodze.

– Co ty tutaj robisz? Nie słyszałaś, że madę tutaj nie przychodzić? Co się z tobą dzieje, dziewczyno?

To ciocia, krzyczy na całe gardło, jakbym popełniła jakieś straszne przestępstwo.

– Byłam pewna, że z mamą jest lepiej. Czarownica mi to obiecała.

– Chodziłaś do wiedźmy? Bo jeśli tak, to przyjdzie tu i każe mi za to zapłacić.

– Nie, to ona do mnie przyszła. Powiedziała, że ofiara zniesie gniew przodków. Przyszłam, żeby sprawdzić, czy mama czuje się lepiej. Żeby zabrać ją do domu.

– A to co na twoim ramieniu?

– To nic takiego.

– Nie kłam, pokaż mi to.

– Nie, nie dotykaj, to boli. Czarownica mi to zrobiła.

– Chyba nie wiesz, jak bardzo się naraziłaś.

– Obiecała, że mama wyzdrowieje.

– Czarownicy czasami robią dobre rzeczy, ale nie zawsze mogą pomóc. Nie można im wierzyć. – Nagły spokój cioci zaskakuje mnie tak samo, jak wybuch gniewu przed chwilą. Nie lubię u niej tych gwałtownych zmian nastroju. – Adanno, musisz poznać prawdę. Twoja mama jest bardzo, bardzo chora i wkrótce dołączy do przodków. Musimy porozmawiać o tym, co będzie z wami, z tobą oraz twoją siostrą i bratem.

– Ale czarownica...

– Nie chcę słyszeć ani słowa o czarownicy. Kiedy umrze wasza mama, zostaniecie sami. Wujek Malako i ja będziemy wam pomagać, na tyle na ile potrafimy. Wiesz jednak, że jesteśmy biedni i nie mamy, czym się dzielić.

Nie mogę wprost uwierzyć w to, co słyszę, ale milczę.

– Sama mam dzieci, którymi muszę się opiekować – kontynuuje ciocia. – Ale nie martw się, dacie radę. Niektórzy są w jeszcze gorszej sytuacji i jakoś sobie radzą.

– Ale...

– Nie, nie, Adanno, jesteś już dużą dziewczynką.

Czarownica obiecała mi, że wszystko się ułoży, a oto wszystko się rozpada. Wcale nie jest dobrze. Ogarnia mnie smutek. Czuję się taka zagubiona.

Mama porusza się na swoim posłaniu, bardzo delikatnie. Przypomina to raczej ostatnie drgnięcia zwierzęcia złapanego w pułapkę niż człowieka leżącego pod kocem. Jęczy i kaszle, próbując złapać oddech; walczy ze śmiercią.

Pojawiają się łzy bezradności i goryczy. Wzbiera we mnie złość. Jestem zła na czarownicę, zła za to, że jestem sama, a nawet zła na tamtego mężczyznę pełnego światła. Tak, szczególnie na niego jestem zła.

Wybiegam na dwór. Palące łzy płyną po moich policzkach i wpadają do buzi. Biegnę, na początku sama nie wiedząc dokąd. I wtedy pojawia się myśl o pastorze Walterze. To jedyny człowiek, który może mi pomóc. Powinien być w punkcie żywnościowym.

Mijam ludzi walczących o życie. Widzę ich jak przez mgłę. To bez znaczenia, kim są i czy ich znam. Biegnę obok pustych domów ludzi, z którymi kiedyś spotykaliśmy się w kościele i dzieliliśmy się posiłkami. Są puste, ich mieszkańcy odeszli. Jak tatuś, wujek Sipo, mamusia. Kolejny potok łez, nie dbam o to, czy ktoś zauważy, że płaczę.

Zwalniam na widok punktu żywnościowego. Moje nogi są takie słabe, ledwie nimi powłóczę. Przeciskam się przez tłum ludzi, są wśród nich biali, jest ich dziesięcioro. Na głowach mają dziwne kapelusze, jakby wybierak się na safari. Jeden z nich trzyma butelkę z jakimś płynem, którym polewają sobie ręce za każdym razem, gdy nas dotkną. Drugi wyciąga do mnie rękę z cukierkami. Dzisiaj jednak nie chcę ich widzieć.

Gdzie jest pastor Walter? Chwiejąc się, idę do magazynu.

– Adanno, co ty tutaj robisz?

Usiłuję coś powiedzieć, ale moje usta ani drgną. Mam pustkę w głowie.

– Wszystko w porządku?

Cała drzę, cieknie mi z nosa, a słońce łzy zalewają mi twarz. Zawodzę jak niemowlę.

To taki troskliwy człowiek, właśnie taki powinien być ojciec. Podchodzi do mnie i mocno przytula, na razie bez słów. Wtulam się w jego ramiona i przez chwilę czuję się bezpieczna.

– Spokojnie, spokojnie, wszystko będzie dobrze. Pastor Walter jest przy tobie.

Rozdział dwunasty

Adanna

Pastor Walter nie zawsze był takim serdecznym i życzliwym człowiekiem. Kiedyś przypominał raczej kogoś, kto wygląda dobrze tylko z daleka, lecz gdy podejdziesz się bliżej, cały czar pryska.

Zanim pobudowano kaplicę przy punkcie żywnościowym, w każdą niedzielę musieliśmy przejść dziesięć kilometrów, żeby uczestniczyć w nabożeństwie. Pewnego ranka włożyłam sukienkę i wyszłam na dwór, żeby się pobawić. Kiedy tylko zauważyła to mama, natychmiast cofnęła mnie do środka. Jej wskazujący palec, wycelowany we mnie oraz dłoń stanowczo oparta o moje plecy, wyraźnie dały mi do zrozumienia, że to nie jest sukienka do zabawy. Była biała, w małe różowe kwiatki i zielone listki, a na plecach miała śliczną kokardkę. Każdej soboty mama prała nasze świąteczne ubrania, pocierając o kostkę mydła przeznaczonego wyłącznie do tego celu. Doskonale pamiętam wszystkie niedzielne ubrania rozwieszane na sznurku za domem: moja sukienka, długa sukienka mamy z rozrzuconymi na niej brązowymi, pomarańczowymi i zielonymi liśćmi i różowa sukienka Precious. Za każdym razem mama prała także świąteczne ubrania taty, nawet jeśli ich nie nosił. Tata jednak nigdy nie chodził z nami do kościoła.

– Z ust tego kaznodziei wychodzi tyle kłamstw – zwykł mawiać. Mama cmokała wtedy językiem i kręciła głową, ale nigdy nie sprzeczała się z nim w tych kwestiach. Abu nie było jeszcze na świecie.

Pamiętam, jak siedziałyśmy z mamą w kościele na długiej ławce i śpiewałyśmy: *Cóż za przyjaciela mamy w Chrystusie* oraz *Abba, Ojcze*.

Młode i starsze głosy oraz ręce wzniesione ku niebu. Kiedy ludzie z naszej wioski zaczęli chorować i umierać, nawet ci, którzy chodzili do kościoła, wszyscy chcieli poznać odpowiedź. Dookoła zadawano jedno pytanie: Czyja to wina? Każdy jednak miał własną odpowiedź. Niektórzy ludzie z kościoła mówili, że zgrzeszyliśmy przeciw Bogu. Inni zarzekali się, że mroczna fala śmierci to dzieło naszych przodków. A jeszcze inni twierdzili, że biali ludzie wpuścili chorobę do wody i zatruli nasze jedzenie.

Istniały tylko dwa miejsca, w które można było udać się po odpowiedź: czarownica lub kościół. Czarownica mieszka tu od dawna. Zawsze zastanawiałam się, na czym polega jej praca, a czasami nawet bałam się tej kobiety. Jednakże ludzie z wioski wierzą, że nasi przodkowie dali jej niezwykłą moc.

Sahile, wujek Tobile, powiedział jej, że przodkowie zamieniają złych ludzi w żywe trupy. Zombi każdej nocy wychodzą na żer i robią innym ludziom potworne rzeczy. Nie wiem niestety jakie. Przez kilka miesięcy po tym, jak usłyszałam o zombi, za każdym razem, gdy zamknęłam oczy, widziałam ich gnijące ciała i straszne oczy.

Kiedyś zapytałam tatę o zombi, wtedy wstał, rozłożył szeroko ramiona, wytrzeszczył oczy i ciężko stąpając, zaczął mnie gonić po domu. A kiedy mnie złapał, roześmiał się i powiedział:

– Adanno, nie wierz we wszystko, co usłyszysz.

Wiem jednak, że przynajmniej raz odwiedził czarownicę, po tym jak drzewo przygniotło mu nogę. Wycinał wtedy las dla rządu z Bulembu. Pracował szesnaście godzin na dobę i zarabiał grosze. Był wtedy wyjątkowo nerwowy. I chociaż wyleczył nogę, od tamtej pory lekko na nią utykał.

Wyobrażając sobie przodków, widzę olbrzymie duchy z czerwonymi oczami, obserwujące nas i czyhające na czyjś błąd. Zabijamy inwentarz, żeby ich zadowolić, ale nie wiem, po co im właściwie martwe zwierzęta.

Pewnej nocy pozwolono mi wraz z Tobile wziąć udział w specjalnym seansie, posadzono nas wtedy na tyle okręgu. Czarownica tańczyła jak jakiś szalony kurczak, swoimi bladymi, długimi i kościstymi palcami rozciągała coś niewidzialnego w powietrzu dookoła nas. Potem długo jeszcze czułam na sobie mdły i słodki zapach tamtego dymu.

Mama wierzy w przodków i moc czarownicy, w Boga i Kościół oraz pastora Waltera. Ja natomiast ciągle nie wiem jeszcze, w co wierzyć, ale wiem jedno, na pewno nie w czarownicę. Chyba że mamie nagle się polepszy.

Tak sobie myślę, że raczej wierzę w Kościół. A przynajmniej bym chciała. Po pierwsze jest za darmo. Nie musimy wpłacać tam pieniędzy ani ofiarować zwierząt... lub krwi. Pastor Walter czasami wspomina coś o ofierze oraz o krwi, ale nie prosi nas o składanie mu zwierząt. Mówi, że Jezus zajął ich miejsce. Nie rozumiem tego do końca, ale dzięki temu czuję się lepiej.

Bałam się pastora, zanim stał się innym człowiekiem. Po śpiewach zawsze wygłaszał kazanie, niekiedy nawet dwugodzinne! Przechadzał się przed ołtarzem, w tę i z powrotem, jego twarz błyszczała od potu, a głos był coraz donośniejszy. Czasami uderzał pięścią lub Biblią w stół, żeby nas obudzić.

Ktoregoś dnia mówił o prawdzie, którą jest Jezus.

– List do Efezjan – krzyczał – przypomina wam, że musicie stać się nowym stworzeniem. Ten, kto kradnie, nie może dłużej tak czynić! Musi pracować, żeby miał czym dzielić się z tymi, którzy są w potrzebie.

Pastor Walter mówił o Kościele Chrystusowym, w którym każdy dzieli się z potrzebującym. Nie tylko jedzeniem, ale domem i pieniędzmi, wszystkim.

Kiedy siedziałam tamtego ranka w kościele, zupełnie nie mogłam się skupić. Próbowałam zapomnieć o bólu w brzuchu, w kościach, a nawet – jak mi się wydawało – również we włosach. Od kilku dni nic nie jadłam. Pastor głosił kazanie, a ja myślałam o świeżo upieczonej kukurydzy, soczystych owocach oraz solidnej porcji fasoli i mięsa, aż ślinka ciekła mi z ust. Jeśli dobra nowina o Kościele Chrystusa jest prawdziwa, to może niedługo i ja będę miała co jeść.

Po nabożeństwie czekałam na pastora za kościołem.

– Pastorze, bardzo mi się podoba Kościół Chrystusa!

– Tak, skarbie, jest niezwykły, prawda?

– O tak, jest tak dobry, że aż wydaje się to niemożliwe.

Niestety pastor zaczął odchodzić, przecież nie mogłam go zatrzymać. I ogarnął mnie strach na myśl o kolejnym dniu bez jedzenia.

– Pastorze, proszę zaczekać.

– Tak, o co chodzi, dziecko?

– Ja... ja chciałam powiedzieć, że jestem jedną z tych osób, o których pastor dzisiaj mówił.

– Jakich osób, o czym ty mówisz?

– Jestem jedną z tych głodnych. Pastorze, mój brat, siostra i ja nie jedliśmy od kilku dni.

Spojrzał na mnie pytająco, po czym uśmiechnął się i położył dłoń na moim ramieniu.

– Ach, to tylko taka historia, przykład tego, jak powinni żyć ludzie.

– To znaczy, że to nie jest prawda? – Zaciśnęłam usta, a moje policzki oblały rumieniec.

– Ależ nie, to jest prawda. Tylko że potrzebujesz wiary, by to otrzymać.

– Nie rozumiem.

– Po prostu musisz wierzyć! Wszystko jest możliwe dla tego, kto wierzy.

– Aleja cały czas wierzę i wciąż jestem głodna.

– Bóg wystawia cię na próbę i sprawdza, czy naprawdę Mu ufasz. – Znowu poklepał mnie po ramieniu i odszedł.

Tamtego dnia stało się dla mnie jasne, że pastor tylko rzuca słowa na wiatr. Skoro ludzie mają się dzielić tym, co posiadają, to dlaczego Bóg poddaje mnie jakiejś próbie i nie pozwala im dzielić się ze mną – nie mogłam tego pojąć.

Pastor Walter dalej prawił nam kazania. Często bardzo się ekscytował i zaczynał na nas krzyżeć, mówiąc nam, co by się stało, gdyby nadeszło królestwo Boże. Czułam się tym wszystkim coraz bardziej zmęczona.

Pewnego dnia wszystko się zmieniło. Pastor jak zawsze głosił kazanie przy ołtarzu, bardzo przy tym się ekscytując, aż pluł na ludzi w pierwszym rzędzie. Mówił o mocy chrześcijanina. O mocy modlitwy, która się spełnia, o mocy wiary, która pokonuje wszelkie trudności. Spytałam kogoś o to i usłyszałam, że można modlić się o coś do Boga i On wysłucha prośby. Powiedziano mi jednak, że to działa w przypadku Amerykanów.

Po nabożeństwie wszyscy wyszli, poza jedną osobą. Chłopiec, którego znałam z widzenia, leżał cały czas przy ścianie. Wszyscy myśleli, że śpi. Jego mama zmarła z powodu jakiejś złej choroby i nie było jej przy nim, żeby go obudzić. Nie miał nikogo, kto mógłby się nim zaopiekować. Słyszając, jak pastor próbuje go obudzić, zatrzymałam się przy wyjściu i odwróciłam głowę.

– Hej, chłopcze! Czas wracać do domu. Kościół to nie jest miejsce do spania! Słyszysz mnie, chłopcze? Co się z tobą dzieje, tak po prostu śpisz sobie w domu Bożym?

Podszedł do kąta, gdzie leżał Tlonge. Zrobił się przeciąg, kurz zawirował w powietrzu, kilka liści zatrzymało się na ubraniu pastora. Wciąż słyszę roznoszące się po kościele echo, gdy jego czarne pantofle stukają o cementową posadzkę.

– Powiedziałem już, że czas do domu!

Kopnął go delikatnie czubkiem buta, lecz chłopiec się nie poruszył. Pastor złapał go więc za koszulę i zaczął ciągnąć po podłodze w kierunku drzwi. To nie było trudne, Tlonge wyglądał jak szkielet. Był bardzo brudny, miał bose stopy, a jego ubranie przypominało raczej stare szmaty. Nawet teraz wyraźnie widzę jego twarz i te ubrania.

Pastor pochylił się nad nim, żeby złapać go dwoma rękoma i eskortować do drzwi. Nagle zamarł w bezruchu. Widocznie dotknął skóry Tlonge. Zimna i lepka jak zewnętrzna część skórki od banana. Wiem, bo przytuliłam go, gdy wszyscy już wyszli.

– Tlonge? Tlonge? Chłopcze, obudź się. Och, mój Boże!

Pastor Walter dotknął czule jego szyi oraz twarzy i zaczął cicho płakać. Potem przytulił Tlonge do piersi, a jego płacz przeszedł w głośny szloch, który wypełnił cały kościół i plac dookoła. Po raz pierwszy w życiu widziałam tak zawodzącego mężczyznę.

Od tamtego dnia pastor stał się innym człowiekiem. Zmienił się nawet jego wygląd, jego oczy i twarz nabrały łagodniejszego wyrazu. Na każde nabożeństwo przynosił z domu coś do jedzenia i karmił tyle dzieci, ile tylko mógł. Były takie chwile, że jedynym posiłkiem w tygodniu było to, co pastor przyniósł na niedzielne nabożeństwo. Kiedyś przyszedł nawet do naszego domu z niewielkim posiłkiem dla całej rodziny. Nie było tego dużo. Mówił, że to wszystko, co miał. Wierzyłam mu. Śmierć Tlonge przełamała coś w pastora, coś, co musiało zostać odblokowane.

I teraz to właśnie ramiona pastora mnie obejmowały.

– Adanno, skarbie. Co się stało, moje dziecko?

Próbuję coś powiedzieć, ale z moich ust nie wydobywają się żadne słowa. Cieknie mi z nosa, a z oczu płyną łzy większe niż groch.

– Cicho, cicho. Powiedz swojemu pastora, co się stało. Jestem tu dla ciebie.

W końcu po czasie, który wydaje się wiecznością, wydobywam z siebie jakieś słowa.

– Moja mama, ona jest chora, pastorze! Śmiertelnie chora. I ja poszłam do czarownicy. – Pokazałam mu ranę z już zakrzepniętą brudną krwią. – Ale to nie pomogło i mama na pewno umrze!

– Och, Adanno, co ona ci zrobiła? – Pastor kręci głową, a w oczach ma łzy. Łzy z mojego powodu.

– Modliłem się za ciebie i przez tyle bezsennych nocy zastanawiałem, jak mogę wam pomóc. Adanno, to bardzo trudna sytuacja, ale wiedz jedno, Bóg nigdy cię nie zostawi.

– Ale ja tak bardzo się boję. Jak ja sobie poradzę? Kto mi pomoże opiekować się Abu i Precious? Co im dam dojedzenia?

– Nastaly trudne czasy, ale zrobię wszystko, co mogę, żeby wam pomóc. – Kładzie moje ręce na swojej twarzy. – Możesz na mnie liczyć.

Aż trudno mi w to wszystko uwierzyć. Mam wrażenie, że utknęłam w jakimś sennym koszmarze i nie mogę się obudzić. Z całej siły przeciągam paznokciami po swojej skórze, ale to nie pomaga. Nie, nie obudzę się w innej rzeczywistości, bo to nie jest sen.

Pastor wręcza mi zawiniątko.

– Masz tu trochę kukurydzy i fasoli. Wiem, że nie jest tego za dużo, dostaliśmy to od pewnych życzliwych obcokrajowców, ale powinno wystarczyć na kilka dni.

– Dziękuję – odparłam.

Jestem wdzięczna za te kilka minut z pastorem. Czuję, że jestem kochana i że komuś na mnie zależy. Jego ciepłe dłonie, troska, z jaką na mnie patrzy, i delikatne głaskanie mnie po plecach kojarzą mi się z ojcowskim sercem. Wystarczyłaby o wiele mniejsza racja żywniowa, gdyby taka miłość towarzyszyła mi każdego dnia. Gdybym miała takiego tatę, nigdy bym się już nie bała.

Przypomniały mi się najpiękniejsze chwile, jakie spędziłam z moim tatą. Pamiętam ostatni dzień, w którym go widziałam. Wstał wcześniej i przygotował dla nas śniadanie – były nawet bułeczki, które przywiózł z miasta. Dał mamie buziaka na pożegnanie i nigdy już nie wrócił. Wciąż widzę jego plecy znikające w oddali – to ostatni obraz taty, jaki mam w pamięci.

Wspomnienia rozmywają się, podnoszę wzrok i widzę białego mężczyznę, wchodzącego do sali, w której jestem z pastorem Walterem. Ma ciemne, kręcone włosy, związane w kucyk.

Podchodzi do nas.

– Cześć, Walterze.

Pastor ściska jego dłoń na powitanie i żywo nią potrząsa.

– Stuarcie, miło cię widzieć.

A potem biały człowiek wyciąga rękę w moim kierunku.

– *Saw-Sawubona*. – Próbuje przywitać mnie w języku Suazi.

Robię to samo, co pastor i witam się z nim po amerykańsku, potrząsając jego dłonią, moją prawą, a nie lewą ręką.

– Dzień dobry. Ja mówię po angielsku.

– 1 z tego, co słyszę, naprawdę nieźle.

– Uczyłam się angielskiego w szkole.

– Mam na imię Stuart, a ty jak się nazywasz?

– Adanna.

– Przykro mi, że twoja mama jest chora.

Patrzę na niego i kiwam głową. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego mnie zagaduje. Kopię nogą ziemię, kurz unosi się w powietrze.

Pastor Walter wstaje.

– Adanno, Stuart jest ze Stanów. Przyjechał z Gordonem – pewnie już znasz Gordona, widziałas go u mnie. To wysoki, biały mężczyzna, czasami przychodzi do naszego kościoła.

– Jest bardzo głośny – dopowiada biały mężczyzna. Zerka na mnie, nie jest to jakieś złe spojrzenie, ale czuję, że uważnie mi się przygląda. Uświadamiam sobie wtedy, w jakich

jestem szmatach i jak brudne mam nogi i ręce. On natomiast ma na sobie niebieski podkoszulek z koniem i jeźdźcem.

– Być może. – Chciałabym rozpląnąć się w powietrzu.

Biały mężczyzna wyraża się życzliwie, odnoszę jednak wrażenie, że nie przychodzi mu to łatwo.

– Pan Gordon jest pisarzem, a ja fotografem. Jesteśmy tu po to, by zrobić reportaż o waszym pięknym kraju dla amerykańskiej gazety.

– Nasz kraj nie jest już taki piękny jak kiedyś.

– Być może sytuacja wkrótce zmieni się na lepsze, zarówno dla ciebie, jak i twoich rodaków.

Odpowiada szybko, jak ktoś, kto próbuje złapać wodę wylewającą się z jednego garnka do drugiego. Dzisiaj nie mam ochoty na bycie uprzejmą. Czy on nie widzi różnicy pomiędzy swoimi idealnymi, czystymi ubraniami a szmatami, które ja mam na sobie?

– Proszę się rozejrzeć. – Mój głos brzmi szorstko, lecz bardzo stanowczo, aż sama jestem zdziwiona jego siłą. – Wszyscy umierają, nie mamy co jeść.

– Nawet nie próbuję wyobrazić sobie, jakie to musi być trudne. – Pochyliła się nade mną. – Wiem, że dopiero co się poznaliśmy, ale czy mogę ci coś dać?

– Dobrze?

Zdejmuję z pleców pomarańczowy plecak.

– Mamy tutaj trochę jedzenia – krakersy, chleb i ser. Nie jest tego za dużo, ale chciałbym, żebyś to wzięła.

– Bardzo panu dziękuję. – Być może źle go oceniłam.

Wstaję i chcę odejść, lecz nogi mam jak z waty. Biały człowiek obejmuje mnie ramieniem i wskazuje na krzesło. Jego dłoń musnęła moją ranę na przedramieniu, skrzywiłam się z bólu.

– Przepraszam, bardzo przepraszam. – Zatrzymuje wzrok na mojej ręce. – Co ci się stało?

Wchodzi pastor Walter.

– Adanno, może trochę się zdrzemniesz? A potem pomożemy ci wrócić do domu.

Leżę jak robak na wytartym dywaniku, ściskając poplamiony, pomarańczowy plecak. Pastor Walter ruchem ręki przywołuje pana Stuarta. Rozmawiają ścisłymi głosami, lecz i tak ich słyszę.

– Stuarcie, to dziecko bardzo dużo przeszło. Nawet nie masz pojęcia jak dużo. Dzisiaj poszła do czarownicy, żeby złożyć ofiarę z krwi – wierzyła, że dzięki temu jej mama wróci do zdrowia. Jej matka ma AIDS i może umrzeć w każdej chwili.

– Ta znachorka jej to zrobiła?

– Walczę z tego typu przesądami, niestety mają to silnie zakorzenione w tradycji. Musimy się upewnić, czy mała oczyściła ranę. Boję się, żeby nie doszło do zakażenia.

W pewnym momencie do pomieszczenia wchodzi jeszcze jeden mężczyzna. To musi być Gordon, jest naprawdę głośny.

– Mam apteczkę w samochodzie – mówi. – Są tam jakieś środki odkażające i antybiotyki. Zaraz to przyniosę.

– Tak, to bardzo dobry pomysł.

Biali mężczyźni nakładają mi na ranę jakąś piankę i roztwór. Szczypie mnie to. Staram się być dzielna, ale twarz sama wykrzywia mi się z bólu. Potem zakładają mi szeroki, brązowy bandaż.

– No proszę, wygląda naprawdę dobrze – pociesza mnie pan Stuart.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo – odpowiada pan Gordon.

– A teraz eskortujemy cię do domu – dodaje pastor Walter.

– Dobrze.

Nie jestem pewna, czy chcę, żeby zobaczyli mój dom. Nie ma na co patrzeć. Naprawdę. W czasie drogi powrotnej dochodzę do wniosku, że nie zaproszę ich do środka. Im mniej pytań, tym lepiej.

Docieramy na miejsce, jeszcze bardziej jestem przekonana, że podjęłam właściwą decyzję. Ci biali mężczyźni – a szczególnie ten z ciemnymi włosami – próbują ukryć swoje przerażenie, na próżno, bo zdradzają ich oczy.

- Bardzo dziękuję. Być może jeszcze się zobaczymy.
- O tak, byłoby fajnie. – Mężczyzna o imieniu Stuart jest bardzo dziwny.
- *Sala kahle* – dopowiadam.
- Do widzenia, moja droga – mówi pastor Walter. Po czym odchodzą.

Rozdział trzynasty

Gordon zostawia mnie pod hotelem.

– Do zobaczenia, widzimy się na śniadaniu – krzyczy, odjeżdżając. On jest niezmordowany.

Wchodzę do pokoju i rzucam się na łóżko. I chociaż jestem wykończony, sen nie przychodzi. Mój organizm nie przestawił się jeszcze na tutejszy czas. Myślami jestem przy dzieciakach z punktu żywnościowego. Nie powinienem za bardzo się angażować. Tylko dzięki temu jeszcze nie zwariowałem. Właściwie to... i tak od dłuższego czasu nie funkcjonuję normalnie. Myślę o Adannie – o ranie, którą widziałem na jej przedramieniu. Myślę o tym dziwnym nabożeństwie w kościele i sławach: „Nakarm Moje owce”. Czy to naprawdę miało miejsce, a może to było tylko chwilowe złudzenie?

Zawsze bawiły mnie opowieści Whitney o tym, jak dorastała w jednej z takich wspólnot – midi w swojej nazwie jakieś wezwanie do Ducha Świętego. Mniej więcej raz w miesiącu, w niedzielę było odprawiane specjalne nabożeństwo do Ducha Świętego. Wtedy razem z bratem podchodzili do ołtarza i padali na twarz, jako symbol pełnego podporządkowania się natchnieniom Ducha. A nawet umierania dla Niego, co być może brzmi nieco szokująco. Jednakże Whit i jej najmłodszy brat odbierali to zupełnie inaczej, traktując to jako zwyczajną zabawę. Przez chwilę leżeli nieruchomo na posadzce, a potem zerkali na siebie i kiwali głowami, gdy uznali, że można już wstać. Ciekawe, ilu ludzi tak właśnie traktuje swoją obecność w kościele, jako zwykłą zabawę.

Tęsknię za Whitney. Muszę do niej zadzwonić, usłyszeć jej głos. Wygrzebuję komórkę z torby, jeszcze się nie rozładowała. Wjeżdżam windą na górę, tam gdzie jest basen, i zajmuję leżak w odległym końcu. Po drugiej stronie, w najgłębszej części basenu widzę w wodzie siwowłosego mężczyznę wraz ze sporo od niego młodszą blondynką. Podrywa ją i wygląda na to, że najwyraźniej skutecznie.

Jeden sygnał, drugi.

– Halo?

– Whit, cześć! Tu Stuart.

– A więc jesteś na miejscu! Nie odzywałeś się i zaczęłam się już martwić.

– Przecież wiesz, jak tu działa telefonia komórkowa, raz jest sygnał, raz go nie ma. Teraz stoję przy basenie, na samej górze, ale i tak mam tylko jedną kreskę. W każdej chwili mogę stracić połączenie.

– Miło usłyszeć twój głos.

– 1 na dodatek bateria jest prawie na wyczerpaniu. Nie mamy więc za dużo czasu.

– Jasne...

– Przepraszam, nie tak chciałem zacząć rozmowę. Hm... ja też się cieszę, że słyszę twój głos. – Sam nie wiem, co powiedzieć. Może to dlatego, że nie potrafię nawet określić, co u mnie.

– Wszystko w porządku?

– Byliśmy dzisiaj z Gordonem w punkcie żywnościowym, żeby porozmawiać z dziećmi i zrobić trochę zdjęć. Nawet nie jestem w stanie opisać tego, co widzieliśmy. Te dzieci, one nie mają nikogo.

– Jak to nikogo?

– Po prostu nikogo. Ich rodzice, wujkowie i ciotki nie żyją. Siedmiolatki opiekują się młodszym rodzeństwem. Poznałem jedną z takich dziewczynek, ma nie więcej niż jedenaście,

dwanaście lat. Jej mama umiera na AIDS, a więc co ona robi? Idzie do tutejszej szarlatanki, a ta nacina jej skórę na przedramieniu, żeby złożyć ofiarę z krwi.

– To straszne.

– Poznałem też pastora Waltera, pomaga tym dzieciom – gdybyś tylko mogła usłyszeć jego historię – współpracuje z różnymi organizacjami, żeby załatwić im jedzenie, niestety nie są wiarygodni. Dałem Addanie to, co mieliśmy przy sobie z Gordonem, trochę krakersów i innych drobiazgów, ale i tak mam wrażenie, jakbyśmy nic nie zrobili.

– Stu, to wydaje się aż nierealne. – Jej głos brzmi tak spokojnie.

– Cała ta podróż wydaje się nierealna.

Zapada niezręczne milczenie. Wiem, że chciałyby porozmawiać o nas, ale nie jestem jeszcze gotowy. Nie teraz. W mojej głowie kłębi się tyle myśli.

– Byłem w kościele – oświadczam w końcu.

– W kościele?

Zaczynam się śmiać.

– Tak, przyznam, że nie planowałem tego. Po prostu stało się. Po wywiadzie z pewną niezwykłą Suazyjką, bardzo przypomina mi Wangari.

– Zabrała was do kościoła?

– Po kolacji wybraliśmy się na spacer. Tak na marginesie, tu jest naprawdę pięknie, gdyby nie plaga głodu i AIDS, dziesiątkująca ten naród.

– Piękny opis. Tylko pamiętaj, żeby to wszystko fotografować. – Pozwoliła wybrzmieć tym słowom, zanim wypowiedziała następne. – No i co takiego wydarzyło się w kościele?

– W środku było bardzo ciasno, ale to nabożeństwo nie przypominało żadnego z tych, w których kiedykolwiek brałem udział. W większości były to dzieci i starsze kobiety – pewnie babcie, tutaj nazywa się je *gogos*. W każdym razie usłyszeliśmy ich śpiew i to zwróciło naszą uwagę. Przyznam, że aż mnie zatkało, tak pięknie śpiewały.

Kolejna porcja milczenia.

– Stu? Jesteś tam? Słabo cię słyszę.

– Przepraszam. Właściwie to mogę opowiedzieć ci o tym innym razem. Ale... to było takie niezwykle. I trochę dziwaczne, bo usłyszałem głos...

– Stu, słabo cię słyszę...

– Powiedziałem, że to było trochę dziwaczne. To wszystko.

– Cieszę się, że poszedłeś do kościoła. To dobrze. Być może to ci pomoże... pomoże nam. To znaczy przynajmniej w niedzielę moglibyśmy choć trochę pobyć razem.

– Tak. – Kiedy ostatni raz byłem z Whitney w kościele? Kilka miesięcy temu? Kilka lat?

Whitney znowu przerywa milczenie.

– Stuarcie, co prawda inaczej wyobrażałam sobie przekazanie ci wiadomości, którą mam, ale to bardzo ważne.

Zabrzmiało to trochę złowieszczo. Czy chodzi o nas? Albo o kogoś bliskiego? Czy ktoś jest chory? A może ktoś umiał?

– Czy coś się stało?

– Nie, poza tym, że... – przerywa w środku zdania.

– Whit, jesteś tam?

– Stuarcie, chcę ci powiedzieć, że będziemy mieli dziecko.

Telefon wypada mi z ręki. Odbija się od płytek, po czym zatrzymuje tuż nad brzegiem basenu. Podnoszę go szybko i przykładam do ucha.

– Whit, słyszysz mnie? Whitney?

Cisza.

Rozdział czternasty

Adanna

Pamiętnik, który mam, to prezent od najdroższej, przyszywanej babci Fridy, pochodzącej z Finlandii. Na przodzie widnieje twarz kobiety, jej srebrne włosy spływają aż na tylną część okładki. Ma niebieskie oczy, zupełnie jak Frida, a na jej powiekach mienią się barwy błękitu, turkusu i srebra. Z jej lewego oka płyną dwie małe łzy, a na głowie siedzą dwa piękne ptaki, których stykające się dzioby tworzą koronę. To najpiękniejsze zdjęcie, jakie kiedykolwiek widziałam. Frida powiedziała, że ta kobieta to nordycka królowa z lodowej krainy.

Tylko raz w życiu widziałam lód, w kubku coca-coli. Bidy mężczyzna pozwolił mi go dotknąć. Wylał brązowy płyn, a w jego dłoni zostały dwie krystalicznie kostki. Podał mi jedną, a drugą włożył do ust i zmiażdżył zębami. Miałam wrażenie, że ten mały kryształ wżera mi się w skórę, a po dłuższej chwili zaczęłam aż dygotać z zimna. Potem włożyłam go do ust i pogryzłam, podobnie jak biały mężczyzna.

Język Fridy brzmiał bardzo dziwnie. Śmiała się, gdy jej o tym powiedziałam.

– Twój język przypomina grecki!

Znała angielski, podobnie jak ja, więc mogłyśmy ze sobą rozmawiać. Gdy nas odwiedzała, mama witała ją uśmiechem i wymieniały między sobą serdeczne suazyjskie „dzień dobry”. Wtedy przybiegała do nas także Precious, której towarzystwo Frida bardzo lubiła. Mama jednak doskonale wiedziała, że to mój szczególny czas, więc zabierała ze sobą Precious i Abu. Frida była wyjątkową nauczycielką, dlatego mama chciała, żebym nauczyła się od niej jak najwięcej.

Opowiadała mi o swoim kraju, mówiła, że różni się od Suazi tak jak dzień od nocy. Powiedziała, że jest tam dziesięć razy zimniej, niż kiedykolwiek było u nas. Wspominała też o czymś, co nazywa się śniegiem i spada z nieba. To coś przypomina ogromny kobierzec z zamrożonej białej bawełny, rozłożony na ziemi.

W pamiętniku mam zapisane słowa w języku Fridy. Powiedziała, że pochodzą one z wiersza zatytułowanego *Łzy*, napisanego przez Elizabeth Barret Browning. Żyła dawno temu w Anglii, obydwójce z mężem pisali wiersze o życiu, a szczególnie o miłości. Frida przetłumaczyła mi słowa z pamiętnika: „I te łzy, potokiem spływające po uniesionej twarzy, w końcu nową rzeczywistość wyraźnie ukażą, słońce i gwiazdy”. Potem dodała jeszcze, co jest na początku, więc zapisałam wszystko na pierwszej stronie pamiętnika, w moim języku i po angielsku:

*I te łzy,
potokiem spływające po uniesionej twarzy,
w końcu nową rzeczywistość wyraźnie ukażą, słońce i gwiazdy.*

Przez trzy miesiące Frida dwa razy w tygodniu odwiedzała naszą wioskę. Zawsze przychodziła do nas, dzięki czemu mogłam porozmawiać z nią o poezji. Wyjaśniła mi, że *Łzy* to wiersz o życiu i o smutku, a także o tym, że dzięki łzom widzimy wszystko wyraźniej. Zęby naprawdę przejrzeć, musimy wznieść twarz ku niebu, ku Bogu. Frida wierzy w Boga, więc często o Nim opowiadała.

Mówiła, że jest autorem życia, stwórczą mocą i słowem. Dał to wszystko człowiekowi i zarazem sam jest tym wszystkim. Nie do końca rozumiem tę tajemnicę, jak określała to Frida, lecz jej słowa przynoszą mi pokój i pewność, że życie to coś więcej, niż mi się wydaje.

– Adanno, poezja jest piękną formą sztuki.

– Sądziłam, że sztuka to coś, co widzimy.

– Sztuka to sposób patrzenia na życie i wyrażania tego, co widzisz, z twojej perspektywy, twoimi oczami. W przypadku poezji używasz potęgi słowa zamiast pędzla, żeby wyrazić piękno i zachwyt nad życiem, a także by opowiedzieć o tym, co przynosi ból i smutek.

– Podobnie jak w przypadku burzy? – wykrzyknęłam. To miało dla mnie sens.

– Tak, dokładnie jak podczas burzy. – Niebieskie oczy Fridy rozjaśniały się, gdy była podekscytowana. A działo się tak podczas każdej rozmowy o poezji.

– Czy podczas burzy nie jest tak, że przestajemy dostrzegać piękno? Czy potrafisz zachwycić się mocą, jaką posiada błyskawica? Czy zastanawiasz się nad życiem, które deszcz przynosi ziemi, by mogła wydać plon, i czy zachwycasz się Tym, który stworzył to wszystko?

– Tak, myślę o tym.

– 1 to właśnie jest poezja.

Uczyła mnie o poezji i języku, o słowach, strofach, metrum i rytmie. Nauczyła mnie też, jak wyrażać słowami najgłębsze myśli. Mnóstwo wierszy znała na pamięć. Miałam tysiące pytań, a Frida zawsze była bardzo cierpliwa i serdeczna. Mówiła, że uwielbia moją ciekawość. Obydwie płakałyśmy w dzień jej wyjazdu. Cieszę się, że przyszedłam ją pożegnać:

Zanim wyjechała, zostawiła mi wpis w pamiętniku:

Adanno, poznanie Ciebie to prawdziwy dar, bo jesteś darem dla świata. Proszę, nie przestawaj rozmyślać nad tym, co piękne w życiu. Wykorzystuj talent do wyrażania swoich cudownych myśli.

*Twoja przyjaciółka,
Frida*

I chociaż obiecała, że wróci, czułam się taka samotna, gdy odjechała.

Mój pamiętnik nazywa się *Frida*, na cześć kobiety, która mi go dała. Frida jest moim pocieszeniem, gdy cierpię, niczym ciepła filiżanka herbaty w zimny, deszczowy dzień. A to jest prawdziwy luksus. Kiedy otwieram pamiętnik i widzę pustą kartkę, mój długopis zaczyna pracować. I gdy piszę, świat staje mi się bliższy. Nawet jeśli wyrażę już moje myśli i uczucia, ta świadomość pozostaje.

Pisanie wierszy to coś, co kocham najbardziej na świecie. Mama mówi, że mam ten dar po babci. Napisałam wiersz dla Fridy. Być może wręczę go jej pewnego dnia.

Natomiast ten wiersz powstał kilka dni temu:

*Spoglądam na ścieżkę pośród trawy wysokiej,
którą chodziłeś, wracając do domu.*

I czekam.

*Na Twój kochany uśmiech, silne ramiona,
by chroniły mnie przed krzywdą. Czekam...*

Widzę Cię, wołasz mnie po imieniu, oczy zwrócone na dom.

Moje serce szybuje, a potem opada, gdy się budzę.

O tato z moich snów.

Ścieżka jest pusta, podobnie jak moje serce.

To wiersz o tacie. I tak nigdy go nie przeczyta, ale napisałam go dla niego. A może napisałam go dla siebie. W każdym razie właśnie to chciałabym mu powiedzieć, gdyby tutaj był. Może któregoś dnia wróci po mnie. Mam nadzieję, że pamięta o swojej córce.

Czasami boję się w nocy, ale *Frida* dotrzymuje mi towarzystwa. Precious i Abu dawno już śpią, a ja siedzę na łóżku i piszę tak długo, jak tylko mogę, chyba że nie mam czym pisać lub nie mam świeczki. Świece są drogie, ale pastor Walter dał mi całe opakowanie z darów, które otrzymał od organizacji humanitarnej. Używam ich bardzo oszczędnie, żeby mogły służyć mi jak najdłużej. Kiedy na dworze wieje wiatr, w domu jest przeciąg, wtedy płomień się przekrzywia i wosk ucieka, przez co świeca zużywa się szybciej. Nigdy nie czytam ani nie piszę podczas burzy. Została mi już tylko jedna świeca.

– Abu, Precious, chodźcie na śniadanie. – To już ostatnia porcja jedzenia, którą dał mi biały mężczyzna.

– Adanno, to jedzenie było takie dobre! Myślisz, że biali ludzie dadzą nam więcej?

– Nie wiem, Precious. Jednego dnia mamy jedzenie, a drugiego już nie. Taki już nasz los. Z Bożą pomocą jakoś przeżyjemy jutrzejszy dzień. – Tak mawiała mama. Po odejściu taty na mnóstwo pytań odpowiadała w taki właśnie sposób: „Z Bożą pomocą...”.

– Pójdziemy dzisiaj do mamy? Tęsknię za nią. – Precious zaczyna płakać, Abu także. Nie znoszę, kiedy płaczą.

– Dobrze, pójdziemy, ale już nie płaczcie. – Nieważne, co powie ciocia D; musimy zobaczyć mamę.

– Tak, dzisiaj pójdziemy do mamy.

Na ich twarzach pojawia się uśmiech.

– Tylko masz się ciepło ubrać.

– Przecież nie mam ciepłych ubrań – przypomina mi Precious.

– No to załóż zielony sweter mamy.

– Ale mama się zdenerwuje.

– Zrób to, co mówię. I dopilnuj, żeby Abu owinął się kocem.

Dzisiaj dojście do domu cioci D zabiera nam więcej czasu niż zwykle. Pogoda się zmieniła, jest znacznie chłodniej i musimy iść pod wiatr. Kurz wpada nam do oczu i do buzi. Liście szybują w powietrzu niczym strzały. Wzdłuż drogi rosną stare, sękaty drzewa. Ludzie mówią, że mają tysiące lat i są naszym największym skarbem. Niektórzy nawet wierzą, że w tych drzewach mieszkają zmarli i obserwują nas. Kimkolwiek są, nie lubię ich. Przerazają mnie.

Kiedy wychodzimy z zakrętu, widzę, że coś szybko się porusza. Mrużę oczy i dostrzegam jakąś kolorową plamę. Chwytam Abu za małą, kościstą rączkę i przyśpieszam kroku.

– Adanno, nie idź tak szybko. Zwolnij!

– Precious, nie mamy czasu, szybciej.

Jakaś postać biegnie w naszym kierunku.

– Adanno, widocznie już wiesz. Właśnie idę po was. Chodźcie, szybciej. – Na czole wujka Malako błyszczą krople potu, oddycha z trudem.

– Wujku, co się dzieje? – Ale chyba już wiem.

– Pośpieszcie się. Zaraz zobaczycie.

Nagle wszystko dookoła zlewa się w jedną niewyraźną plamę. Wujek ciągnie mnie mocno za rękę, mam wrażenie, że zaraz mi ją wyrwie. Szarpnięcie sprawiło, że otworzyła się rana, z której zaczynają sączyć się drobne krople krwi.

Przed domem stoi grupka ludzi, jęczą i zawodzą, wznoszą ręce ku niebu i zanoszą ciche modły do przodków lub bóstw. Przechodzę między nimi ze spuszczoną głową. Nie chcę, żeby ktoś zauważył, kim jestem. Zadziało.

W środku znajduje się mnóstwo ludzi. Starsze kobiety z wioski przytulają mnie i całują. Wymykam się im. Gdzie mama? Kobiety wyciągają ręce do Precious i Abu, ale biorę Abu na rękę i chwytam Precious za jej drobną rączkę, ciągnąc ją za sobą.

Przeciskamy się przez tłum ludzi i stajemy przed łóżkiem mamy, jakbyśmy wyszli z jakiejś jaskini.

– Czy to mama? – pyta Precious drżącym głosem. Jej usta wyginają się w podkowę.

To nie jest mama. Skóra zwisa z jej twarzy i nie jest taka błyszcząca i brązowa jak u naszej mamy. Przypomina raczej rozpuszczony wosk ze świecy. Kości sterczą tam, gdzie nie powinny. Nad jej oczami znajdują się dwa guzy, a niegdyś okrągły podbródek zwisa niczym skała. Jej otwarte usta odsłaniają rząd zębów jak u martwej krowy.

Żołądek podchodzi mi do gardła. Odwracam się, oddaję Abu stojącej za mną kobiecie i wybiegam z Precious na dwór. Wymiotuję, kwaśna ciecz pali mi gardło i piecze w usta jak ogień. To smak mojego życia.

Upadam na kolana i walę pięściami w ubitą ziemię. Wiatr podrywa kurz do góry i roznosi dookoła. Z głębi mojej duszy wydobywa się krzyk.

– Mamo! Mamo! – zawodzę.

Nagle ktoś chwytam mnie za ramię z siłą goryla i ciągnie do góry. To wujek Malako. Wymiociny zmieszały się z kurzem i piachem, z ust cieknie mi ślina. Wszyscy patrzą na mnie.

– Idź i pożegnaj się z mamą. – Wujek Malako popycha mnie do środka. Nie wiem, gdzie zniknęli Precious i Abu.

Chowam twarz w dłoniach, ktoś kładzie mi rękę na plecach. To ciocia D.

– Moje kochane dziecko, modliłam się, żeby ten dzień nigdy nie nadszedł. Tak mi przykro, jestem zrozpaczona z powodu tego, co was spotkało – mówi głośno, tak żeby wszyscy usłyszeli.

Milczę. Mam pustkę w głowie i sercu. Cała jestem odrętwiała. Wszystko dzieje się jakby poza mną. Sama nie wiem, czy moje serce jeszcze bije, czy poruszam nogami i potrafię mówić. Wszystko skończone. Nic już nie będzie tak samo.

Ciocia D kręci głową, przymusza się do płaczu.

– Nie martw się, wujek Malako i ja pomożemy wam i zatroszczymy się o was.

Każde jej słowo to kłamstwo. Znowu robi mi się niedobrze.

– Słyszysz mnie, dziecko?

Kiwam głową. Dookoła mnie twarze krewnych, znajomych i nieznajomych, przemykam pomiędzy nimi niczym karaluch, starając się być niezauważoną, i podchodzę do drzwi. Staję na palcach, lecz i tak jestem za niska, żeby cokolwiek dostrzec w tym morzu głów. Gdzie jest Abu i Precious?

Och, jakże bym chciała porozmawiać teraz z tym świetlanym mężczyzną z moich snów. Powiedział, że Jego imię to „Wszystko, czego potrzebujesz”. Potrzebuję, żeby ktoś powiedział mi, co robić. Potrzebuję kogoś, kto powie mi, jak to wszystko przetrwać. Potrzebuję pomocy. Rzucam na wiatr modlitwę pełną rozpacz, mając nadzieję, że On jest blisko. Ze mnie słyszy. Proszę, Świetlana Postaci, Władco wszechświata, pomóż mi!

Idę przed siebie, lecz niczego nie słyszę. Powietrze jest chłodne, mimo iż słońce świeci tak mocno. Wiatr ustał, lecz odkąd odeszła mama, pojawił się jakiś nowy chłód. Czuję go w głębi serca. Wszystko we mnie się zmienia. Przeobraża się każdy pyłek, każda marna cząsteczka, składająca się na moje „ja”.

Przebiegam wzrokiem po rozciągającym się przede mną horyzoncie. Świat wygląda tak samo, jak wczoraj, lecz dla mnie jest zupełnie inny. Nie chcę już istnieć. Kiedy wszyscy wyjdą, wrócę niepostrzeżenie do mamy i położę się obok niej. I wtedy umrę razem z nią.

Dwie małe postacie wyskakują z grupy żałobników niczym ryby umykające przed haczykiem. Abu i Precious biegną do mnie.

Ciekawe, o czym myślę. Abu jest taki mały. Wie jedynie tyle, że mama się nie porusza. Próbował z nią rozmawiać. Nikt nawet nie zauważył, gdy ją szturchnął, pytając, czy nie chce czegoś do picia.

Nie ma pojęcia o tym, co się stało. Abu nie będzie pamiętał mamy, tego, jak całowała go w czoło, zanim zasnęła, lub jak wybuchła śmiechem, gdy wymawiał pierwsze słowa. Nigdy nie. pozna, jak bardzo go kochała. Nie zobaczy, jak kochana i szanowana była w naszej społeczności, ale ja opowiem mu o tym wszystkim.

Czujemy pustkę w środku – pustkę, której nie da się opisać. Patrzę im w oczy, ocieram łzy z twarzy i mocno przytulam. Pragnę zapewnić ich, że wszystko będzie dobrze. Właśnie to chcieliby usłyszeć. Formułuję zdanie w myślach, lecz nie jestem w stanie go wypowiedzieć.

Biorę ich za ręce i idziemy przed siebie. Sama nie wiem jeszcze dokąd, musimy jednak jak najszybciej oddalić się od domu cioci. To miejsce dla umarłych, a nie żywych.

– Zegnaj, kochana mamusiu. – Wystarczy łez jak na jeden dzień.

Chodzimy już tak kilka godzin, przez wzgórze, przez wysuszone, zimowe trawy, wzdłuż piaszczystego brzegu rzeki, której wody niegdyś były krystalicznie czyste. Nawet Abu wszystko jedno, gdzie jesteśmy i co robimy.

W końcu wracamy do domu, biorę Abu na ręce. Jest ciemno, tym razem jednak się nie boję. Zostać pożartą przez dziką bestię, byłoby prawdziwą ulgą. Nie boję się, że mogę nadepnąć na czarną mambę lub zostać pochłonięta przez przodków, gdyż weszłam na ich groby.

Chwiejemy się na nogach, wchodząc do domu, jakbyśmy byli pijani. Abu i Precious podchodzą do swoich materacy i opadają na nie ciężko. Nie ma żadnych słów na dobranoc, nikt nie życzy słodkich snów.

Nie mam siły, a jednak nie mogę zasnąć. Otwieram *Fridę* i zaczynam pisać.

Mamo, miałam sen,
a niebo w nim było błękitne jak woda.
Byłam spragniona, lecz było za wysoko,
by unieść głowę i pić.
Płaty zieleni na czerwonej ziemi
porozrzucane niczym diamenty,
lecz nie miałam rąk
i nie mogłam dotknąć tej pięknej trawy,
przytulić do piersi niczym małe pisklę.

Nic nie słyszałam,
wszystko było zniszczone.
Szukałam Cię, Mamo,
ale Ty zniknęłaś.
Budzę się i leżę na macie,
otulając się Twoim imieniem
niczym kocem, który daje ciepło.

Mówię sobie,
że Ty nie odeszłaś,
że tylko wzbijałaś się w niebo
jak błyszczący czarny ptak
i łamiesz dziobem gałązki,
które kaleczą i ranią,
by zbudować gniazdo dla Precious,
Abu i dla mnie.

A my czekamy z otwartymi buziami,
przekrzykując wysuszonymi ustami
ból, który aż dech nam zapiera.

Wróć po nas.
Zabierz tam wysoko,
gdzie jesteś Ty.

Zapadam w głęboki sen. Widzę pomieszczenie wypełnione kośćmi, butami, ubraniami i ludzkimi włosami. Zło czai się gdzieś obok, czuć tutaj śmierć i zniszczenie. Nie ma tu żywych, są tylko ludzkie szczątki. To bardzo opuszczone miejsce. Wydaje mi się, że jestem ostatnią osobą na ziemi.

Nasz dom rozdzierają jakieś wrzaski, ale skąd one pochodzą? Głosy przebijają ściany i stają się coraz donośniejsze. A teraz zawodzą i wykrzykują moje imię.

– Adaaannooo, Adaaannooo. – Czego one ode mnie chcą? Dlaczego nie odchodzą?

Skaczę na równe nogi, zupełnie rozbudzona. Z dworu dochodzi jakiś znajomy głos.

– Adanno, otwórz drzwi! – To wujek Malako.

Dlaczego ma taki podniesiony głos?

Otwieram ostrożnie przerdzewiałą zasuwę, blokującą drzwi. Gdyby tylko chciał, z łatwością mógłby ją połamać.

– Przepraszam, wujku, właśnie spałam. Coś się stało? – Zerkam przez uchylone lekko drzwi, żeby upewnić się, czy to na pewno on. – Wujku, dobrze się czujesz? Nie wyglądasz dobrze.

– Zejdź mi z drogi. Macie w tym domu rzeczy, które należą do mnie.

– Wujku, o czym ty mówisz? Tutaj wszystko jest nasze – odpowiadam śmiało, chociaż czuję niesamowity lęk.

Wszyscy już się obudzili. Abu przeciera oczy, przepędzając resztki snu. Jest głodny i zaraz wybuchnie płaczem. Widzę to po jego spojrzeniu.

Wujek popycha mnie z taką siłą, że omal się nie przewracam. Wchodzi do środka z białą płócienną torbą. Wygląda jak demon w ludzkim przebraniu.

– Wujku, to nasz dom, a nie twój!

– Zamknij się. Twoja matka, ta szmata, ukradła to, co należało do mnie. Teraz jest martwa, a ja odbieram swoją własność.

Wzbiera we mnie złość.

– Nie mów tak o mamie!

Abu i Precious wciskają się w kąt, tuląc się do siebie. Abu zaczyna płakać. Jesteśmy przerażeni.

– Nie chcemy słuchać takich podłych słów o naszej mamie. – Sama nie wiem, skąd we mnie taka śmiałość. – Proszę, zostaw nas...

– Nie mów mi, co mam robić, smarkulo. Jeszcze jedno słowo, a pożałujesz, że w ogóle się urodziłaś. Abu, Precious, idźcie pobawić się na dworze.

– Ale, my nie chcemy...

– Wynocha, i to już!

Chwyta ich za bluzki i wyprowadza za drzwi. Gniew eksploduje we mnie z całą mocą. Sama nawet nie wiem, kiedy moje pięści lądują na jego plecach i karku.

– Zabieraj te łapy, głupia smarkulo.

Otrzymuję cios pięścią prosto w twarz. Uderzenie jest tak mocne, że odbijam się od ściany z głuchym łomotem. Nic nie widzę. Jestem ranna. Krwawię i nie mogę się bronić.

– Te rzeczy są moje.

Kradnie wszystko z domu. Nie ma tego za wiele, poza skarbami należącymi do mamy – jej szczotką, srebrnym naszyjnikiem z czerwonym kamieniem oraz naszymi garnkami. Wrzuca to wszystko do białej, poplamionej torby.

– Po co te wszystkie obietnice? – Mam trudności z mówieniem. – Myślałam, że nam pomożecie?

– Pomóc wam? Nigdy nie lubiłem waszej zepsutej rodziny. Jesteście jak te plugawe szczury. Zupełnie do niczego.

W przerzuconej przez ramię torbie ma cały nasz dobytek. A ja jestem zupełnie bezradna.

– Jeśli piśniesz komuś o tym choćby słówko, zabiję cię tymi rękoma. Jasne?

Kiwam potulnie głową, wiedząc, że stać go na to. On jednak nie wychodzi. Stoi w drzwiach i patrzy na mnie, tak jakby chciał również mnie wrzucić do tej brudnej torby.

– Wiesz co, maleńka, jesteś całkiem niezła.

Rzuca torbę na ziemię i skrada się do mnie jak wilk. Jego gniew przeszedł teraz w coś znacznie gorszego, wręcz demonicznego.

– Pokaż mi swoje ramiona. Piękne i błyszczące jak u tych dziewczyn, które widziałem w mieście.

Zaciskam zęby.

– Niech wujek weźmie tę torbę i idzie stąd.

– Wezmę to, co mi się podoba.

Rzuca się na mnie szybko niczym spadający lotem nurkowym jastrząb i zdiera ze mnie bluzkę. Dotyka mojego ciała w miejscach, w których nie powinien. Ze strachu cała drzę. Boję się, że mnie zabije, jeśli krzyknę.

– Posłuchasz wujka i wszystko będzie dobrze.

Wołam świetlanego mężczyznę.

– Gdzie jesteś?

I nagle widzę Jego twarz. Tak czystą i dobrą, pełną miłości oraz światła. Pamiętam o darze od Niego. O zwoju, który włożył mi do ręki. Ale jak to działa? Jak tego użyć do ratowania siebie? Jakie magiczne zaklęcie mam wypowiedzieć, by ten koszmar się skończył?

Otwieram oczy, wujek Malako wciąga z powrotem spodnie. Już nie jest moim wujkiem. Nie patrzy na mnie, lecz ja nie spuszczam z niego oczu. Nie jest już człowiekiem. To demon. Moje ciało rozrywa ból, który z pewnością nigdy już nie odejdzie. Bierze torbę z podłogi, zakłada na ramię i ucieka jak spłoszony kot.

Leżę na podłodze, drżąc na całym ciele. Nie jestem nawet w stanie się poruszyć, pragnę jedynie śmierci.

Rozdział piętnasty

Pomarańczowe strumienie słonecznego światła wlewają się do pustego holu, gdy idę do restauracji. Minęło zaledwie kilka dni od tamtego niezwykłego wieczoru w kościele, a mam wrażenie jakby to były miesiące. Biorę kawę i wychodzę na dwór, żeby przywitać Gordona.

Nie przepadam za wywiadami, ale Gordon znowu zapewniał mnie, że jest to jedno z tych spotkań, którego nie mogę stracić.

– Właściwie to cóż innego mógłbym robić o szóstej nad ranem? – odparłem podczas wczorajszej wieczornej rozmowy.

– Stuarcie, Tagoze to człowiek, dla którego warto wstać choćby i o szóstej rano – nalegał Gordon.

Prawie nie zmrużyłem oka z powodu zaskakującej wiadomości, o której wspomniała Whitney. I chociaż robiłem wszystko, co mogłem, niestety telefon ponownie nie zadziałał.

Cała dolina spowita była mgłą. Chmury płynęły szybko ponad szczytami, jakby śpieszyły się na jakieś ważne spotkanie.

Gordon, jak zawsze punktualny, zajeżdża pod hotel swoim land cruiserem.

– Witam mojego amerykańskiego przyjaciela.

Wskakuję na siedzenie dla pasażera. Rzucam krótkie „dzień dobry”, okraszone grymasem niezadowolenia i ruszamy. Nigdy nie byłem rannym ptaszkiem. Gdyby nie mocna kawa, pewnie nie wyduśliłbym z siebie ani słowa.

Jedziemy znaną mi już utwardzoną drogą, przecinającą się następnie z piaszczystymi drózkami, przypominającymi raczej wyboje niż coś, po czym można jechać.

– Dobrze spałeś?

– No pewnie, jak niemowlę.

– Chyba wyczuwam tu jakiś sarkazm, przyjacielu. Wiem, że ten hotel nie dorównuje niezrównanym amerykańskim standardom, ale chyba nie jest aż tak źle.

– Nie, hotel jest w porządku. Właściwie to nawet jest fajny. – Nie za bardzo mam ochotę na tę rozmowę, ale słowa same przychodzą. – Po prostu mnóstwo spraw zaprzęta mi umysł, rozumiesz?

– Tak właśnie działa to miejsce.

– Tak. I jeszcze... usłyszałem zaskakującą nowinę ostatniego wieczoru.

– Nowinę?

– Moja żona... jest w ciąży.

– To fantastycznie. Gratulacje! – Wyciąga rękę i ściska moją dłoń, a samochód gwałtownie skręca. Wyprowadza go z powrotem na prostą, zupełnie tym nie speszony. – To wasze pierwsze?

– Tak. – Pierwsze. Raczej niezwykły dobór słów. W pewnym sensie nawet nieco złowieszczy. Jakby nieuniknione było, że pojawi się drugie, trzecie i kolejne.

– Naprawdę się cieszę, przyjacielu.

– Tylko że... upuściłem telefon, gdy mi to powiedziała, i niestety nie mogę go włączyć. Miałem nadzieję, że tylko się rozładował, ale to chyba coś poważniejszego. Z całą pewnością myśli sobie teraz, że zapadłem się pod ziemię po tym, jak to usłyszałem.

– Na pewno zrozumie.

– Nie byłbym taki pewien. Ostatnio... nie za bardzo nam się układało. – Nagle uświadamiam sobie coś, co przyprawia mnie o skurcz żołądka. – Mam nadzieję, że to moje dziecko.

– O rany, widzę, że to nie przelewki. Naprawdę myślisz, że mogłaby... może lepiej się już zamknę. To nie moja sprawa. – Nie potrafi jednak się zamknąć. W końcu to dziennikarz. – A który to już miesiąc?

– Nie mam pojęcia. Chciałem wysłać jej maila, ale internet nie działa. Zresztą mam wrażenie, że wolałaby nie kontynuować tej rozmowy w taki sposób.

– Myślisz, że mogłaby cię zdradzić?

– Na jej miejscu sam bym to zrobił. Ale... nie wiem. Raczej nie. – Zapada milczenie, nad ziemią ciągle wiszą ciężkie chmury. Na przedniej szybie pojawiają się krople. Czyżby to deszcz? Straciłem rachubę czasu, ale chyba mamy sobotę.

Whitney ma wierność zapisaną we krwi. Nie zdradziłaby mnie. Poza tym dałaby mi wtedy jeszcze jeden powód do rozstania się. Jedno wiem na pewno – ona wciąż wierzy, że odnajdziemy drogę do siebie.

Podjeżdżamy pod dom wyglądający zupełnie inaczej niż te, które widziałem. W Ameryce powiedziano by o nim, że to nora nad nory. Jednakże tutaj to jeden z ładniejszych domów. Jest zbudowany z betonowych bloczków, ma niewielki metraż, mniej więcej dwanaście na osiem stóp, a jego cienki dach przytrzymuje około dwudziestu pięciu dużych kamieni. Wygląda na to, że w Afryce zamiast gwoździ używa się kamieni. Przed domem stoi wysoki mężczyzna. Z daleka przypomina mi jednego z afrykańskich bogów.

– A oto i nasz bohater – wyjaśnia Gordon. Wychodzimy z samochodu. Z tylnego siedzenia zabieram swoją torbę i zarzucam ją na ramię.

Tagoze wychodzi nam na spotkanie. Ma na sobie zachodnie ubrania – brązowe spodnie i wyłożoną na wierzch białą koszulę w niebieskie i zielone prążki. Spod krótkich rękawów widać zarys imponujących bicepsów. Wygląda jak ciemnoskóry Schwarzenegger.

Nie chciałbym wejść mu w drogę. Widać w nim pewność siebie, ale nie próżną dumę. Zaczynam darzyć go sympatią, chociaż jeszcze go nie znam, co rzadko mi się zdarza. Whitney powiedziała kiedyś, że w każdym widzę potencjalnego drania, o ile ten ktoś nie udowodni, że jest inaczej.

Tagoze i Gordon wymieniają między sobą tradycyjne suazyjskie „dzień dobry”.

– *Sawubona, babay.*

– *Yeybo, Sawubona.*

– Tagoze, poznaj Stuarta.

Tagoze podaje mi rękę, ma naprawdę mocny uścisk.

– Miło cię poznać, Stuarcie. Cieszę się z naszego spotkania.

– Dziękuję, Tagoze. Cała przyjemność po mojej stronie.

– Zapraszam do środka. Zaparzyłem herbatę.

– Ja też coś mam – mówi Gordon i wyjmuje torbę z bułeczkami, jest tam też trochę sera i pokrojone owoce. Z tego, co obserwuję, jest prawdziwym mistrzem, jeśli chodzi o przeprowadzanie wywiadów i nawiązywanie przyjaźni tutaj, w Suazi. Zawsze przynosi z sobą coś właściwego. W tym kraju łatwo byłoby przynieść za dużo, a granica pomiędzy tym, co odpowiednie, a tym, co uznano by za obraźliwe, jest naprawdę cienka.

– Jeśli chcesz, możesz zostawić torbę z aparatem w samochodzie. Dzisiaj po południu Tagoze dołączy do nas w punkcie żywnościowym. Pomyślałem, że to będzie najlepsze miejsce do robienia zdjęć.

– Brzmi ciekawie. – Nie zdejmuję jednak torby. Gordon wzrusza ramionami i wchodzimy do domu Tagoze.

– Proszę tylko, żeby mnie fotografować z odpowiedniej strony śmieje się Tagoze i odwraca twarz, by zaprezentować swoje blizny. Nad kością policzkową ma trzy szramy, wyglądają jak pamiątka po walce z rozwścieczonym kocurem.

– Tak, z całą pewnością ta strona jest bardzo reprezentacyjna. Czyżbyś stoczył walkę z lwem?

– Mało brakowało, a cała moja twarz tak właśnie by wyglądała. Ale jesteś całkiem blisko.

– Stu – wtrąca Gordon. – Tagoze ma te blizny po...

Tagoze unosi swoją potężną dłoń: – Zaczekajmy z tą historią, dopóki się nie rozkręcę...

– Racja, właśnie dlatego to przyniosłem. – Gordon wyjmując z kieszeni dyktafon i kładzie na stole, a potem sięga po swój zniszczony notes. W przeciwieństwie do techniki, długopis to rzecz niezawodna – właśnie tego się nauczyłem, przebywając z dziennikarzami.

Dom Tagoze jest skąpo umeblowany. Przy ścianie stoi poprzecierana dwuosobowa kanapa, tuż przy niej dwa drewniane krzesła, na prawo mały stolik. Jest jeszcze drugi stół zrobiony z kartonowych pudeł i nakryty obrusem. Nad kanapą wiszą dwa obrazy, portret królowej matki oraz bardzo młodego króla z trzema czerwonymi piórami, wystającymi z jego małej korony. Po domu maszeruje kurczak, przechodząc swobodnie do kuchennego aneksu, jakby tutaj właśnie było jego miejsce.

– Proszę, siadajcie. Napijcie się herbaty?

– Oczywiście, bardzo chętnie. – Gordon rzuca mi szybkie spojrzenie i trąca łokciem.

Tagoze wychodzi do przyległego pomieszczenia.

– Stuarcie, to twoja pierwsza wizyta w Afryce? – pyta.

– Nie, podróżowałem już po Afryce, ale nigdy nie zahaczyłem o Suazi. To naprawdę piękny kraj.

– Kiedyś było tu naprawdę pięknie, nie tylko dla oka, ale i dla duszy. Teraz niestety wszystko tu jest skażone.

– Właśnie o tym między innymi chciałem porozmawiać – wtrąca Gordon. – Co się zmieniło?

– Dzisiaj trudno tu żyć i pozostać człowiekiem.

Tagoze pojawia się z trzema parującymi filiżankami herbaty oraz cukrem i mlekiem.

– Dziękujemy. – Gordon włącza dyktafon i bierze do ręki długopis.

– Człowiek w Afryce został zredukowany do zwierzęcia. Bieda zredukowała go do kogoś, kto musi przetrwać za wszelką cenę. Mężczyzna przestał być żywicielem rodziny. Nasi mężczyźni nie są już w stanie zabezpieczyć bytu rodzinom. Kiedyś to było całkiem proste, a dzisiaj jest praktycznie niemożliwe. Mężczyźni powinni zarabiać pieniądze, niestety nie ma dla nich pracy. Powinni zagwarantować rodzinie jedzenie, lecz nie mają pracy i nie mogą nic kupić.

Tagoze odsuwa od siebie talerz.

– Zbyt wielu naszych mężczyzn obrało złą drogę, drogę przemocy. Tak właśnie się dzieje, gdy zaczyna brakować nadziei. Nikomu już na niczym nie zależy. Nieważne kogo się wykorzysta lub kto umrze. To dotyczy także młodych, bezbronnych i niewinnych ludzi. To okrutna prawda. I nie wygląda na to, żeby coś miało się wkrótce zmienić. Spójrzcie na naszych młodych mężczyzn. Wszystkie wartości, które pielęgnowaliśmy przez tyle wieków, zostały zniszczone. Czasy, gdy syn pracował ramieniem z ojcem i uczył się od niego tradycji, powoli odchodzą w niepamięć. I tak oto młodzi mężczyźni nie wiedzą, jak odnosić się do kobiet, i nie mają wzorca zdrowej rodziny. Zamiast tego żyją z dnia na dzień i zajmują się chuligaństwem. Musimy to zmienić. Ale jak? Jak dać nadzieję tym, którzy ją stracili?

Tagoze usiadł wygodniej i skrzyżował nogi. Spogląda przed siebie. Zatopiony w myślach bardziej przypomina mędrca niż muskularnego mężczyznę, który może pokonać lwa.

– Chciałbym opowiedzieć wam historię o stadzie słoni – kontynuuje. – Podczas kłeski suszy umarło mnóstwo zwierząt ze stada, w tym także samców. Doświadczone samce były przewodnikami stada – nauczycielami dla młodego pokolenia. Po pewnym czasie młode samce, których nikt nie uczył jak żyć, zaczęły wariować. Znęcały się nad resztą stada, atakowały samice oraz ich młode. Młode osobniki zachowywały się jak wojownicy, którzy gdy nie ma wojny, postanawiają zabijać dla zasady. Pewnego dnia te dzikie słonie zaatakowały wioskę. Od ich kłów lub pod ich nogami zginęło wtedy wielu ludzi. Na pewno

wiecie, że normalnie słonie tak się nie zachowują. Mają ogromną siłę, lecz żyją w harmonii z ludźmi. Tamten atak był potwornym doświadczeniem.

– Z pewnością nie muszę tłumaczyć takim bystrym facetem, jak bardzo nasi młoda mężczyźni przypominają te słonie. Nastął mroczny czas. Śmierć i choroby zniszczyły wszystko, co budowaliśmy od tyłu pokoleń. Co więc ma powstrzymać młodych samców – czytaj młodych mężczyzn, którym nie wpojono żadnych wartości – przed gwałtami i grabieżami dokonywanymi na naszych rodzinach? Nic. Nasze nadzieje na lepsze jutro wiszą na włosku. Moje życie także nie wyglądało inaczej, pragnąłem być mężczyzną. Nienawidziłem tego poczucia bezsilności i braku nadziei. Zanim zmarła moja żona, często słyszałem od niej takie słowa: „Tagoze, jesteś dziełem Boga. Możesz jedynie powiedzieć «tak» Jego planom względem ciebie, nawet jeśli nie wiesz, jak wszystko się potoczy. Musisz ufać”.

– Dlaczego twoja żona umarła? – pytam i od razu tego żałuję. Tagoze odwraca się do mnie i patrzy mi prosto w oczy z taką intensywnością, że aż czuję się nieswojo.

– Nie umarła z powodu zarazy. Straciłem ją i dzieci w potwornym pożarze. Wszyscy nazywają ten pożar wypadkiem, ale to była moja wina.

– Przykro mi.

– Piłem całą noc przed tą tragedią. I powiedziałem żonie mnóstwo strasznych rzeczy. Doszło do szarpaniny i przyznaję ze wstydem, że ją uderzyłem. Więcej niż jeden raz. Tamtej nocy, gdy wydarzył się pożar, piłem w miejscowym barze. Widziałem płomienie, gdy zataczając się, wracałem do domu. Ludzie krzyczeli: „Pali się, pali się!”. Dotarłem tam akurat w chwili, gdy moja żona wybiegła z domu cała w płomieniach.

Odwraca na moment głowę, a kiedy znowu na mnie spogląda, głębia, którą wcześniej widziałem w jego oczach, zostaje zastąpiona przez coś innego. Jakąś niesamowitą determinację i wolę walki.

– Na początku chciałem umrzeć. Myślałem o samobójstwie. Na szczęście pastor Walter często mnie odwiedzał, modlił się za mnie i ze mną. Jego przyjaźń na zawsze odmieniła moje życie. Oddałem swoje życie Bogu, a Pan uczynił mnie nowym człowiekiem.

Wstaje i zabiera puste filiżanki.

– Straciłem najbliższych w pożarze. A teraz płonie we mnie ogień, przynaglający mnie do pomocy moim rodakom. I chociaż jestem tylko zwykłym człowiekiem, nie przestanę próbować.

Gordon wstaje, podchodzi do Tagoze i przytula go. I nie jest to wcale żenujący obraz, kiedy to druga osoba chce się jak najszybciej uwolnić z uścisku i poklepać po plecach. To szczerze współczucie i jednocześnie zrozumienie. Ścisza mnie w gardle, zatrzymuję ten obraz w swojej pamięci.

Gordon odbiera filiżanki od Tagoze i znosi je do drugiego pomieszczenia. Tagoze siada z powrotem przy małym stoliku.

– Gordon powiedział mi, że spotkałeś moją małą przyjaciółkę Adannę – mówi, a jego ogorzałą twarz rozjaśnia uśmiech.

– Tak... któregoś dnia. Miała ranę na przedramieniu...

Tagoze dotyka blizny na swojej twarzy.

– Pamiętam, jak pracowała na polu sąsiadów. Przez siedem dni przygotowywała pole pod zasiew kukurydzy, potem ją siała i podlewała starannie każdy maleńki kopczyk, pod którym znajdowało się ziarno. Zarobiła wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupić coś do jedzenia, więc wybrała się na zakupy. Tego właśnie dnia wracałem do domu po długim, męczącym dniu pracy w sadzie. I zobaczyłem podskakującą radośnie Adannę, z takim uśmiechem, jakby szła właśnie na uroczyste przyjęcie urodzinowe. Rzeczywiście miała powody do świętowania.

– Nie zrobiła jeszcze zakupów. Kiedy podarowałem jej jabłko, na jej twarzy rozlał się uśmiech tak szeroki jak Maputo, nasza największa rzeka. Oczarowała mnie jej radość.

Patrzyłem, jak wesoło podskakuje, idąc ścieżką. Nagle się zatrzymała. Tuż przed nią, pod drzewem leżał mały chłopiec, Tembe. *Wszyscy* tu go znali. Rodzice Tembe zmarli na AIDS, a on umierał z głodu. Wielu z nas karmiło go okruchami ze stołu, ale to było za mało.

– I Adanna, niczym troskliwy i kochający lekarz, przyklękła przy nim i położyła dłoń na jego czole. Nie ruszał się. Zerknęła na jabłko w swojej prawej ręce, a potem znowu na Tembe. Wiadomo było, co zaraz zrobi. I chociaż ślinka jej ciekła na myśl o jabłku, podniosła owoc, tak żeby zobaczył go Tembe. A on bardzo powoli, jakby budził się z głębokiego snu, usiadł i przyjął od niej jabłko z ogromną wdzięcznością. Właśnie takie jest serce tej dziewczynki.

Ponownie dotknął bliznę na twarzy.

– Pytałeś o te blizny – kontynuował, a jego uśmiech przygasł. – Kiedy trzeba stanąć w obronie dziecka, zrobisz wszystko, co możesz. Niestety, to nie wystarczy.

Gordon wrócił z filiżankami świeżo zaparzonej herbaty.

– Kiedy przechodziłem obok baru, usłyszałem krzyk dobiegający z zaplecza. Nawet nie musiałem się zastanawiać – wiedziałem, jacy mężczyźni tam przesiadują. Żli ludzie, sam nie byłem kiedyś inny. Gdy tylko zobaczyłem, co się dzieje, aż się we mnie zagotowało. Ściągnąłem tego demona z Adanny i biłem go tak długo, aż umarł.

Zaniemówiłem, otwierając szeroko oczy, a moje serceomal nie pękło. Biedna Adanna. Przełknąłem ślinę.

– To są świeże blizny, ale nie ma już tego demona, który mi je zrobił. Nie przestanę walczyć ze złem.

Biorę głęboki oddech.

– Adanna miała szczęście, że akurat tamtędy przechodziłeś. Nawet nie próbuję wyobrazić sobie, co by się stało, gdybyś nie...

– Nie wierzę w coś takiego jak szczęście.

– Jest jeszcze coś, jeśli chodzi o Adannę – Gordon podchodzi do mnie i kładzie mi dłoń na ramieniu. – Wczoraj zmarła jej mama.

Czuję przypływ gniewu i bólu zarazem, mieszających się w jeden dziwny stan. Mam ochotę uderzyć kogoś lub coś. I mam ochotę ukryć się w jakimś kącie.

– Chciałbym powiedzieć, że takie sytuacje nie mają tu miejsca – mówi Tagoze. – Niestety zdarza się to zbyt często. Mężczyźni stali się podobni do zwierząt, a właściwie uwłaczam zwierzętom, stosując takie porównanie. Jesteśmy pogrążeni w potwornych ciemnościach i bardzo potrzebujemy światła. Robię więc swoje. Wszystko, co mogę. – Tagoze zauważa, że przyglądam się jego bliźnie.

– Wszystko, co muszę.

– Co się stanie z Adanną? – pytam.

– Pomogę Adannie i jej rodzeństwu na tyle, na ile mogę. Pastor Walter na pewno też się włączy. Rany na jej ciele w końcu się zagoją, ale nie wiem, co będzie z ranami na duszy.

– Jest silna, Tagoze, widziałem to w jej oczach – zapewnia Gordon.

– To tylko dziecko, ale nasz Bóg jest wielki – ciągnie dalej Tagoze. – Muszę ufać, że zatroszczy się o nią, gdy my nie będziemy w stanie.

Gordon wyłącza dyktafon. Nasze poranne spotkanie dobiega końca. Gdy wracamy do samochodu, Tagoze zatrzymuje nas, by uzupełnić jeszcze swoją opowieść.

– Historia o słońiach ma ciekawe zakończenie – zaczyna. Zbiera się grupa naukowców i dochodzi do wniosku, że można pomóc słońiom tylko w jeden sposób. Wybierają trzy starsze samce ze stada i umieszczają je poza nim. I dzieje się rzecz niezwykła. Te doświadczony samce trzymają się potem razem, obserwując, jak młode słońie dokonują spustoszeń. Gdy wystarczająco się już napatrzyły, wyzywają tych samców do walki. Starsze samce powalają na ziemię młodsze w sposób niezwykle brutalny i stanowczy. Nie pozwalają nawet im się poruszyć. Trwa to aż szesnaście godzin. Po tym czasie puszczają buntowników. Młode samce

kulą się wręcz ze strachu na widok starszych i silniejszych słoń. I o to właśnie chodziło. Potem już nigdy nie odważają się na szalone i niekontrolowane zachowanie. Do stada powraca spokój i porządek.

– I o to właśnie modłę się dla naszego narodu. Żeby starsi się zjednoczyli i pokazali, co jest dobre i moralne, co jest naszą afrykańską tradycją. Ale gdzie są ci mężczyźni? W każdym razie ja będę jednym z nich.

Rozdział szesnasty

Zerkam w boczne lusterko i widzę masywną postać Tagoze, stopniowo zamieniającą się w mały punkcik, w miarę jak oddalamy się główną drogą. W Suazi są tylko dwie główne drogi. Pierwsza prowadzi z północy na południe, a druga ze wschodu na zachód. Są zupełnie nowe i gładkie, niepodobne do żadnej z amerykańskich autostrad. Niestety, gdy tylko z nich się zjedzie, podróż staje się zupełnie innym doświadczeniem.

Brzdęk metalu porzrzanego po asfaltowej drodze, gdy skręcamy z głównej trasy, od razu przypomina mi, że to nie Ameryka. W jednej sekundzie mkniemy sto kilometrów na godzinę, a zaraz potem wleczesz się pomiędzy skałami i kamieniami, niczym pojazd kołowy używany na Księżycu, unikając dziur nie mniejszych niż samochód. Rozumiem już, dlaczego tutaj nie podróżuje się nocą.

Mieszkańcy Suazi natychmiast zwracają uwagę na białego człowieka. Cokolwiek robią, przerywają pracę i uśmiechają się szeroko, jakby pozowali do zdjęcia, a potem machają entuzjastycznie w naszym kierunku. Być może myślą, że przywozimy jedzenie, leki i ubrania. Wiedzą, że jesteśmy tu z własnej woli. Moglibyśmy zajmować się tysiącami innych spraw w setkach innych miejsc. Jednakże jesteśmy tutaj, stając się bladym cieniem nadziei.

Na wzgórzach porzrzanym są pola kukurydzy, ale przypominają one jedynie o tym, jak bardzo zrozpaczeni są tutejsi ludzie.

Jest bardzo sucho, deszcz to prawdziwa rzadkość. Co prawda kukurydza weszła, ale ziarna są puste. Właściciele porzucają jałowe uprawy, zostawiając je na pastwę chorób i szkodników.

Zerkam na milczącego Gordona, co jest zupełnie nie w jego stylu.

– Dokąd jedziemy?

– Do kolejnego punktu żywnościowego.

– A może pojedziemy jednak do punktu pastora Waltera? Chciałbym zrobić parę zdjęć i...

– I?

– 1 sprawdzić, co u Adanny?

Gordon odwraca się i marszczy brwi.

– Ostrożnie, Stuarcie. Jeszcze trochę, a złamiesz jedną z afrykańskich złotych zasad.

– Jaką na przykład? Zasadę miłości bliźniego?

– Nie, mam na myśli zbyt skupienie się na jednym dziecku zamiast na ogólnej sytuacji – kryzysie w tym kraju. Nie daj się wciągnąć. Nie zapominaj, że jesteś dziennikarzem.

– Dziennikarzem. No tak, racja.

Ale czy to wszystko, kim jestem?

– Nie wiem, Gordonie, jak możesz tutaj żyć, wśród takiej nędzy i rozpacz, i nie sfiksować. Gdziekolwiek się pojawiamy, słyszę kolejną smutną historię. Bieda jest jak bezpańskie zwierzę, bezdomny pies, którego raz nakarmiłeś, a on potem nie odstępował ci ani na krok.

– Hej! – Gordon chwyta za swój notes i rzuca nim we mnie. Długopis spada na podłogę i zatrzymuje się przy moim bucie. – Zapisz to, co przed chwilą powiedziałeś. O biedzie i tym głodnym psie.

Próbuję pisać, podczas gdy samochód podskakuje i kołysze się na boki.

– Przez jakiś czas – ciągnie dalej Gordon – bardzo się głowiłem i próbowałem znaleźć wyjście z tej sytuacji. Nie chcę przez to powiedzieć, że pomaganie jednemu wybranemu dziecku nie ma sensu. Oczywiście, że to ważne. Niezwykle ważne. Chodzi jednak o to, że

musisz mieć przed oczami dwa obrazy rzeczywistości – większy wycinek i mniejszy. Jeśli straci się z oczu ten większy, można stracić także okazję do pomocy konkretnym osobom.

Zaczynam o tym myśleć i od razu słyszę słowa: „Nakarm Moje *owce*”.

– Co takiego jest w tym miejscu, że nagle cały twój świat zostaje wywrócony do góry nogami i masz w głowie wielki zamęt?

– Iw sercu.

– Tak, także w sercu.

– Stu, tutaj Bóg sprowadza cię na właściwy poziom i pokazuje, co naprawdę się liczy, kim jest człowiek.

Myślę o tutejszych ludziach. Co naprawdę się liczy w ich przypadku?

Na wzgórzach wzdłuż drogi porzucane są zagrody niczym statki na morzu. Tutejszy krajobraz jest tak daleki od amerykańskich peryferii, nie mówiąc już o zatłoczonym Nowym Jorku. Gdyby domy były większe, można by próbować przyrównać ten pejzaż do rancz w Montanie. Ale to są domki z patyków, kamieni i gliny. I nie ma tu dżipów zaparkowanych na końcu wijącej się drogi dojazdowej.

– Gordonie, zatrzymaj się przy najbliższym sklepie, dobrze?

– To nie takie proste, żeby znaleźć tu jakiś sklep.

– To ile musimy jeszcze jechać?

– Przynajmniej z godzinę. Zapomniałeś o żelu do włosów lub czymś w tym stylu?

– Bardzo zabawne. Nie, mam na myśli coś, co można by rozdać dzieciom. Tyle przynajmniej mogę zrobić.

– To bardzo szlachetne, Stuarcie, ale musisz skupić się na robocie. Potrzebuję pieniędzy za ten projekt, podobnie jak i ty.

Zakołysało gwałtownie samochodem. Kilkaset metrów dalej Gordon skręca w drogę, o której nie miałem zielonego pojęcia.

– Z drugiej jednak strony, być może tak właśnie należy zrobić.

Sklep w niczym nie przypomina lokalnych marketów. Jest maleńki, z czterema lub pięcioma wąskimi przejściami. Od razu przy wejściu uderza mnie ostra woń świeżego mięsa. Nad wołowiną, jagnięciną i kurczakami unoszą się roje much, co chwilę nań siadając.

Gordon idzie przede mną.

– Robią tutaj zakupy ludzie pracujący przy trzcinie cukrowej. Przeważnie biali z kierownictwa. Tylko oni są tu przy kasie. Czarni robotnicy za niewolnicze pensje, które otrzymują za dwunastogodzinny dzień pracy przy zbiorze trzciny, na niewiele mogą sobie pozwolić.

Przeglądając półki, uświadamiam sobie, że większość z nazw produktów nic mi nie mówi: sproszkowane sosy pieczeniowe, curry, olej z piri-piri, biltong – jakiś rodzaj mięsa, mąka kukurydziana i duże torby fasoli oraz ryżu.

Opakowania przypominają te amerykańskie... sprzed dziesięciu lat. Wszystkie produkty stoją tu już dobre kilka lat. Biorę jeden z nich, żeby sprawdzić datę ważności. No tak, trzy lata po terminie.

– Gordonie, co to jest?

– Trochę jak chiński, co?

Czytam na głos: – Biltong, rzeczywiście przypomina trochę chiński. Co to?

– To paski suszonego mięsa. Coś w stylu waszej przekąski z suszonej wołowiny.

– Suszona wołowina zachowuje trwałość przez dobrych parę lat. Chyba to kupię.

– Pamiętam, jak wszedłem do podobnego sklepu po raz pierwszy. Moja córka zappełniła koszyk produktami z półek. Byłem tak zszokowany całą tą sytuacją, że zupełnie się temu nie sprzeciwiałem.

Wyobraź sobie, ile wydaliśmy tamtego dnia! – I chociaż się zaśmiał, zauważyłem cień smutku na jego twarzy. Jak widzisz, jestem zawodowcem. Pozwól, że ci pomogę.

Nie chybiając ani razu, Gordon zaczął wrzucać do koszyka przeróżne dziwne produkty. Rozpoznałem tylko te podstawowe – kukurydzę, ryż i herbatę – jeśli chodzi o pozostałe, nie miałem pojęcia, czym są.

Cztery osoby z personelu, ściśnięte w kąciku przy kasie, przyglądały się nam z rozbawieniem. Śmiali się i pokazywali na nas palcami, zakrywając z zakłopotaniem usta. Gdyby coś takiego miało miejsce w moim lokalnym markecie, z całą pewnością złożyłbym skargę do kierownictwa.

– Dlaczego oni tak się na nas gapią?

– No cóż, dla ciebie to zwykłe zakupy, ale tutaj nikt takich nie robi.

– Bo nie mają pieniędzy?

Obok nas przechodzi para białych ludzi, ze zdziwieniem zerkają na nasz wózek. Sami mają w rękach ze trzy produkty i wygląda na to, że właśnie skończyli zakupy.

– Po części tak, ale mamy jeszcze tutejszą kulturę. W Afryce żyje się z dnia na dzień. Nikt nie kupiłby aż tyle, chyba że na jakąś dużą imprezę.

– Tak, to ma sens. Trudno jednak wyobrazić sobie, że tutaj jedzenie stanowi taki luksus.

– T.J.A., kolego.

– Słucham?

– T.J.A. – To jest Afryka.

– Jasne.

Wykładamy produkty przy kasie. Tuż obok leży paczka mokrych chusteczek i apteczka pierwszej pomocy, biorę jedno i drugie. Ściśnięty w kącie personel uśmiecha się od ucha do ucha, kiwają głowami z zadowoleniem. Jedna z osób podchodzi do nas, pozostałe trzy przyglądają się nam z zainteresowaniem, przypominając radosne szczygły.

– Okay, no i co takiego się stało? Mam nadzieję, że wystarczy nam kasy. Wygląda na to, że zapłacimy fortunę.

– Siedemset dziesięć randów – oświadcza kasjerka łamaną angielszczyzną.

– Czyli ile? – zwracam się do Gordona.

– Chwila, sto jeden dolarów.

– Tylko tyle? Za taką ilość! To tyle, co za przyzwoitą kolację z butelką wina.

– Dla ciebie i milionów ludzi z Zachodu.

– No dobra, udało ci się, wbiłeś mi nóż w serce.

Chwilę potem jesteśmy już przy samochodzie i pakujemy zakupy do bagażnika. Nieczęsto zdarza mi się dźwigać pięćdziesięciokilogramowy worek z żywnością, z całą pewnością muszę jednak przyznać, że kilka lat temu byłoby to łatwiejsze. Wtedy byłem jeszcze w formie.

– O rany! – Kładę dłoń na krzyżu. Trochę się nadwyrężyłem.

– Wszystko w porządku, staruszkule?

– Staruszkule? Jesteś dwa razy starszy ode mnie.

– Nikt by tak nie powiedział, widząc, jak to taszczyłeś.

Spod naszych kół tryska fontanna piachu, jeszcze jeden zakręt i jesteśmy w punkcie żywnościowym – u pastora Waltera. Moje serce zaczyna bić szybciej, czuję, że poca mi się dłonie.

Od wczoraj nic się tu nie zmieniło. Pod drzewem siedzą te same dzieci. Te same wdowy, skulone jedna obok drugiej, odpoczywają przy stosie zbutwiałego drewna, zastanawiając się, kiedy będą mogły ugotować następny posiłek. W powietrzu, niczym niechciany gość, unosi się duch rozpacz.

Nasz przyjazd wszystko zmienia. Ludzie zaczynają podskakiwać, jakby ktoś potraktował ich właśnie dawką elektrowstrząsów. Zbliżają się do nas, jedni biegną, drudzy idą, utykając. Na widok wystającej z samochodu torby z jedzeniem cała społeczność wraca do życia.

Kobiety klaszczą radośnie, biegną i wznoszą ręce ku niebu, wołając: – Chwała Panu, chwała Panu! W ułamku sekundy, jak pociski kierowane za pomocą termolokacji, dopadają nas dzieci i krzyczą: – Mi, proszę pana. Mi, proszę pana! Tryskająca z ich serc wdzięczność jest niczym rześzysta deszcz w samym środku potwornej suszy. A my przywieźliśmy tak niewiele.

Wokół panuje zamieszanie jak w ulu, ktoś układa drwa i rozpala ogień. Czekali tyle dni, nie zamierzają więc zmarnować ani chwili. Na każdej twarzy maluje się piękno i radość na myśl o dobrym posiłku. Nie widzę jednak twarzy, którą chciałem zobaczyć. Nie ma tu Adanny.

– Gordonie, mógłbyś poprosić kogoś, żeby zaprowadził mnie do domu Adanny? Nigdzie jej nie widzę.

– Jasne. Eshe, biegnij ze Stuartem i znajdźcie Adannę.

Uroczą nastolatka z krótkimi włosami i promienną twarzą spogląda w naszym kierunku. Ma na sobie podkoszulek z napisem „Childrens HopeChest¹”.

– Oczywiście, Gordonie. Panie Daniels, jest pan gotowy?

Skąd ona wie, kim jestem? – Tylko zabiorę z samochodu to, co dla niej kupiliśmy. – Chwytam to, co mogę, i chociaż nie jest tego za wiele, to mam nadzieję, że wystarczy dla Adanny i jej rodzeństwa na cały tydzień.

– Eshe, muszę uważać na węże? – Nie znoszę węży.

– Nie, teraz mamy zimę. Ale gdyby to było lato, mielibyśmy wielki problem!

– Wielki problem?

– Tak. Naprawdę boi się pan węży?

– Nawet nie masz pojęcia jak bardzo.

– W zeszłym roku prawie trzymetrowa czarna mamba zabiła tu człowieka.

– Gdzie?

– Tam, zaraz przy chacie. Wygląda pan na zdziwionego, a nie powinien pan być. Przecież one były tu pierwsze.

Uśmiecha się, najwyraźniej zadowolona z tego, że wprawiła mnie w zakłopotanie. Ale to słodki uśmiech. Pewnie stroi sobie ze mnie żarty.

Kiedy idziemy, dostrzegam szczegóły, na które wcześniej nie zwracałem uwagi. Wszędzie pełno tu śmieci – począwszy od puszek, a skończywszy na porozrzucanych zwierzęcych kościach. Kaktusy rosną jak szalone, jakby dostawały jakieś sterydy, obok czegoś, co chyba nazywają tu „diabelskim krzakiem”. To krzak znacznie większy od innych chwastów, o budzącym grozę wyglądzie. Z jego gałęzi zwisają setki ostrych kolców, jakby czekały na nieuważnego wędrowca, by go oplątać... żeby potem wykrwawił się na śmierć.

Gordon powiedział mi, że nazywają tę okolicę „Doliną Tysiąca Wzgórz”. Rozumiem już dlaczego. Gdy wchodzimy na szczyt wzgórza, przed nami wyłaniają się setki innych, gdziekolwiek nie spojrzę.

– Macie tu ciekawe krajobrazy, Eshe.

– Tak pan myśli? Dlaczego?

– Z jednej strony jest tu tyle piękna, a z drugiej...

– Brzydka rzeczywistość.

– No, może nie brzydka, tylko zupełnie przeciwstawna.

– Co to znaczy?

– Jak piękno i popiół lub światło i ciemność.

Wkrótce docieramy do Adanny. Rozpoznaję dwa konary pełniące straż tuż przy wejściu.

Pukam w wyłamane drzwi, oparte o ścianę chaty. Cisza.

– Jest tu ktoś? – pyta Eshe. – Adanno?

Przesuwa drzwi i wchodzi.

¹ Children’s HopeChest – organizacja założona w 1994 roku, niosąca pomoc osieroconym dzieciom z najbiedniejszych zakątków świata [przyp. tłum.].

W środku jest ciemno. Natychmiast uderza mnie zapach spalonego drewna. Zauważam, że nie ma tu żadnego otworu wentylacyjnego. Sufit jest aż czarny od sadzy. Na środku izby tli się popiół.

– Adanno?

– Adanno, jesteś tu?

Słysząc jakiś szmer. Moje oczy szybko przyzwyczajają się do ciemności i dostrzegam zwinięte w kłębek dziecko.

– Adanno? – Precious i Abu siedzą po przeciwnej stronie, wtuleni w siebie. Są w opłakanym stanie. Co tu się stało?

Nie zastanawiając się już ani chwili, biorę ją na ręce.

– Co ci jest? – Zerkam na jej nogi.–Ty krwawisz. Eshe, pomóż mi!

Moja obecność krępuje Adannę. W jej oczach maluje się przerażenie. Rozglądam się szybko, szukając śladów walki. Widzę zbity kubek i kilka rzeczy, których nie rozpoznaję, porzucanych po podłodze. I wtedy uświadamiam sobie, że... tu prawie niczego nie ma. Czy to możliwe, żeby niczego nie posiadali?

Eshe stoi obok mnie i gładzi Adannę po włosach, szepcząc jej coś po suazyjsku.

– Zapytaj, co się stało.

– Już to zrobiłam, ale ona nie powie. Jedno jest pewne.

– Co takiego?

– Ten, kto jej to zrobił, jest bardzo złym człowiekiem.

Rozdział siedemnasty

Została dotkliwie pobita. Drży na całym ciele, jakby wyciągnięto ją właśnie z zamrożonego jeziora. Na jej kościstych ramionach i na nogach widnieją sińce. Nad lewym okiem ma sporego guza, jej popękane usta krwawią. Wszystko aż się we mnie gotuje na wspomnienie tego, o czym rano mówił Tagoze.

Adanna milczy. Patrząc na jej ciało i porwane ubrania, domyślam się, jaka scena miała tu miejsce. Moje myśli krążą wokół czegoś, czego nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić. Nie przestaję kręcić głową, patrząc na to dziecko oraz jej brata i siostrę skulonych w kącie. Gdzie w tym wszystkim jest Bóg?

– Eshe, co robicie w takich sytuacjach? Wzywacie policję? Właściwie to nie musiałem pytać i tak znam odpowiedź.

– Policja tym się nie interesuje.

Brat Adanny zaczyna płakać, podnoszę go i wychodzimy na dwór. Jej siostra idzie za nami. Mówi coś po suazyjsku. Nie rozumiem jej, słyszę jednak imię Adanny.

Abu kładzie mi głowę na ramieniu, jestem tym zaskoczony. Klepię go po plecach i siadamy przed ich domem. Przypuszczam, że siostra Adanny ma nie więcej niż cztery lata, siada obok mnie. Ma na sobie brudną różową spódniczkę i czerwoną podkoszulkę. Wygląda zagniecenia na spódniczce, bez wątplenia podpatrzyła ten gest u mamy. Widzę brud pod jej małymi paznokciami. Wciąż jednak jest śliczna, zupełnie jak jej siostra.

– Jak masz na imię? – pytam. Patrzy na mnie w milczeniu, więc wskazuję na siebie i mówię. – Stuart. – A potem pokazuję za siebie, na dom, gdzie znajduje się jej siostra. – Adanna. – I znowu powtarzam pytanie.

Na jej twarzy rozlewa się szeroki uśmiech. Wskazuje na mnie, mówiąc: – Duard. – Potem pokazuje na drzwi. – Adanna. – Po czym dumnie wskazuje na siebie. – Precious.

– Co za piękne imię. – Najwyraźniej zrozumiała i siada nieco wyżej. Potem pokazuje na swojego brata i mówi: – Abu. – Sam nie wiem, czy to jego imię, czy może słowo „dziecko”. Chciałbym ich stąd zabrać.

Zerkam na piaszczystą ścieżkę prowadzącą do ich domu, oddalonego od innych domostw i bez żadnych zabezpieczeń. Tutaj nie ma żadnego systemu alarmowego, mało tego, nawet nie można dobrze zamknąć i zaryglować drzwi. Wyobrażam sobie, że ten bandzior musiał zagrozić Adannie, że jeśli piśnie choć słowo, to następnym razem jeszcze bardziej ją skrzywdzi. Tutaj nie ma sprawiedliwości. Jest tylko strach. Tak, stąd tyle tu zła. Precious, cicha jak myszka, przytula się do mnie. Słyszę świergot ptaków i spokojny oddech Abu. Dobija mnie świadomość, że tak naprawdę nie jestem w stanie im pomóc.

Po kilku minutach – chociaż tak naprawdę czas przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie w takich okolicznościach – Abu zasypia. Wstaję ostrożnie i wracam do środka. Precious idzie za mną i pokazuje na materac, kładę go tam. Mam wrażenie, że za chwilę pęknie mi serce.

Eshe siedzi obok Adanny i głaszcze ją po plecach. Wie, jak zachować się w takiej sytuacji. Przykucam obok niej. Precious nie opuszcza mnie ani na krok, chodzi za mną jak cień.

– Adanno, tak bardzo mi przykro. Zrobię wszystko, co mogę, żeby tylko ci pomóc.

Podnosi wzrok i patrzy na mnie swoimi dużymi brązowymi oczami, w których maluje się morze bólu i samotności, nie odzywa się jednak ani słowem.

– Wiem, że się boisz. Ochroń cię. – Czuję narastający w sobie gniew. Nie potrafię zachować takiego spokoju jak Eshe. – Powiedz nam, kto ci to zrobił.

Cisza.

– Jest zbyt przerażona. Dla niej jest pan obcym człowiekiem. Na pewno nie powie nam, kto jest sprawcą. To mógł być nawet jakiś krewny.

Krewny? Nie daj Boże!

Jej ubrania są zupełnie podarte. Rozglądam się za czymś, co mogłaby założyć, niestety nie znajduję niczego. Zdejmuję więc koszulę i podaję jej. Na widok mojego białego i owłosionego torsu Precious zakrywa usta i zaczyna się śmiać.

Adanna kręci głową. Nie weźmie koszuli.

– Eshe, poprosisz ją, żeby to założyła?

O dziwo, Adanna jednak się zgadza.

– Czy możemy coś dla ciebie zrobić?

Cisza.

– Możemy cię do kogoś zabrać? Chciałabyś gdzieś pójść?

Nadal cisza. Wstaję i otrzepuję spodnie z kurzu. Niestety to nic nie daje, ponieważ to nie tylko kurz, ale także krew. Krew Adanny.

Chwytam za apteczkę pierwszej pomocy i otwieram ją. Wyjmuję paczkę z kompresami żelowymi i odrywam jeden. Adanna aż drgnęła.

– Przepraszam. To chłodny kompres na twoją głowę. Na początku może być trochę nieprzyjemnie, ale pozwól Eshe go przyłożyć, musimy pozbyć się opuchlizny. – Eshe bierze go ode mnie i delikatnie przykładą do jej głowy. Widać, że się na tym zna. Adanna nawet się nie poruszyła.

– Precious, pomożesz mi?

Eshe powtarza prośbę w języku Suazi, żeby mała mogła ją zrozumieć.

Precious uśmiecha się.

– Wiem, co mówisz. – Bystre dziecko, najwyraźniej zna trochę angielski.

Po przeciwnej stronie izby zauważam małą szafkę. Drzwiczki skrzypią przy otwieraniu. W smugach światła wpadającego do wnętrza od razu zaczynają połyskiwać pyłki kurzu. Wygląda na to, że od dawna nie używano tej szafki. Przy pomocy mokrej chusteczki wycieram półki. Natychmiast robi się czarna od kurzu i sadzy. Podaję Precious drugą chusteczkę. Zaczyna czyścić półki razem ze mną.

– Nie, skarbie. To do twojej twarzy i rąk. – Wygląda na zmieszaną, więc pochylam się nad nią i przecieram jej dłoń. Potem wyjmuję kolejną chusteczkę i delikatnie myję jej twarz, podczas gdy ona ani drgnie.

Wypakowuję jedzenie z torby na podłogę. Następnie podaję kolejne produkty Precious, żeby odstawiła je na półki. Zupa, herbata, cukier, mięso w puszkach, pomarańcze. Po kolei układa wszystko w szafce, poza jedną pomarańczą, którą chowa za plecami.

– Nie musisz tego chować – to dla ciebie. Chcesz, żebym ci ją obrał? – Spogląda na mnie i kiwa głową. Kiedy zdejmuję skórkę, ona zabierają ode mnie i wkłada do buzi. – Nie, nie, zaczekaj. Precious uśmiecha się tylko i żuje dalej. Podaję jej ćwiartki pomarańczy, zjada je ze smakiem.

Eshe cały czas łagodnie przemawiając do Adanny, zaczyna przecierać rany na jej ciele antyseptycznymi gazikami z apteczki. W końcu Adanna podnosi wzrok i patrzy na nas. Widzę, że jest wdzięczna, niestety wdzięczność bardzo szybko ginie pod falą lęku, szoku i głębokimi ranami duszy.

Po raz kolejny wzbiera we mnie gniew. Prawdziwy gniew, który jest w stanie zabić. Dla łajdaków, którzy potrafią dopuścić się czegoś takiego, musi być miejsce w piekle rozgrzane do białości.

– Eshe, zostaniesz z nimi, a ja pójdę po pastora Waltera, dobrze? – Nie mam ochoty ich tu zostawiać, muszę jednak iść po pomoc. Wrócę tu razem z nim albo z Gordonem.

– Pójdę z tobą – oświadcza Precious i staje na baczność obok mnie jak mały żołnierz.

Słyszę słaby, zachrypnięty głos.

– Nie, Precious, zostaniesz tutaj, z nami.
To Adanna.

Gdy docieram do punktu żywnościowego, Gordon gra akurat w piłkę nożną z kilkorgiem dzieci. Przerwywa grę, gdy tylko mnie zauważa.

– Stuarcie, co się stało? Gdzie masz koszulę? – Jest naprawdę zakłopotany.

– Chodzi o Adannę, Gordonie. Jest ranna. Musimy porozmawiać z Walterem.

Pastor Walter siedzi na betonowych schodach przed kościołem. Jest bardzo skupiony. Widzę, że rozmawia o czymś ważnym z młodą kobietą. Być może uczy ją, jak ma się zachowywać w stosunku do męża, który ma dziesięć innych żon i istnieje ryzyko, że przyniesie do domu AIDS, a może, jak ma się pozbyć pasożytów, którymi się zaraziła, pijąc zanieczyszczoną wodę.

Podbiegam do pastora, a Gordon za mną i przerywamy im rozmowę. Obydwoje patrzą na nas ze zdziwieniem, po chwili kobieta zakrywa dłonią usta. Wiem, że się śmieje. Zupełnie zapomniałem, że nie mam na sobie koszuli.

– Pastorze, potrzebujemy pomocy – wyrzucam z siebie jednym tchem. Nie mogę złapać oddechu i uświadamiam sobie, dzisiaj już po raz drugi, że mam naprawdę kiepską kondycję.

– Tak, bracie. O co chodzi?

– Możemy porozmawiać na osobności?

– Siostrze, to zajmie nam tylko chwilę.

Wchodzimy do środka.

– Gdzie twoja koszula, Stuarcie?

– Oddałem ją Adannie. Poszedłem ich odwiedzić razem z Eshe – miałem dla nich trochę jedzenia. Ale kiedy tam się znaleźliśmy...

Pastor łapie się za głowę prawą ręką.

– Czy nic jej nie jest?

– Nie wiem.

– Co się stało?

– Nie chciała powiedzieć. Wygląda na to, że ktoś się do nich włamał i ukradł wszystko, co mieli. Dom jest opróżniony. A Adanna... Walterze, ona jest w okropnym stanie – została pobita. Krwawi. – Gordon wyciąga szyję, żeby lepiej nas słyszeć.

– Czy to dziecko nie przeżyło już wystarczająco dużo?

– Przypuszczam, że stało się coś jeszcze gorszego – ściszam głos, niepewny jak to powiedzieć. – Walterze, jej ubrania są w strzępach...

– Och, mój Boże. Tylko nie to.

– Eshe jest przy niej. Nie możemy zostawić ich tam samych. A jeśli ten potwór znowu wróci?

– Biegnij do nich, ty też, Gordonie. Odeślijcie Eshę. Dołączę do was, tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

– Stuarcie, potrzebujemy czegoś? – Gordon wyciąga swój plecak z land cruisera.

Wyjmuję z torby koszulkę i zakładam ją w biegu.

– Nie, zaniósłem im trochę jedzenia – sam nie wiem, jak to się stało, ale miałem także przy sobie apteczkę. Już jej używaliśmy.

Biegniemy ramię w ramię wąską piaszczystą dróżką.

– Opatrzność działa, Stuarcie.

– Tak, szczególnie w przypadku gwałtu. Co z Opatrznością w takim przypadku? Nie mogę sobie wyobrazić, jak Bóg może siedzieć w niebie, patrzeć na coś takiego i nic z tym nie zrobić. A gdzie deszcz ognia i siarki, który należałoby zesłać na takiego łajdaka?

– Bóg płacze nad czymś takim.

– Dlaczego więc nic nie robi?

Gordon wzdycha głośno.

– To trudne pytanie, często o nim myślę.

– Tak, Gordonie, przepraszam, nie chciałem...

– Nie, spokojnie, trzeba zmagać się z takimi pytaniami. Był czas, że pogrążając się w nich, omal nie straciłem wiary – ale teraz... teraz podchodzę ze spokojem do tej tajemnicy.

– Ze spokojem? Naprawdę? Ale to wszystko nie ma sensu – ty, taki dobry człowiek, tracisz rodzinę. Adanna... nawet nie przechodzi mi to przez gardło. Jak w ogóle można zrobić coś takiego dziecku... To tylko mała dziewczynka, Gordonie!

– Nie chodzi mi o to, że godzę się na zło – nienawidzę zła. I robię wszystko, by z nim walczyć. Ale wiem, że Bóg działa... że jest w tym wszystkim. Nauczyłem się Mu ufać.

Mija nas troje dzieci, trzymających się za ręce. Idą w stronę punktu żywnościowego. Najmłodsze ma około dwóch lat, najstarsze nie więcej niż pięć. Mają bose stopy i całe oblepione są brudem.

– Wiesz, Gordonie, widząc to całe zło, sam nie wiem, czy potrafię jeszcze ufać.

– Dojście do tego, o czym zaraz ci powiem, zabrało mi kilka lat, ale teraz już to rozumiem. Całkowita demoralizacja i idące za tym czyny, potworna bieda i choroby, śmierć i smutek – to wszystko może cię przytłoczyć, pozbawić twoją duszę siły i nadziei lub może poruszyć ją tak bardzo, że staniesz się zupełnie innym człowiekiem. Wierzę, że w tym wszystkim jest Bóg. Zło, które wyrządzono Adannie, złamało Mu serce, to wiem na pewno. Ale spójrz na swoje stopy, Stuarcie. Biegniesz do niej z pomocą. W ten sposób twoje stopy stają się stopami Bogami. Okazujesz współczucie. Twoje dłonie stają się dłońmi Boga. Nakarmiłeś Adannę i jej rodzeństwo. Karmisz Jego owce.

Te słowa, tak znajome, przenikają do mojego serca i poruszają najgłębsze zakamarki duszy. Wymagający się wiatr porywa łzy z mojej twarzy, oddając je spalonej ziemi. Wiatr niesie coś jeszcze, jakiś dziwny dźwięk.

– Gordonie, słyszysz to?

– To czyjeś głosy. To krzyk.

Zaczynamy biec. Biegnę tak, jakby ścigał mnie lew. Widzę już dom Adanny, drzwi są otwarte. Przed nimi stoi jakaś biała, płócienna torba, wystaje z niej paczka ryżu.

Eshe krzyczy coś po suazyjsku. Jestem w stanie zrozumieć jedynie słowo „nie”. Jakiś mężczyzna przyciskają do ściany. Biję ją i zrywa z niej ubranie.

Kątem oka dostrzegam, że coś się porusza w drugim końcu izby. To Adanna, idzie chwiejnym krokiem, w uniesionej ręce trzyma metalowy kubek. Kiedy nasze oczy się spotykają, zamiera w bezruchu. Z jej nosa i warg cieknie krew. Przez moje ciało przetacza się fala wściekłości, rzucam się do przodu.

Chwytam tego potwora za kark. Jest chyba ze dwa razy większy ode mnie, ale powalam go na podłogę. Moje pięści lądują na jego twarzy, z nieznaną mi dotąd furią. Każdy cios jest celny. Jego skóra zamienia się pod moimi pięściami w krwawą masę, a kości aż trzeszczą. Nie mogę się opanować. Próbuje mi uciec, ale potyka się o białą torbę. Doskakuję do niego i znowu chwytam go za kark.

Chcę wycisnąć z niego życie, aż do dna. Czyjaś dłoń chwyta mnie za kołnierz i odciąga na bok.

– Stuarcie, przestań, zabijesz go.

– Nie dbam o to.

– W tym kraju też mają jakieś prawo i z całą pewnością zostanie ono wykorzystane przeciwko tobie. Już wystarczająco go ukarałeś. Daj spokój.

Patrzę na krew ciekącą z jego ust i nosa. Prawa część jego twarzy jest purpurowa i mocno opuchnięta. Nigdy nie pomyślałbym, że mogę wpaść w aż taką furię, by omal nie zabić człowieka.

Gordon mówi coś po suazyjsku. Mężczyzna dźwiga się z trudem. Przeszywa mnie spojrzeniem w stylu Charlesa Mansona. Czuję w sobie jakąś dziwną siłę i nie odwracam wzroku. Gordon znowu coś mówi, mężczyzna podnosi głos, a potem odchodzi.

– Co on powiedział?

– Nie warto powtarzać.

– A ty co mu powiedziałaś?

– „Bóg widzi, co zrobiłeś, łajdaku. Nie ujdzie ci to na sucho” – przerywa na chwilę. – A potem powiedziałem mu, żeby stąd się wynosił i nigdy już tu nie wracał.

Powoli wraca mi trzeźwe myślenie. Wchodzimy do domu.

– Eshe, wszystko w porządku?

Eshe płacze, tuląc do siebie szlochającą Adannę.

– Adanno, nic ci nie jest?

Eshe odwraca się do mnie. Ma zadrapania na twarzy, na szczęście skończyło się tylko na tym.

– Chciał zabrać wszystko, co pan przyniósł – wyjaśnia. – Był wściekły i zaczął bić Adannę. Chciałam go powstrzymać, ale nic nie mogłam zrobić.

Szloch Adanny przechodzi w głośny płacz. Ile może znieść takie dziecko?

– Gdzie Precious i Abu? Gordonie, widzisz gdzieś maluchy?

– Poszukam ich. – Wychodzi na dwór i zaczyna wołać je po imieniu.

Kładę dłoń na ramieniu Adanny.

– Dopilnuję, żeby ten człowiek nigdy już cię nie skrzywdził zapewniam ją ściszonego głosem. Przecież mogę dać jej coś więcej niż tylko wątłą nadzieję.

Nagle ktoś wpada do środka z hukiem i słyszę jakiś głuchy odgłos. Eshe krzyczy coś po suazyjsku.

Chcę się odwrócić, ale moje plecy rozrywa jakiś ostry, palący ból. Dotykam to miejsce ręką i wyczuwam coś mokrego i ciepłego. Krew. Zaczyna kręcić mi się w głowie.

To ten sam mężczyzna, chwytą białą torbę i znika. Zaraz potem do środka wbiega Gordon.

– Gordonie, chyba jestem ranny.

Rozdział osiemnasty

Bóg jeden raczy wiedzieć, skąd ten człowiek wziął nóż. Czuję pulsujący ból.

– Stuarcie, ty mocno krwawisz. – Gordon jest przy moim boku.

Eshe trzyma Abu. Precious stoi obok niej, na jej buźce maluje się przerażenie. Adanna ożywia się nagle i klęka obok mnie, przypomina rozmodlonego anioła.

Gordon przytrzymuje moją głowę i patrzy mi w oczy. Mam problemy ze skupieniem się.

– Muszę sprawdzić, jak głęboka jest rana – tłumaczy. Zaciskam zęby, gdy on ostrożnie podwija moją koszulkę. – Nieźle cię urządził. Rana wygląda na dosyć głęboką.

Głowa zaczyna mi ciążyć jak ołów, prawie nie mogę jej utrzymać.

– Eshe, biegnij do pastora Waltera i powiedz, żeby podjechał tu moim samochodem. Najszybciej jak to możliwe. Pośpiesz się! – Rzuca jej kluczyki, Eshe stawia Abu na ziemi i wybiega na zewnątrz. Gordon rozgląda się po chacie, mrucząc pod nosem: – Ta bestia musiała zabrać także apteczkę.

Słyszę dźwięk rozrywanego materiału. To Gordon rozrywa swoją koszulkę.

– Obwiążę ci tym tors. Adanno, daj rękę i przyciśnij tutaj. Musimy zatamować krwawienie.

Przykłada mi dłoń do pleców. Krzyczę z bólu. Taki dźwięk nigdy jeszcze nie wydobył się z moich ust. Precious podchodzi do nas i próbuje pomóc, ale Adanna kręci głową i ruchem ręki pokazuje jej, żeby odeszła na bok. Mała siada tuż przede mną z zatroskanym wyrazem twarzy i ustami wygiętymi w podkowę. Próbuję się uśmiechnąć, lecz mój uśmiech bardzo szybko przechodzi w grymas bólu. Precious przysuwa się do mnie, zerkając na reakcję siostry. Nie widząc sprzeciwu z jej strony, wtula się we mnie.

– Kim był ten człowiek? – pyta Gordon.

Adanna milczy.

– Adanno, proszę, musimy wiedzieć. Zrobił mnóstwo złych rzeczy.

– To wujek Malako – wyjaśnia Precious, bez chwili zastanowienia.

– Wasz wujek?

– To mąż mojej cioci i nikt więcej. – Odwracam głowę, słysząc zachrypnięty i niski głos Adanny. – Przykro mi z powodu tego, co panu zrobił – mówi do mnie przez zaciśnięte zęby.

– A mi jest przykro z powodu tego, co zrobił tobie, z powodu tego wszystkiego, co cię spotkało. – Nagle czuję, że moje ciało się osuwa. Ostatni obraz, jaki pamiętam, zanim straciłem przytomność, to stojący w drzwiach Walter.

Lekarze rozmawiają głośno po angielsku. To dobrze.

– Stracił dużo krwi! – Jak przez mgłę widzę twarz młodego, ciemnoskórego lekarza. Ma na sobie biały fartuch i stetoskop na szyi. Zupełnie jak na amerykańskich filmach.

Dostrzegam błyskające światelko i słyszę szum oraz pikanie szpitalnej aparatury. Wiozą mnie na łóżku jakimś korytarzem. Mijamy ludzi, których mój na wpół przytomny mózg postrzega jedynie jako rozmazane plamy. Przyciskam do piersi swoją pomarańczową torbę, która jakimś cudem znalazła się tutaj razem ze mną.

Placówka zupełnie nie przypomina amerykańskich szpitali. Pacjenci powciskani są w każdy możliwy kąt niczym ułożone w rzędzie bułki do hot-dogów – na podłodze, dwoje na jednym łóżku i pod łózkami. O dziwo, zawożą mnie do zupełnie pustej sali. Nie potrafię powiedzieć, czy to sala operacyjna, czy może... kostnica.

Ściany są wykonane z szarego pustaka, a metalowe, oślizłe sprzęty doskonale dopełniają całość. Spodziewałem się, że podłączą mnie do kroplówki, lecz nie widzę żadnej. Korytarzem przemyka czarny kot, czuję ciarki na plecach. Jeśli nie umrę z powodu utraty krwi, to z pewnością dobieje mnie gronkowiec. Nie chcę umierać.

Gdzie Gordon?

– Dzień dobry, panie Daniels. Jestem lekarzem. Moje nazwisko Smith.

Wyciągam rękę i ściskam jego dłoń, a moje plecy przeszywa ostry ból.

– Proszę się nie ruszać.

– Nie mówi pan z afrykańskim akcentem. Pana nazwisko także nie ma nic wspólnego z tym językiem. – Słowa sączą się powoli z moich ust jak ściekająca z łyżki melasa.

– Nie, bo jestem Amerykaninem. Przeprowadziłem się tu dziesięć lat temu, żeby otworzyć ten właśnie szpital.

– Przyjechał tu pan celowo?

Mężczyzna uśmiecha się.

– Tak, celowo. – Podnosi zdjęcie rentgenowskie i studiuje je w migocącym, fluorescencyjnym świetle. – Mam dla pana dobre wieści. Baliśmy się, że nóż przebił jedną z pańskich nerek. Na szczęście tak się nie stało. To były dosłownie milimetry.

– Dzięki Bogu.

– Kolejne kilka milimetrów na lewo i mielibyśmy zupełnie inną historię.

Za lekarzem staje Gordon. Widać zmartwienie na jego twarzy.

– Co z nim, panie doktorze?

Za Gordonem widzę jeszcze kogoś. To Adanna.

– Eshe i Walter zabrali maluchy ze sobą, ale Adannę zostawiliśmy w szpitalu na obserwację.

– Cześć. – Mój głos nie brzmi najlepiej. Z całą pewnością brakuje w nim entuzjazmu.

Lekarz podchodzi do mojego łóżka i zaczyna mnie badać. Uśmiecha się do Adanny.

– Widzę, że ma pan dobrych przyjaciół – zauważa. – Boimy się, żeby nie wdała się jakaś infekcja, więc damy panu silne antybiotyki. Poza tym wszystko wygląda dobrze.

– Dziękuję, panie doktorze.

– Damy jeszcze panu trochę świeżej krwi i założymy szwy, a potem może już pan wracać do domu. Wygląda na to, że potrzeba będzie około dwudziestu szwów.

– Czy to oznacza, że rana nie jest jeszcze zszyta?

– Jeszcze nie. Ale proszę się nie martwić. Chwilowo ma pan założoną opaskę uciskową.

– Dobrze.

Lekarz wychodzi na kilka minut, a ja w tym czasie tracę i odzyskuję przytomność. Za każdym razem, gdy otwieram oczy, widzę stojącą obok Gordona Adannę. I gdy tylko na nią spojrzę, uśmiecha się do mnie.

Wraca dr Smith. Oszołomiony lekkim środkiem znieczulającym, czuję każdy szew, który mi zakłada. Kiedy kończy, spodziewam się, że klepnie mnie po plecach, oznajmiając: Skończone! On jednak zdejmuje gumowe rękawiczki i obchodzi łóżko, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Dziewiętnaście – oznajmia.

– Dziewiętnaście?

– Szwów. Tyle wystarczyło, dwudziesty nie był potrzebny, nawet jeśli miałoby przynieść mi satysfakcję, że dokładnie tyle przewidziałem.

Domyślam się, że to miało być zabawne, więc się uśmiecham.

– A teraz proszę utrzymywać ranę w czystości. Na razie nie wolno panu pływać. To byłby bardzo zły pomysł.

– Rozumiem, żadnego pływania.

– Aha, jeszcze jedno.

- Tak?
- Proszę trzymać się z daleka od nieprzewidywalnych nożowników.
- Właśnie taki mam plan.
- Widzimy się za kilka dni, obejrzymy wtedy ranę.
- Oczywiście.
- Młoda damo – zwraca się do Adanny – pójdziesz ze mną po lekarstwo dla pana

Danielsa?

Zerka na Gordona.

- Nie ma pan nic przeciwko temu?
- Oczywiście, jeśli tylko Adanna chce.
- Tak, pójdę – odpowiada Adanna i wychodzi z lekarzem. Słyszę jeszcze, jak mówi do niej: – Może znajdziemy coś także i dla ciebie.
- Jutro musimy zgłosić to na policję – oświadczam.
- To byłoby jak wkładanie kija w mrowisko.
- Dlaczego?
- Po pierwsze, nie uwierzą, że on zgwałcił dziewczynkę – Gordon wyraźnie ścisza głos. – W tym kraju rację ma zawsze dorosły. Nie dadzą wiary słowom Adanny nawet i za tysiąc lat.
- Czy to oznacza, że jesteśmy bezradni?
- Niestety, tak. Wciąż dziwi cię, dlaczego w tym kraju jest taki problem z AIDS?
- Już nie. A co z faktem, że dźgnął mnie nożem?
- To kwestia tego, komu uwierzą. Powie, że się bronił, bo chciałeś go zabić. Możesz jedynie wpakować się w jeszcze większe tarapaty. No i stracisz co najmniej jeden dzień. W tym kraju nie ma sprawiedliwości.

W sali słyhać jedną z piosenek U2, to z mojego plecaka.

– Gordonie, wyjmiesz moją komórkę? – Podaje mi mój nagle działający telefon.

– Słucham?

– To ja, Whitney. Dzień dobry.

– Ach, dzień dobry. Czyli mamy ranek? Albo coś koło tego?

– Stuarcie, twój głos nie brani najlepiej. Coś się stado?

– Nic, to znaczy prawie nic. Dlaczego od razu myślisz, że coś się stało?

– Gdzie jesteś? Słyszę jakiś szum w tle. A to pikanie?

– To długa historia, Whit. Ale naprawdę nic poważnego.

Gordon odwraca się do mnie plecami i zaczyna kręcić głową.

– Proszę, powiedz mi, co się dzieje?

– Jestem w szpitalu. Dźgnięto mnie nożem, ale już nic mi nie grozi.

Rozdział dziewiętnasty

– Stuarcie, to wcale nie jest śmieszne. Mówisz poważnie, czy to jeden z tych twoich żartów nie w porę?

– Chciałbym, żeby to był żart. Poczekaj, nie to miałem na myśli. Nie żartowałbym sobie w taki sposób... ja...

– Po prostu powiedz mi, co się stało.

– No dobrze... byłem wtedy u naszej małej znajomej – ma na imię Adanna – przyniosłem jej parę rzeczy i coś do jedzenia. To naprawdę smutna historia, jej mama zmarła niedawno na AIDS. Zanim do nich dotarłem, ktoś pobił Adannę i okradł ich. Pobiegłem po pomoc i gdy tam wróciłem, znowu ją zaatakowano. Tym razem to był jej wujek, zacząłem się z nim bić. Nieźle mu dołożyłem i kazałem nigdy już tam nie wracać. On jednak po chwili zakradł się od tyłu i ugodził mnie nożem...

– 1 to wszystko?

– Tak, dokładnie.

– Stuarcie...

– Aha, zaraz, zapomniałem ci jeszcze powiedzieć, że Adanna ma nie więcej niż dwanaście lat i ma młodsze rodzeństwo, które też tam było.

– Och, biedne dzieci. Nic im się nie stało? I co z tobą tak naprawdę?

– Jeśli chodzi o mnie, czuję się tak jak każdy, kogo dźgnięto w plecy. A Adanna... dużo ostatnio przeszła, ale wszystko się ułoży. Jej rodzeństwu nic się nie stało.

Słyszę westchnienie mówiące zarówno o uldze, jak i o rezygnacji.

– Stuarcie, czasami jesteś takim idiotą. – Nie jest zła. Zna mnie lepiej niż ja siebie. – Miałam już ochrzanić cię za to, że rozłączyłeś się ze mną tamtego wieczoru. Ale jak mogę być zła na kogoś, kto ryzykuje życiem, by ratować bezbronne dzieci?

Dzieci. Whitney.

– Whit, ty będziesz miała dziecko!

– Tak, my będziemy mieli dziecko! Cieszę się, że to w końcu do ciebie dotarło.

– Dziecko... Przepraszam, Whitney. Upuściłem wtedy telefon i przestał działać. Nie potrafiłem go naprawić. Internet też nie działał i wszystkie telefony. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego komórka zaczęła nagle działać, ale cieszę się, że nareszcie...

– Okay, już dobrze... zwolnij. Wszystko w porządku, Stuarcie. Odpręż się.

– To chyba leki przeciwbólowe dają o sobie znać, bo zaczynam bzikować.

– Zaczynasz? – śmieje się, a jej śmiech jest zaraźliwy. – To może poczekać, Stuarcie. Nie musimy teraz o tym rozmawiać. Cieszę się, że nic ci nie jest... i że wtedy się nie rozłączyłeś. Teraz najważniejsze jest, żebyś wyzdrowiał. I to pod wieloma względami. Po raz pierwszy jednak zaczynam wierzyć, że to jest możliwe.

– Czy jest w pobliżu jakiś lekarz lub pielęgniarka?

– Hm... tak. Lekarz wyszedł tylko na chwilę. Był tutaj minutę temu...

– Chciałabym z nim porozmawiać.

– Oczywiście.

– Aha, Stuarcie i...

– Tak?

– Kocham cię.

– Ja ciebie też – odpowiadam bez chwili wahania pomimo lekkiego oszołomienia lekami przeciwbólowymi, a może dzięki nim.

Gordon wychodzi z moją komórką, by poszukać doktora Smitha. Doktor odbiera od niego telefon i mówi Whitney o moim stanie i procesie zdrowienia.

– Oczywiście, pani Daniels. Na pewno tego dopilnujemy. Czy chce jeszcze pani porozmawiać z mężem? – śmieje się. – Dobrze, powiem mu.

Doktor Smith przekazuje mi telefon.

– Co powiedziała?

– Powiedziała coś takiego, pozwolę sobie to nieco sparafrazować: „Proszę mu przekazać, żeby się nie wygłupiał, albo kopnę go w... *gluteus maximus*”.

– Chyba nie użyła określenia *gluteus mcutimud*?

– Nie.

Wychodzi na korytarz. Zasypiam i chociaż wydaje mi się, że tylko na chwilę, to mogło to trwać znacznie dłużej. Kiedy otwieram oczy, widzę Adannę rozmawiającą z doktorem. Pokazuje mu jakąś małą książkę z twarzą kobiety na okładce.

Patrzę na Adannę i jest mi przykro, szczególnie gdy się uśmiecha. Chciałbym, żeby jej życie wyglądało inaczej. Ale jak mam to zrobić?

Gordon bierze mój plecak.

– Doktor powiedział, że jeśli czujesz się na siłach, to możemy już iść. A właściwie to powiedział, że musimy już iść. Potrzebują łóżka.

Gordon pomaga mi usiąść. Ból w plecach został nieco uśmierzony, ale wciąż go czuję. Kręci mi się w głowie, jestem jednak zdeterminowany i wstaję.

– Dokąd idziemy?

– Musimy zawieźć Adannę do pastora Waltera. A potem odwiezę cię do hotelu. – Powoli wychodzimy na korytarz.

– Ta młoda dama jest wyjątkowa – oświadcza doktor, wskazując na Adannę, na co ona wbija wzrok w podłogę.

– Tak, wiem.

Gordon siedzi za kierownicą, a Adanna z tyłu, w milczeniu spogląda przez szybę. Popołudniowe niebo jest dzisiaj wyjątkowo zachmurzone. Gęste i ciężkie chmury zupełnie przysłoniły słońce, bez żadnego ostrzeżenia czy przeprosin. Nagle rozlega się grzmot, tak głośny, że aż wszyscy podskakujemy, a niebo rozdziera błyskawica. I oto stajemy oko w oko z burzą, bez zapowiedzi. Nie mamy do czynienia z jakąś mżawką czy przelotnym deszczem. To istna ulewa. Na drodze, nie wiadomo skąd, pojawiają się rwące potoki.

– Jeszcze nigdy nie widziałem takiego deszczu – krzyczę do Gordona, który wyciąga szyję do przodu, żeby cokolwiek dojrzeć przed nami. Zerkam na Adannę. Wciąż wygląda przez szybę.

Dźwięk uderzających o samochód kropli deszczu ogłusza nas, zupełnie jakby na dach spadał grad skał.

Przeżyłem już trochę burz w Teksasie, ale ta jest zupełnie inna. Deszcz pada tak intensywnie, że w ciągu kilku minut widoczność ogranicza się do zaledwie półtora metra.

– Nic nie widzę. Musimy się zatrzymać i poczekać, aż przejdzie ulewa – krzyczy Gordon.

Zatrzymujemy się, ale nie na długo. Istnieje obawa, że możemy zsunąć się do rowu. W ciągu paru chwil drogę zaczynają przecinać strumienie wody.

– To nie do wiary. Odkąd tu mieszkam, nie pamiętam takiej ulewy. Nie ufam tej burzy. – Gordon zaczyna kręcić pokrętłem przy radiu.

Rozlega się buczenie i kilka głośnych trzasków.

– Radio Suazi 1060 AM. Nastąpiło gwałtowne załamanie pogody. Dla miasta Manzini oraz okolic został ogłoszony alarm powodziowy, obowiązujący do jutra włącznie. Wyjątkowo niebezpieczne warunki będą panować w obszarze Matsapha oraz Manzini. Należy

bezwzględnie udać się w wyżej położone rejony, by uniknąć niebezpieczeństwa powodzi. Powtarzamy, proszę udać się w wyżej położone rejony.

– Matsapha? To tam, gdzie są mój brat i siostra – oznajmia Adanna przerażonym głosem.

– Musimy tam pojechać i ich znaleźć.

Zaczyna kasłać. Dzisiaj kasłała naprawdę często.

– Na razie nigdzie nie możemy jechać – komentuje stanowczo Gordon.

– Ale nie mamy wyboru, proszę pana. Abu i Precious mogą utonąć. Błagam, musimy coś zrobić.

– I zrobimy, jak tylko choć trochę przestanie padać.

– Nie, ja muszę tam iść teraz. Nie mogę czekać ani chwili. – Po czym otwiera drzwi i wypada z samochodu jak pocisk.

– Idę po nią. – Wprost nie wierzę, że tak po prostu uciekła z samochodu.

Zanim Gordon zdążył mnie powstrzymać, już za nią biegnę. W przeciągu dwóch sekund jestem przemoczony do suchej nitki. Właśnie tak musiał wyglądać potop opisywany w Biblii. Postać Adanny coraz bardziej rozmazuje się w strugach deszczu. Biegając po błotnistej mazi, potykam się i lecę w dół jak kłoda. Kilka sekund później leżę już na brzuchu.

Jak dobrze, że dostałem tak łagodne środki znieczulające. W przeciwnym razie mógłbym nawet tutaj umrzeć, zupełnie o to nie dbając. Mam błoto w oczach. Wszystko wygląda jak jedna bezkształtna masa. Uderzające we mnie krople deszczu zupełnie mnie oszołomiły. W mojej głowie kłębią się dawne myśli: Jak to możliwe, że mieszkający w tych glinianych chatkach ludzie nie mokną podczas takiej burzy jak ta?

– Adanno! – Nie jestem pewien, czy mnie słyszy. – Adanno, pomóż mi!

– Proszę pana? Gdzie pan jest? – To jej głos.

– Tutaj, Adanno, w dole.

– O rany, jak pan tam się dostał? Nic panu nie jest?

– Nie wiem, nawet nie próbowałem się ruszyć.

– Pomogę panu. Gotowy?

– Au! Nie, to nie zadziała. Idź po Gordona.

– Dobrze, niech pan się nie rusza. Zaraz wracam.

– Nigdzie się nie wybieram. Obiecuję!

Woda podnosi się coraz bardziej. Jeśli to się nie zmieni, za kilka minut zginę pod zwałami błota.

– Nawet na sekundę nie można zostawić cię samego, nawet na sekundę. – Dla moich uszu gromki głos Gordona brzmi teraz jak najśłodsza muzyka.

Wstaję przy pomocy Gordona. Wszyscy ociekamy wodą, wracając do land cruisera.

– Gordonie, wiem, że to ci się nie spodoba, ale Adanna ma rację. Naprawdę musimy jechać do Matsapha. – Gordon zerka we wsteczne lusterko. – W którym kierunku byśmy nie pojechali, i tak będzie to rejon zagrożony powodzią. Równie dobrze więc możemy utonąć i w Matsapha. – Gordon najpierw wrzuca wsteczny, a potem gwałtownie rusza do przodu.

Adanna, która siedzi z tyłu samochodu, wychyla się do przodu. Wszyscy wyciągamy szyje, żeby zobaczyć cokolwiek przez przednią szybę, pokrytą oleistą, szarawą mazią.

Dojazd do Matsapha wcale nie jest taki prosty. Dookoła jest tyle błota i wody, że z trudem znajdujemy drogę. Wioska wygląda jak miasto duchów. A deszcz nie przestaje padać.

– Gordonie, uwaga!

– Co u...

Hamulce się blokują i zaczynamy sunąć po błocie, ślizgamy się to w lewo, to w prawo. Gordon traci kontrolę nad samochodem.

– Trzymajcie się.

Adanna krzyczy. Obracamy się o 360 stopni i rozbijamy o ogromny zielony kontener. Gordon ma potargane włosy, chyba uderzył głową o kierownicę. Wyglądamy przez szybę i tuż za kontenerem na śmieci zauważamy dosyć strome zbocze.

– Czy nikomu nic się nie stało? – przekrzykuję panujący dookoła chaos, zupełnie zapominając o szwie na plecach.

– Ja jestem cały. Nigdy bym nie pomyślał, że będę dziękować Bogu za śmietnik przy drodze – odpowiada Gordon.

– Adanno, a ty, co z tobą? – Widzę, że trzyma się za głowę.

– Nic mi nie jest. Możemy jechać dalej?

– Pokaż mi czoło.

Odsuwa rękę i widzę, że ma pod okiem niewielkiego guza. Z całą pewnością zrobi się z tego niezły siniak.

– Au, wygląda to całkiem poważnie.

– Nic mi nie będzie. – No tak, to prawie nic w porównaniu z tym, co ostatnio wycierpiała.

Deszcz nie ustaje.

– Zakopaliśmy się?

– Nie, nie sądzę. Ale mamy inny problem. Tylko spójrz.

Nagle pojawia się przed nami ściana wody, zupełnie jak podczas jednej z wirtualnych wędrówek z Universal Studios, z tym jednak wyjątkiem, że tej fali nie da się cofnąć w ostatniej chwili i wyjść z tego z przyśpieszoną jedynie akcją serca i w nieco przemoczonych podkoszulkach. Oto zaraz na własnej skórze doświadczymy potężnego działania sekretnej broni matki natury.

– Co robimy?

– Nie mamy wyboru. Z całą pewnością nie będzie aż tak głęboko, jak nam się wydaje. Adanno, twoje zadanie to mocno się trzymać i modlić. Może być trochę niebezpiecznie.

– Trzymajcie się wszyscy – krzyczy Gordon, wskazując na zbliżającą się ścianę wody. Gdy tylko się z nią zderzamy, zaczynamy płynąć. Nasz land cruiser zamienił się w łódź. Fascynujące doznanie, gdyby tylko nie było aż tak przerażające. Sytuacja wymknęła się nam spod kontroli, nic nie możemy zrobić.

– No, może jest trochę głębiej, niż myślałem. Adanno, jak tam twoja modlitwa?

W przeciągu zaledwie kilku sekund woda unosi nas w głąb świeżo powstałego dopływu rzeki. Suniemy z niezłą prędkością, porwani przez prąd.

– Gordonie, musisz coś zrobić albo zginieemy! – krzyczę.

Gordon wygląda jak ktoś, kto właśnie zobaczył ducha.

– Robię wszystko, co mogę, ale to nie skutkuje.

O bok naszego samochodu uderza wyrwane z korzeniami drzewo.

– Jeśli prąd wciągnie nas pod wodę, nie przeżyjemy.

– Staram się!

Adanna kładzie mi dłoń na ramieniu, drugą obejmuje zagłówek mojego fotela i oświadcza spokojnym tonem:

– Ja też robię swoje. Odmówiłam modlitwę, wszystko będzie dobrze.

Sam nie wiem, czy ona rzeczywiście w to wierzy, czy też stara się jedynie dodać nam otuchy.

– Zaraz rozbijemy się o drzewo! Trzymajcie się!

Zza lewego rogu przedniej szyby wyłania się zielona ściana z konarów drzew i wplątanych weń śmieci. Uderza samochód idealnie w środek, odpychając nas tym samym od niewzruszonego pnia drzewa na brzeg rzeki.

Zatrzymujemy się, tak samo niespodziewanie, jak zostaliśmy porwani.

– Rety, ten samochód to prawdziwa amfibia.

– O tak, cały czas miałem go pod kontrolą – śmieje się nerwowo Gordon.

– To jasne, że ktoś miał go pod kontrolą, ale z całą pewnością to nie byłeś ty, Gordonie. Zerkam na Adannę, uśmiecha się tajemniczo.

– Ma pan rację, ja też go widziałam – mówi. – Mężczyznę pełnego światła, tam w wodzie. On wiedział, czego potrzebujemy.

Wymieniamy spojrzenia z Gordonem i wzruszamy ramionami. Nie kwestionuję jednak tego, co usłyszeliśmy. Być może Bóg ukazał się w końcu temu dziecku. W samą porę.

Opony trzymają się błota i bezpiecznie wyjeżdżamy na suchy ląd. Noga Gordona na pedale cała aż drży. Pomimo środków znieczulających kręci mi się w głowie, jakbym wypił z dziesięć filiżanek kawy.

W normalnych warunkach droga do Matsapha zabrałaby nam około dziesięciu czy piętnastu minut. Cała sytuacja sprawiła jednak, że mamy spore opóźnienie. Pewnie na piechotę byłoby szybciej, gdyby tylko nie ta powódź.

Okolice jest nie do poznania.

– Adanno, to tutaj?

– Tak, tutaj, ale nigdy nie było tu aż tyle wody. Strumyk zamienił się w rzekę.

Bardzo rozgniewaną rzekę.

– Stuarcie, widzisz to? W tej wodzie są ludzie – krzyczy Gordon.

– Gdzie? Nie widzę.

– Tam. Spójrz na tamten tłum, trzymają patyki i próbują ich wyłowić.

– O Boże, widzę. Chodźmy.

Zanim zdążyłem wypowiedzieć kolejne słowo, Adanna wyskoczyła już z samochodu i pobiegła w tamtym kierunku.

– Adanno, zaczekaj!

Nie słyszy.

Biegniemy szybko po śliskiej nawierzchni, niczym kaczki muskające wodę, zanim oderwą się od jej tafli. Dobiegamy do miejsca, które stanowi teraz brzeg rzeki. Z wody wystaje sześć, może osiem chat porwanych przez prąd, a po jej powierzchni suną pozostałości po kilku innych domostwach. Najbardziej jednak przerażający widok stanowią dzieci, dziesiątki dzieci uwieczonych w wodzie pomiędzy pniami drzew, chwytających się elementów chat, dryfujących na drewnie, kurczowo trzymających się życia.

Rozdział dwudziesty

Tagoze

Rozpoczął się kolejny typowo afrykański dzień – nudny, długi i suchy. Jednakże wraz z upływem godzin robi się wyjątkowo chłodno i zaczyna wiać silny wiatr. Zerkam w niebo i jestem zdumiony tym, jak szybko suną po nim chmury. Przewalające się nade mną szarości kłębią się i wiją niczym rozwścieczony dum. Znosi się na burzę.

Po ogłuszającym grzmocie niebo rozdziera jasna błyskawica, przynaglając wszystkich do schronienia się w domach. Zagarniam ze stołu szachownicę i pionki, wciskając wszystko pod pachę. Najwyraźniej innego dnia zaproszę wodza na partyjkę szachów.

Przez ściany mojego domu przenika niewielka ilość światła, wystarczająca, żeby sobie poczytać w słoneczny dzień. Jednakże dzisiaj całe światło gaśnie w przeciągu paru sekund. Wygląda na to, że mamy odpowiedni dzień na wczesną drzemkę. Leżę na materacu i odpływam w krainę snu. Co jakiś czas wybudza mnie huk piorunów, ale to nie ich odgłosy sprawiają, że otwieram oczy – to krzyżący, a wręcz wrzeszczący ludzie. Wstaję i wybiegam na dwór, w strugi lejącego z nieba deszczu.

Zatrzymuję się na chwilę, nasłuchując, skąd dochodzą krzyki, i ruszam w tym kierunku. Ściana wody pędzi wprost na uciekający przed nią tłum ludzi. Woda wyrывa drzewa z korzeniami i pochłania całe domostwo. Nie uciekną przed nią.

Bez chwili namysłu biegnę w stronę domów stojących na drodze rozwścieczonej fali. Przed sobą widzę gromadkę przerażonych, zamartwych w bezruchu dzieci.

– Uciekajcie! Tędy! – krzyczę, ile sił w płucach. Ale one mnie nie słyszą.

Pędzę do nich, macham rękoma. Niestety ściana wody jest szybsza i zabiera je ze sobą.

Przystaję na moment, nie wiedząc, dokąd uciekać i co robić. I wtedy zaczynam szeptać modlitwę.

– Panie, zlituj się. Panie, zlituj się. Proszę, pomóż nam.

Na skraju wody panuje totalny chaos. Jakaś kobieta walczy z prądem, trzymając kurczowo dwoje dzieci. Nie będzie w stanie długo ich utrzymać.

Robię krok w kierunku tej rwącej rzeki. Drzewa łamią się jak zapalki, ludzie walczą o życie, błagając o ratunek.

– Tagoze! Nie, zaczekaj. Co ty robisz?

To Adanna. Macham jej, a potem się odwracam i wskakuję do wody. Porywa mnie prąd i zanurzam się pod jej powierzchnię. Próbuje odzyskać kontrolę, rozbijając się o gałęzie i krzaki. Nagle wynurzam się tuż obok matki z dziećmi. Woda zwała ją z nóg. Rzucam się w jej kierunku. Kawałki gruzu uderzają o moje stopy i pierś. Wprost na mnie płynie krzak jeżyn, zostawiając na mojej twarzy nową szramę. Krew miesza się z mętną wodą, nie poddaję się jednak.

– Boże, daj mi siłę!

Staję na równe nogi, kobieta zderza się ze mną, chwytam mocno ją oraz jej przerażone dzieci. I wtedy znowu porywa nas prąd.

– Boże, proszę, pomóż nam!

Odwracam głowę i widzę wysokie, rozłożyste drzewo stojące pośrodku rwącej rzeki. Jego stare korzenie przez setki lat coraz głębiej wrastały w kolejne warstwy ziemi. Tylko ono jedno zostało na drodze, którą pognał gwałtowny żywioł.

– Proszę się mnie trzymać i trzymać mocno dzieci – mówię. Wolną ręką odpycham się od wody, walcząc i zmagając się z niewidzialnymi wrogami.

Docieramy do drzewa szybciej, niż myślałem. Trzymając mocno kobietę, obracam się, aby przyjąć na siebie siłę uderzenia. Bum! Uderzam o drzewo, czuję zawroty głowy, ale to trwa tylko chwilę.

Wypływam szybko na powierzchnię i chwytam się mocnej gałęzi. Używając całej swojej siły, podciągam się ku pniowi drzewa. Niestety prąd jest tak silny, że obraca mnie i kobieta wyslizguje się z moich ramion. Wyciągam rękę i łapię ją za kołnierz sukienki. I znowu używając całej swojej siły, ciągnę ją do siebie, modląc się, żeby tylko ubranie się nie rozerwało.

Jej dzieci są tuż za nią, ściskają jej omdlewające ręce, młodsze zaraz się wyslizgnie. Napinam mięśnie i ciągnę ją w stronę drzewa, usiłując wyrwać prądowi. Ma już drzewo w zasięgu ręki, może złapać się gałęzi, jej ramiona jednak oplatają dzieci.

– Proszę złapać się tej gałęzi. Musi pani chwycić gałąź!

– Nie mogę! – krzyczy.

– Prąd jest zbyt silny. Nie utrzymam pani dłużej. Musi pani chwycić się tej gałęzi.

– A moje dzieci?

– Policzę do trzech. Kiedy wypowiem trzy, wypuści pani syna i chwyci gałąź. Ja go złapię. Złapię go, przysięgam.

– Boję się!

– Bóg jest z nami. Musi pani być silna! Proszę mocno trzymać małą. Gotowa?

Kobieta kiwa głową.

– Na „trzy” chwytam pani gałąź prawą ręką.

– Raz, dwa, trzy!

Kobieta wypuszcza synka i sięga po gałąź. A ja wyciągam rękę i łapię chłopca za ramię. Niestety, gdy kobieta trzyma się gałęzi, nagły prąd porywa córeczkę z jej uścisku.

– Bisa, nie!

Nie wiadomo skąd pojawia się kłoda i uderza w wymachującą rękoma dziewczynkę z siłą rozpędzonego nosorożca, zabierając ją w dół rzeki.

– Musisz złapać się gałęzi i wspiąć na drzewo – krzyczę. – Chłopak wdrapuje mi się na plecy, a potem chwytając się gałęzi, wspina po pniu drzewa w bezpieczne miejsce. Jego matka zawodząc głośno, wpatruje się w dół rzeki.

– Szybko, na górę! – Znajduję w sobie siłę, o której nie miałem pojęcia, i sadzam ją na gałęzi, której fale nie zdążyły zatopić.

Sam nie mam już siły, żeby wspiąć się na wyżej położone gałęzie, więc przywieram całym ciałem do tej, którą mam w zasięgu ręki.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Deszcz przeszedł w mżawkę, lecz poziom wody w dolinie cały czas się podnosi. Wraz z Adanną i Gordonem stoimy nad brzegiem rzeki i przyglądamy się każdemu sękatemu konarowi, wypatrując Precious i Abu. Osłonięty pomarańczowym ponczem śledzę otoczenie przez obiektyw mojego aparatu. Starsze kobiety oraz matki kurczowo przyciskają do siebie dzieci, mówiąc im, by się mocno ich trzymały. Starsi mężczyźni siedzą na gałęziach, a dzieci wtulają się w pnie drzew, chroniąc się przed silnym wiatrem.

Robię zdjęcie niesionego przez prąd roweru. Jest odwrócony kołami do góry, jakby jechał na nim jakiś niewidzialny rowerzysta.

Gordon odwraca się do mnie. Wiatr i deszcz potargały jego siwe włosy. Nie może otworzyć lewego oka, tak bardzo napuchło.

– Nikt nie zasługuje na coś takiego. – Po jego wrodzonym optymizmie nie ma już ani śladu. Cały czas robię zdjęcia. Skupiam się na każdym pojedynczym kadrze, zwracając uwagę na światło, perspektywę i główny, odrębny od całości temat, zarazem jednak przekazujący atmosferę sytuacji. Właśnie dlatego jestem dobry w tym, co robię. To dlatego otrzymałem wyróżnienie. Oto kim jestem.

Adanna wchodzi mi w kadr.

– Tam ich nie ma – mówi, wskazując na spienioną rzekę.

Już widzę napis pod zdjęciem: Dziewczynka z wioski wypatruje brata i siostry na porwanych przez powódź drzewach. Robię bliższe ujęcie.

Ślady na twarzy Adanny, rozcięta skóra tuż obok oka i opuchnięte usta przypominają o tym, w jak potworny sposób ją wykorzystano. Ubrania, zupełnie teraz przemoczone, wiszą na jej wychudzonym ciele jak szmaty. W jej oczach mieści się niezgłębione morze smutku. Pomimo tego wszystkiego przed obiektywem wyłania się jednak dziewczynka posiadająca niezwykłą godność, taką, której siłą jest niezłomny i płomienny duch.

Patrzy wprost w obiektyw i oznajmia spokojnym głosem:

– Muszę znaleźć pastora Waltera i zapytać, czy nie widział Abu i Precious. – Robię jej zdjęcie. Adanna zupełnie ignoruje obecność aparatu.

– Pójdzie pan ze mną?

Ściągam ponczo i zerkam na Gordona, kiwa głową. Oddaję mu aparat i idę z Adanną.

Znowu zaczyna mocniej padać. Idziemy wzdłuż rzeki, poraża mnie widok zniszczeń dokonanych przez żywioł.

– Adanno, zaczekaj!

Wzburzona woda przypomina stado rozwścieczonych słoń, tratujących wszystko po drodze. Pokryta strzechą chata płynie zdana na łaskę prądu.

Widzę coś jeszcze obok dryfującej kłody.

– Och, nie! – To maleńka główka, opada i unosi się targana przez fale niczym szmaciana lalka. Cofam się, a potem biegnę i skaczę w spienioną wodę.

Rozbijam głowę o coś twardego, wszystko dookoła się rozmazuje, a potem widzę podwójnie. Całą swoją uwagę skupiam na pływającym ku mnie, podskakującym w górę i dół dziecku. Walczę z prądem, ustawiając się tak, by je chwycić.

Do wykorzystania mam tylko jedną szansę. Jest coraz bliżej... Wyciągam rękę i chwytam dziecko za tył koszulki, a potem przyciągam do siebie. Nagle przewracam się uderzony mocniejszą falą. Zakrywa nas woda. Fala odpływa, a my się wynurzamy.

– Boże, daj mi siłę dla dobra tego dziecka.

Mała cała drży, ale wciąż oddycha. Ostatkiem sił płynę do brzegu, trzymając dziecko jedną ręką, a drugą walcząc z wodą. Liczy się każda sekunda. Brzeg jest coraz bliżej i bliżej. Nagle mój wysiłek zostaje wsparty prądem, który znosi nas ku brzegowi. A tam stoi mężczyzna i wyciąga do mnie długą gałąź, której mogę się uchwycić.

Jego postać zupełnie nie pasuje do otoczenia. Ma białe włosy i bije od niego jasna poświata. Jego niebieskie oczy mają jeszcze większą głębię niż oczy Whitney. Uśmiecha się. Chwytam gałąź wolną ręką, a on z łatwością przyciąga nas do brzegu. Zginam się wpół, dyszę ciężko i kaszlę, wypluwając wodę o smaku ziemi i potu.

Dziewczynka zaczyna płakać. Odwracam się, żeby podziękować niebieskookiemu mężczyźnie, lecz już go nie ma. Obok mnie jest tylko dziecko. Wstaję, podaję małej rękę i idziemy brzegiem rzeki.

Dziewczynka popłakuje cicho.

– Już dobrze. Wszystko będzie dobrze. – Czuję, że coś lepkiego sączy się po mojej twarzy, ocieram to ręką. Krew. W tym kraju przelewa się stanowczo za dużo krwi.

Teren wokół rzeki przypomina strefę działań wojennych. Powyrywane z korzeniami drzewa, piętrzące się stosy z kamieni, blachy i słomy, przypominające o tym, że jeszcze kilka godzin temu stały tu chaty, w których mieszkali ludzie. Na ziemi leżą martwe zwierzęta, ofiary pierwszej fali powodziowej.

Przed sobą widzę stojących wzdłuż brzegu ludzi, wyciągają długie kije w kierunku rzeki, być może ratują komuś życie. A może patrzą, jak giną ich bliscy, nie mogąc im pomóc.

Zarówno dziecko, jak i ja jesteśmy przemoczeni do suchej nitki. Mała trzęsie się coraz bardziej. Ile bym dał za ciepły koc, żeby ją owinąć. Biorę dziewczynkę na ręce i przytulam do siebie. Moje plecy przeszywa rozdzierający ból. Po raz pierwszy od początku ulewy przypominam sobie o ranie po nożu.

Zaczynam iść w kierunku najbliższej stojącej gromady ludzi. Może ktoś ją rozpozna. Zastanawiam się, gdzie zniknęła Adanna.

Zauważa mnie jeden z mężczyzn. Odwracam się do niego tak, żeby widział twarz dziewczynki.

– Zna pan to dziecko? – krzyczę.

Kręci głową. Każdy kolejny krok przychodzi mi z coraz większym trudem, mam wrażenie, że dziecko staje się coraz cięższe. Chcę powiedzieć małej, że znajdziemy jej mamę, ale nie znam suazyjskiego. I nie wiem, czy jej mama wciąż żyje.

Nagle ni z tego, ni z owego przypominam sobie o piosence. Chociaż nie śpiewałem jej od lat, nie zapomniałem słów. Być może jej melodia przyszła wraz z wiatrem, a może była w rytmicznym płaczu dziecka.

Zaczynam nucić *Nim świt obudzi noc*. Dziewczynka podnosi głowę i patrzy na mnie. Uśmiecham się, a ona znowu opiera głowę na moim ramieniu. Wydaje się spokojniejsza.

W miarę jak zbliżam się do zebranych nad brzegiem ludzi, docierają do mnie ich słowa w języku suazyjskim. Widzę, że pokazują coś na środku rzeki. Na strzelistym drzewie, stojącym w samym środku spienionej rzeki, są uwięzieni jacyś ludzie. To kobieta i dziecko. Nie... zaraz, jest jeszcze ktoś trzeci. To mężczyzna, wciąż przebywa w wodzie, uczepiwszy się do połowy zanurzonej w niej gałęzi.

Rozpoznaję go pomimo dzielącej nas odległości. To Tagoze.

– Panie Stuarcie, tutaj, tutaj!

Zerkam w tę stronę i widzę uśmiechniętą Adannę, z Precious i Abu u jej boku. Dzięki Bogu! Maluchy podbiegają do mnie. Precious obejmuje moją mokrą nogę.

– Och, Adanno, jakże się cieszę. – I zaczynam płakać.

– Proszę pana, ma pan krew na twarzy. Co się panu stało?

– Uderzyłem w coś, ratując tę małą dziewczynkę. Znasz ją? Odwracam twarzą do niej trzęsące się dziecko.

Oczy Adanny rozjaśniają się i woła:

– Tak! To Bisa, córeczka pani Malazy. Szybko, szybko! Proszę iść za mną. – Kieruje się w stronę tłumu i macha ręką, żebym szedł za nią.

– Kim jest pani Malaza? – Dlaczego jej nazwisko brzmi dziwnie znajomo?

– To siostra żony pastora Waltera. I jest tam. – Adanna wskazuje na stojące pośrodku rzeki drzewo. – Na drzewie, razem z Tagoze.

Podchodzę do brzegu, tak blisko, jak tylko mogę. Adanna, Precious i Abu nie odступują mnie ani na krok.

– Odsuńcie się od brzegu – mówię do nich i podnoszę dziewczynkę.

– Pani Malaza! Mam Bisę! Mam Bisę!

Pomimo iż krzyczę na cały głos, szum wody jest tak głośny, że kobieta niestety mnie nie słyszy. Zaczynam skakać jak szalony, machając wolną ręką.

Czuję, że stojący za mną ludzie są wyraźnie poruszeni, słyszę ich głośne westchnienia. Niektórzy zaczynają głośno wykrzykiwać imię dziewczynki i pokazywać na nią. Podnoszą małą jeszcze wyżej. Widzi mamę i zaczyna wołać: – Mamo!

Otoczający mnie ludzie zgodnym chórem powtarzają imię dziewczynki. W końcu Tagoze pokazuje na brzeg i pani Malaza zauważa swoją córeczkę. Dzieli nas spora odległość, więc nie wiem, jakie dokładnie uczucia malują się na twarzy kobiety. Widzę jednak, że wraca w niej życie. Jej sylwetka jest teraz bardziej wyprostowana i chwyta się gałęzi z większą siłą.

Stojące na brzegu kobiety podchodzą bliżej i zaczynają mnie ścisnąć, całując w zakrwawiony policzek. Mężczyźni kładą ręce na moim ramieniu, a potem w tradycyjny sposób ścisną moją dłoń i kłaniają mi się, wyrażając tym samym ogromny szacunek.

– Zrobił pan dzisiaj coś naprawdę wielkiego i dobrego. Bardzo, bardzo dobrego. – Adanna podchodzi do mnie z Abu na rękach, Precious stoi po mojej drugiej stronie. Wraz z zebrany tłumem patrzymy na stare okazałe drzewo. Ale w jaki sposób wydostaniemy ich z wody?

Tłum rozchodzi się na boki, gdy na głównej, tonącej w błocie drodze pojawia się kilka zielonych wojskowych samochodów i po chwili zatrzymuje z piskiem niedaleko brzegu. Wyskakują z nich mężczyźni w błękitnych mundurach i zaczynają rozładunek sprzętu ratunkowego, przypominającego ten, który widziałem na filmach o drugiej wojnie światowej – czółna, nosze, jakieś skrzynie, nie wiadomo z czym, oraz liny. Każdy z nich ma przy sobie broń, a jeden nawet karabin maszynowy z czasów drugiej wojny światowej.

Żołnierze ze służby ratowniczej raczej chodzą, niż biegną, więc wieśniacy pomagają im przyciągnąć sprzęt ratunkowy nad brzeg, naprzeciwko starego drzewa. Wszyscy rozmawiają po suazyjsku, niektórzy z mężczyzn w niebieskich mundurach najwyraźniej się kłócą. Siadam wraz z dziewczynką, którą wyciągnąłem z wody. Prąd jest wciąż bardzo silny, ale rzeka przynajmniej nie wzbiera.

I chociaż nie rozumiem suazyjskiego, widzę, że ratownicy są zagubieni. Zасыpują się nawzajem pytaniami i sugestiami, a wieśniacy przyłączają się do dyskusji.

– Co oni mówią? – pytam. Adanna siedzi tuż obok mnie ze skrzyżowanymi nogami.

– Mężczyzna w niebieskiej koszuli zapytał: „Zaczynamy, czy może jeszcze trochę poczekać?”, a mężczyzna z wioski mówi: „Czekaliście już zbyt długo, zaczynajcie”. Mężczyzna w niebieskim: „Nie lepiej poczekać, aż woda trochę opadnie?”. Człowiek w białej koszuli: „Nie, musielibyśmy czekać kilka dni!”. Jest zły.

Widzę, że coraz większa złość ogarnia mężczyznę z wioski.

– A teraz mówią o tym, że ludzie przebywają w wodzie już za długo i mogą dostać dreszczy.

– Ach, chodzi o hipotermię.

– Tak, mówią, że potrzebują do pomocy najsilniejszych mężczyzn, żeby szybko wyciągnąć ludzi z wody.

Powiedziano mi, że od pięćdziesięciu lat nie było w Afryce aż tak zimno, więc rzeczywiście istnieje poważne ryzyko wystąpienia hipotermii. Jednakże wydaje mi się to śmieszne. Przecież to po prostu zwykły, chłodny dzień.

Dyskusja przeciąga się do piętnastu minut, w końcu mężczyzna z największą liczbą odznaczeń na piersi podejmuje decyzję. Natychmiast rozpoczynają akcję ratunkową.

Kilka razy muszą rzucać linę, zanim Tagoze jest w stanie ją uchwycić. Kobieta obwiązuje nią najpierw chłopca.

– Trzymaj się liny, najmocniej jak potrafisz – powtarza tłum za ratownikami.

Adanna wstaje, żeby lepiej widzieć, a ja siedzę. Czuję pulsujący ból w plecach.

– Bisa, popatrz, to twój brat. – Dziewczynka nie odrywa oczu od drzewa.

Sprawdziwszy, że w górze rzeki nie widać żadnych niebezpiecznych elementów, mężczyzna w niebieskim mundurze daje sygnał i chłopiec zeskakuje z gałęzi do wody. Pięciu mężczyzn ciągnie go ku brzegowi, najszybciej jak potrafią.

Chłopiec wygląda jak ciągnięta po powierzchni wody przynęta. W ciągu pół minuty bezpiecznie dociera do brzegu. Wszyscy głośno wiwatują. Kobiety z wioski otaczają go i składają pocałunki na jego mokrych policzkach, a potem przyprowadzają go do mnie.

– Stuarcie, ja się nim zajmę. – Przedemną stoi Walter, nie mam pojęcia, skąd się tu wziął. Bierze chłopca na ręce i ściska go radośnie.

– Cześć, Walterze. Bisa też jest bezpieczna. – Wtulona we mnie Bisa ani drgnie.

Znowu rzucają linę w kierunku drzewa. Tagoze łapie ją za czwartym razem. Kobieta obwiązuje się nią w pasie i po otrzymanym sygnale wskakuje do wody z głośnym pluskiem.

Pięciu mężczyzn ciągnie ją do brzegu, tak szybko, że przypomina wyrzucony z działa pocisk. Chwilę potem jest już bezpieczna na brzegu.

– Zobacz, to twoja mamusia – szepczę do Bisy.

Idziemy do niej z Adanną. Pomimo iż ocieka jeszcze wodą, a jej ubranie pokryte jest roślinami i gałązkami z rzeki, natychmiast rusza w naszym kierunku. Biegnie jak olimpijka, a nie ktoś, kto omal nie stracił córeczki i własnego życia. Oddaje jej dziecko. Zanosząca się szlochom kobieta, przytula małą do piersi. Teraz gdy moje ramiona są puste, z serca wyrывa się nuta smutku.

– Jezus wysłuchał moich modlitw. Ocalił cię, ocalił cię – powtarza kobieta.

Wokół nas gromadzą się pozostałe kobiety, dolinę wypełnia głośne *Chwata Panu* oraz *Alleluja*, przypominające anielski śpiew. I znowu zaczynam płakać. Afryka zdjęła jakąś blokadę z moich kanalików łzowych i nagle stały się bardzo drożne.

Pani Malaza rozmawia z Adanną.

– Zapytała mnie, czy to pan ją uratował. Odpowiedziałam, że tak.

Kobieta pada na kolana i obejmuje moje nogi.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję – powtarza po angielsku. Jej podziękowanie sprawia, że coś we mnie pęka, zostają przerwane jakieś niewidzialne, krępujące mnie więzy. Jedną dłoń kładę na jej głowie, a drugą na główce Bisy.

– Niech Bóg wam błogosławi. On jest dobry. – To jedyne słowa, które przychodzą mi na myśl. Nie przestaję kwestionować bezsensu tej powodzi, niepotrzebnej śmierci oraz bestialstwa człowieka wobec człowieka. Po prostu robię wszystko, by uwierzyć – nawet jeśli potrwa to tylko chwilę – w to, że Bóg jest naprawdę dobry.

I kiedy tak się radujemy, rozlega się potworny huk. Na początku myślimy, że to grzmot, lecz ten huk roznosi się dookoła znacznie głośniejszym i dłuższym echem niż przy jakiegokolwiek burzy, którą przeżyłem. Wszyscy odwracają głowy w stronę rzeki, by ujrzeć jak owo majestatyczne drzewo – wiekowy i tak głęboko zakorzeniony symbol bezpieczeństwa oraz nadziei – łamie się na pół. A rzeka z łatwością unosi odłamane części.

Z ludzkich piersi wyrывają się okrzyki pełne niepokoju. Po drzewie został tylko trzymetrowy kawałek pnia, wystający z wody, oraz prawie prostopadła do niego, pojedyncza

krótka gałąź na jego szczycie. W tym samym momencie, gdy przychodzi mi na myśl, jak bardzo widok ten przypomina krzyż, uświadamiam sobie, że nigdzie nie widać Tagoze. Zniknął wraz z drzewem.

Rozdział dwudziesty drugi

Dwóch mężczyzn ze wsi oraz pięciu ratowników w niebieskich mundurach wyciąga rozdęte ciało Tagoze na brzeg. Słyszymy krzyk, wszyscy biegną w to miejsce. Wokół ciała Tagoze zbiera się tłum. Niektórzy pochylają się, by dotknąć jego czoła. Tutaj nie ma czegoś takiego jak lęk przed zmarłym czy umierającym człowiekiem.

Zmarł dobry człowiek. Wszystko nagle się zatrzymuje – nawet ratownicy przerywają na chwilę swoje działania. Kobiety zawodzą, oplakując Tagoze, zniszczoną ziemię i wszystkich, którzy ucierpieli. Stojący przy jego ciele mężczyźni padają na kolana i wyciągają ręce ku niebu, wołając do Boga.

Zachowuję pewną odległość. Czuję jednak stratę, jakbyśmy byli braćmi. Jest mi ciężko na sercu, nie tylko z powodu Tagoze. Oplakuję także los mieszkańców tej krainy. Coś jeszcze rozrywa moje serce. Coś, co miało miejsce tyle lat temu.

Uświadamiam sobie nagle, jak bardzo czuję się zmęczony. Padam na kolana, a potem na zabłoconą ziemię. Gorączka natychmiast porywa mnie do świata wspomnień.

Zamknięty w swoim pokoju, nasłuchuję odgłosów szalejącej za oknem burzy oraz deszczu bębniącego o rozpadającą się blaszaną wiatę. Przeprowadziliśmy się do Kalifornii, ponieważ mama dopiero co poślubiła nowego tatę.

Don służył w marynarce wojennej, miał stopień komandora porucznika. Zdobył wszelkie możliwe odznaczenia i nosił je dumnie na swoim nieskazitelnie białym mundurze. Paradował także w białej czapce z czarnym, błyszczącym daszkiem. Wtedy w każdym calu prezentował się jak patriota i wojskowy. Niestety nie wyglądał tak dostojnie, gdy znajdowaliśmy go z mamą upitego do nieprzytomności i rozwalonego bezwładnie w fotelu na ganku. Strużki śliny z jego ust ściekały na biały mundur.

Był potężny, potężniejszy niż większość dojrzałych mężczyzn, których znałem. Jego prawie dwumetrowa sylwetka znacznie górowała nad moją chłopięcą posturą. Miał miłą twarz i gęste, brązowe wąsy. Pamiętam jego długie kroki, z maksymalnie wyciągniętymi palcami stóp, niczym u maszerującej kaczki. Kiedy spulchniał ziemię spalinową glebogryzarką, na świeżej ziemi zostawały ślady jego dużych stóp. Szedłem za nim, porównując jego ślady do moich. Chciałem być taki jak on.

Miał owłosione i wytatuowane ramiona, pokryte bliznami. Na jego prawym ramieniu widniał emblemat batalionów inżynierii wodnej marynarki Stanów Zjednoczonych. Wyobrażałem sobie wtedy cały rój pszczół – pszczół strzelających z broni maszynowej. Jego ramiona były silne jak działa pokładowe. Jeśli był po twojej stronie, mogłeś spać spokojnie. Jeśli nie, to miałeś, czym się martwić.

Pewnego razu nasza nowa rodzina poszła do klubu w bazie marynarki wojennej. Miało to miejsce jeszcze przed ślubem mamy i Dona. Czułem się jak dojrzały mężczyzna, sunąc po parkiecie z piękną kobietą, blondynką o długich czarnych rękach i złotej skórze. Wyglądała jak jedna z modelek reklamujących kostiumy kąpielowe. Musiała mieć przynajmniej ze trzydzieści lat, ale moje młode serce biło przy niej niezwykle szybko. Byłem zakochany.

Nie miałem wątpliwości co do tego, że poślubię albo ją, albo moją nową wychowawczynię, panią McNulty. Ćwicząc na parkiecie swoje wywijasy, przystąpiłem do obrotu, którego do końca nie zaplanowałem. Zakończyło się to niestety tak, że upadłem twarzą na podłogę. Omal nie spaliłem się ze wstydu i wtedy zauważyłem jakieś zamieszanie przy barze.

Po mojej prawej stronie wybuchła walka. A mój przyszły ojciec brał w niej udział. Miał co prawda rozdartą koszulę, lecz posłał jakiegoś mężczyznę w powietrze. Człowiek ten przeleciał nad barkiem niczym jeden z moich papierowych samolotów i wylądował z hukiem na posadzce. Nie ruszał się. Na Dona rzucił się kolejny mężczyzna, lecz po chwili leżał już jak długi. Przypominał mojego zmarłego dziadka w trumnie, którego pochowaliśmy kilka tygodni wcześniej, z tą tylko różnicą, że nie miał na sobie brązowego garnituru. W tym dokładnie momencie Don stał się moim bohaterem. Był jak Conan Barbarzyńca. Wziął moją mamę pod ramię, a mnie otoczył drugą ręką i wyszliśmy spokojnie z baru, zupełnie jakby policja jednego z zachodnich stanów przysnęła owego sobotniego popołudnia.

Znowu jestem w swoim pokoju, deszcz nie przestaje padać. Mama i Don kłócą się w kuchni. Schodzę na dół, żeby sprawdzić, co się dzieje. Zerkam przez szparę w drzwiach, nie zauważają mnie. Don, wrzeszcząc na całe gardło, obrzuca mamę potwornie obraźliwymi słowami.

– Ty szmato! Nienawidzę ciebie i tego twojego głupiego bachora!

Po tych słowach pluje na nią i zaczyna okładać pięściami niczym wiertarka udarowa. Trafia ją w nos i po kuchni rozbryzguje się jej krew. Nie wiem, co robić. Jestem przerażony. Mój bohater stał się dla mnie wrogiem.

Okładam go pięściami po nogach i brzuchu. Żałuję, że nie jestem wyższy i nie mogę tak mu dołożyć, żeby już nigdy do nas nie wrócił.

– Zostaw ją! Zostaw ją! – krzyczę. – Dlaczego to robisz, tato?

I od razu chciałbym cofnąć to słowo. On nie jest moim tatą. To potwór, nienawidzę go. Spogląda na mnie ze złością. Nienawidzi mnie, wiem to. I nic nie mogę zrobić, żeby to zmienić.

Cios przychodzi tak szybko, że nawet nie mam czasu się odchylić. Dostaję prosto w twarz. Przelatuję przez kuchnię jak jeden z kamyków, które posyłałem często z procy w kierunku księżycy.

Sięgam dłonią do ust, otwieram je i wypluwam ząb. Widzę jasnoczerwone pasemka w ślinie. Z moich ust leci krew. Mama podbiega do mnie i robi, co może, żeby mi pomóc. Obydwoje krwawimy i jesteśmy przerażeni.

Biegnę do pokoju, najszybciej jak mogę. Siedzę tam kilka dobrych godzin, dopóki nie zaczyna grzmieć. Przechodzę cicho obok zamkniętych drzwi od sypialni mamy – słyszę, że pociąga nosem i szlocha – a potem przez kuchnię i wybiegam na dwór tylnym wyjściem. Stoję tak w letnim deszczu, pozwalając, by mnie obmywał. Zaczynam iść... Wzbiera we mnie coraz większy gniew. Jestem zły na wszystko i na wszystkich, a szczególnie na Boga. Dlaczego Bóg pozwala Donowi tak nas krzywdzić, dlaczego nic nie robi?

– Stuarcie, wszystko w porządku?

To Gordon, jest cały w błocie.

– Tak, nic mi nie jest. Tylko... jestem zmęczony.

– Co tu się dzieje? – Kiwa głową w kierunku gromady ludzi.

– To Tagoze. Nie żyje.

– O słodki Jezu, nie.

– Uratował chłopca i jego mamę. Ryzykował własnym życiem... Stracił je, żeby ich ocalić.

Przypominam sobie to, co powiedział któregoś dnia. Czy to było wczoraj?

Straciłem, najbliższych w pożarze. A teraz płonie we mnie ogień przynaglający mnie do pomocy moim rodakom. I chociaż jestem tylko zwykłym człowiekiem, nie przestanę próbować.

Gordon kręci głową.

Kładę rękę na jego ramieniu i obydwaj podchodzimy do zebranych ludzi, wyciszyli się już trochę.

– Gordonie, co oni teraz zrobią?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Zauważa mnie pani Malaza. Mówi coś do Gordona po suazyjsku.

– Stuarcie, to ty uratowałeś jej dziecko!

Od razu przypominam sobie tego dziwnego mężczyznę, stojącego na brzegu.

– Miałem pomoc – uśmiecham się do kobiety i jej córeczki Biszy, zerkającej nieśmiało w moim kierunku.

Tłum rozchodzi się powoli. Zauważamy pastora Waltera i Adannę, stojących nad ciałem Tagoze. Do Adanny podbiega drobna dziewczynka, mniej więcej w jej wieku i rzuca się jej na szyję. Ma białe stopy i podarte ubranie, a z jej nogi cieknie krew.

– Tobile! – Adanna ściska dziewczynkę.

Tobile spogląda w dół i najwyraźniej rozpoznaje Tagoze.

– Dlaczego Bóg zabiera takich dobrych ludzi? Dlaczego nie zabiera tych złych? – pyta przez łzy.

Ja także zadaję sobie to pytanie.

Gordon wyjmuje notes i zaczyna coś w nim pisać. Tym razem jednak nie pisze tak szybko, jak zawsze, obawiając się, że długopis może nie nadążyć za jego myślami. Píše powoli, z namysłem. Zastanawiam się, jakie słowa mogą uchwycić rozmiar otaczającej nas tragedii.

– Wyjmij aparat – mówi. Nie brzmi to jak żądanie. W jego głosie pobrzmiwa smutek. Wzdramam się na myśl o tym, lecz tylko przez chwilę.

Ma rację. Muszę uwiecznić twarz Tagoze. Muszę zrobić zdjęcie szwagierce pastora Waltera i Biszy. Muszę utrwalić wszystkie te ciała i cały ten chaos oraz udręczenie, które przyniosła woda. Po to tu jestem. Na tym polega moja praca.

Idę brzegiem w kierunku samochodu. Mam wrażenie, że moje nogi są z betonu. Przechodzę obok martwych ciał, niektóre z nich wyglądają tak, jakby ucięły sobie popołudniową drzemkę. Zatrzymuję się przy jednym z nich.

Obok tego ciała stoi kobieta. Pomaga przy przenoszeniu zmarłych. Dokąd? Nie wiem. Być może będzie wiedziała coś więcej.

– Przepraszam, czy mówi pani po angielsku?

– Tak.

– Zna pani tego człowieka?

– Tak, to Malako Umbeni.

Wiedziałem. To wujek Adanny. Na jego wzdętym ciele widać sińce i zadrapania. Nie wszystkie zadał mu śmiertelny dla niego żywioł.

– Był złym człowiekiem – dodaje kobieta, a potem spogląda na jego ciało takim wzrokiem, jakby chciała nań splunąć.

– Tak, wiem. – Widok jego martwego ciała przynosi mi pewną satysfakcję, zarazem jednak jestem zdumiony obecnością zakradającego się do mojego serca smutku. Być może dostał to, na co zasłużył. Jednakże teraz już nie ma dla niego szansy poprawy.

Wzrok kobiety wędruje w tył, za moje plecy. Odwracam głowę i widzę drugą kobietę. Jest wysoka, w jej oczach maluje się jakaś zimna pustka. Obejmuje mnie wzrokiem, od stóp po czubek głowy.

– D, przykro mi z powodu twojego męża – mówi stojąca przede mną kobieta.

A więc to ciotka Adanny. Kiwam głową na powitanie i odchodzę na bok. Na jej twarzy nie ma śladu łez, żadnego żalu. Trąca martwe ciało nogą, jakby chciała sprawdzić, czyjej mąż rzeczywiście nie żyje. Jej mina mówi raczej o uldze.

Wycofuję się powoli, z każdym krokiem coraz bardziej zapadając się w błoto. Całe moje ciało pokryte jest czarną afrykańską ziemią.

– Panie Stuarcie! – Odwracam się i widzę biegnącą ku mnie Adannę. Gdy tylko zauważyła swoją ciocię i... wujka, staje jak wryta.

Stoi i patrzy na ciotkę, przez chwilę żadna z nich ani drgnie. Po czym Adanna podchodzi bliżej i obejmuje okazały tułów kobiety swoimi szczupłymi ramionami. Kobieta jeszcze przez chwilę stoi nieruchomo, a potem zaczyna łkać. Przytula Adannę i obsypuje jej głowę pocałunkami.

Ściereczką z samochodu wycieram ręce z błota i wyciągam sprzęt. Czuję się tak zmęczony, że mam jedynie ochotę zaszyć się w samochodzie i spać co najmniej rok. Przymocowuję jednak kamerę do trójnożnika i wracam nad brzeg rzeki, stawiam sprzęt i zaczynam robić zdjęcia.

Klatka po klatce dokumentuję ludzką rozpacz. Tagoze leży na wznak, ma opuchniętą twarz i wzdętą klatkę piersiową. Ktoś złożył mu ręce na piersiach. Jednym pstryknięciem uwieczniłem śmierć bohatera. Przekręcam aparat i widzę Waltera idącego wraz z żoną i szwagierką. Nie zauważają mnie, lecz gdy patrzę przez obiektyw, dostrzegam małą Bisę, spogląda wprost na mnie. A tuż za nią rozpoznaję znajomą postać: jasne włosy, złocista skóra i niebieskie oczy. To ten sam mężczyzna, który pomógł mi wydostać się z rzeki. Uśmiecha się. Robię ujęcie. Rozlega się głośny grzmot i odwracam głowę, tylko na chwilę. Lecz gdy znowu patrzę w tamtą stronę, widzę już tylko uśmiechniętą Bisę, a po mężczyźnie nie ma ani śladu.

Wracamy do hotelu, na drodze jest mnóstwo błota i wybojów.

– Stu, musimy szybko opisać całą tę sytuację. Ci ludzie potrzebują pomocy.

– Tak. Gordonie, czy kiedykolwiek widziałeś w wiosce mężczyznę o jasnych włosach i niebieskich oczach?

– Czyli kolorowego? Tutaj takich nie ma, można ich spotkać tylko w RPA.

– Co? Nie, miał dosyć ciemną skórę.

– Nie, nigdy nie widziałem kogoś takiego. Możesz zapytać Waltera – on zna tu wszystkich.

Hamulce zgrzytają głośno, gdy zatrzymujemy się przed Mountain Inn, czekając na otwarcie bramy. Wita nas dozorca, jak zawsze uśmiechnięty, najwyraźniej nie ma pojęcia o dzisiejszej tragedii. Gdy wysiadamy z samochodu, cali w błocie i mule z rzeki, obrzuca nas rozbawionym spojrzeniem.

– Powódź – komentuję krótko.

Zerka na nas z zaciekawieniem.

– Powódź z Matsapha – tłumaczę, jakby należały mu się jakieś wyjaśnienia.

– Miło znowu panów widzieć.

Rozdział dwudziesty trzeci

Następnego ranka wyglądam z hotelowego okna. Jedynym śladem po powodzi, który zauważam, jest unosząca się nad wilgotną ziemią gęsta mgła.

Nie mogę uwierzyć, że jest aż tak późno – dziewiąta rano. Mam wrażenie, jakby ktoś posypał moją ranę prochem strzelniczym i plecy były całe w ogniu. Sam nie wiem, jak przetrwałem tę kąpiel w rzece. Wchodzę do łazienki. Na dnie wanny widoczne są pozostałości po wczorajszym prysznicu, ciemna organiczna substancja, zupełnie jakby ktoś przykleił ją do dna jakimś supermocnym klejem. Przeczesałem palcami włosy i od razu przypominam sobie o guzie na czole.

Słyszę, że dzwoni moja komórka.

– Halo.

– Cześć, Stuarcie! Jak się czujesz? – To Gordon, znowu słycać radość w jego głosie.

– Gorzej niż na kacu. A ty?

– Identycznie. Przygotowałem specjalny balsam z krwawnika na twoją ranę, przywiozę ci go. Przyspieszy gojenie i zapobiegnie infekcji.

– Wystarczy kawa i Advil, tak czy inaczej dzięki.

– Będziesz miał i to, i to – śmieje się. – Zjawię się około południa i pojedziemy do punktu żywnościowego Waltera. Zostawiłem samochód u mechanika, więc będzie gotowy do jazdy. Od szóstej rano pracuję nad artykułem, chcę go wysłać jak najszybciej.

– No tak, muszę jeszcze przejrzeć zdjęcia i przesłać na serwer w Stanach. Wyślij mi artykuł, gdy będzie gotowy.

– Dobrze. Boże, miejmy nadzieję, że to okaże się pomocne w całej tej sytuacji. – Zabrzmiało to raczej jak modlitwa niż zwykłe stwierdzenie.

– Ja też mam taką nadzieję.

Zamawiam kawę, włączam komputer i wyciągam aparat. Nie zdążyłem jeszcze podłączyć aparatu do laptopa, a tu już rozlega się delikatne pukanie do drzwi.

– Kawa dla pana.

Otwieram drzwi, ubrany na biało kelner wprowadza do środka wózek ze srebrnym dzbankiem do kawy, śmietanką, cukiernicą i filiżanką, a wszystko to starannie ustawione na tacy. Dołączyli jeszcze półmisek z owocami, dwa kawałki ciasta, ser oraz jakieś jagody.

– Dziękuję. – Sięgam do kieszeni, w której mam kilka suazyjskich monet, i daję mu napiwek.

– Och, dziękuję panu. Proszę dać znać, gdyby pan czegoś jeszcze potrzebował. – Obsługa hotelowa jak zawsze gotowa do usług i kompetentna.

Przeoglądam i przesyłam zdjęcia, uważając, żeby nie pobrudzić laptopa. Niektóre ze zdjęć są wprost idealne dla *Timesu*. Matka i dziecko na drzewie, zwisający nad spienioną wodą. Więcej ludzi zawieszonych na drzewach, na ich twarzach maluje się rozpacz. To z rowerem do góry kołami może otrzymać wyróżnienie.

Docieram do zdjęcia zrobionego tuż przed zachodem słońca. Są na nim pastor Walter oraz jego szwagierka wraz z dziećmi. Niesamowite ujęcie, pełne uczuć i istotnych szczegółów, przykuwających uwagę. Na twarzy Waltera widać pot i błoto. Nigdzie niestety nie ma ciemnoskórego człowieka z niebieskimi oczami. Robię zbliżenie na to miejsce, w którym powinien być, lecz jest tam tylko plama. Czyżby to tylko gra światła? Jestem jednak pewny, że go widziałem.

Znowu dzwoni moja komórka. To Gordon.

– Właśnie wysłałem artykuł do Billa i do ciebie. Powinieneś otrzymać go lada chwila. Zobaczymy się w południe.

– Tak, przeglądam go. Halo? – Gordon rzadko kończy rozmowę pożegnaniem, nigdy więc nie mam pewności, czy to już koniec, dopóki nie zauważę, że nikt mi nie odpowiada. Czytam pierwszą część artykułu i kończę przesyłanie zdjęć.

Matsapha, Suazi, 14 lutego. Nagła powódź w południowej części Manzini, największa od dziewięciu lat, zmusiła rzesze mieszkańców do opuszczenia domów i ucieczki na wyżej położone tereny. W okolicy Mankayane ludzie musieli uciekać na drzewa, żeby uniknąć fali powodziowej.

Na razie mówi się o setkach ofiar, jednakże lokalne służby ratownicze obawiają się, że to będą tysiące. Na dotkniętym klęską obszarze panuje głód, prawie połowa tutejszej ludności jest zarażona wirusem HW, a liczba zachorowań na AIDS rośnie bardzo szybko. Obecnie powodzianie nie mają żadnych środków do życia. Rząd suazyjski twierdzi, że niepotrzebna jest jeszcze pomoc międzynarodowa.

Trwa połowa okresu deszczowego, w prognozach pogody zapowiadano obfite opady, ale nie było żadnego ostrzeżenia przed powodzią. W ostatnich latach teren był dotknięty klęską suszy.

– Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego. Fala powodziowa była ogromna i przysłała bardzo niespodziewanie, zmiatając wszystko po drodze – mówi jeden z tutejszych mieszkańców, Walter Malaza, prowadzący punkt pomocy dla sierot. – Ostatnio zmarło bardzo wielu chorych na AIDS, ledwie zdążyliśmy ich pochować przed tą powodzią, ale teraz... – Wzdłuż brzegów rzeki leżą setki ofiar powodzi bądź ciał z rozmytych grobów.

Czytając artykuł, uświadamiam sobie, że żadne słowa nie są w stanie oddać rozmiaru tutejszej tragedii. Zdjęcia na pewno pomogą, ale zaczynam wątpić, czy historie, takie jak ta, cokolwiek zmienią.

Dokładnie w południe pod hotel zajeżdża Gordon swoim land cruiserem. Wskakuję na siedzenie pasażera. Rzuca mi jakiś mały pojemnik.

– Od razu posmaruj sobie tym ranę. To koncentrat, więc nie musisz brać dużo. Na początku będzie trochę szczypać, ale na pewno pomoże w gojeniu. No i zapobiegnie infekcji.

W pojemniku jest coś, co przypomina żółty lukier i pachnie jak dział zielarski sklepu ze zdrową żywnością. Whitney lubi tam chodzić.

– To maść z krwawnika. Są tam też i inne składniki, zmielone chryzantemy, pokrzywy. Mówię ci, po prostu spróbuj.

Nabieram odpowiednią porcję i wcieram w plecy, w okolice rany.

– Au! – Rzeczywiście nieźle szczypie, a wręcz parzy jak ogień.

– Wkrótce poczujesz się lepiej. Już jutro mi podziękujesz – mówi Gordon ze śmiechem.

Pieczenie ustępuje powoli.

– Dobry artykuł – oświadczam z grymasem na twarzy.

– Jakie zdjęcia wysłałeś? – Samochód aż podskakuje, gdy Gordon stara trzymać się wyżej położonych terenów.

– Ludzi wiszących na drzewach oraz to z Walterem, jego szwagierką i dziećmi.

– A Tagoze?

– Nie wysłałem tego zdjęcia. Nie było wystarczająco wyraźne. To kłamstwo. Zdjęcie było niezwykle wyraźne, niesamowite i poruszające. Nigdy jeszcze nie zatrzymałem zdjęcia, które uważałem za świetne. Aż do wczorajszego wieczora. – A jeśli chodzi o tamto – no wiesz, to z Bizą...

– Tak? – zerka na mnie.

– Pamiętasz, jak pytałem cię, czy znasz pewnego mężczyznę, tego, który pomógł nam wydostać się z rzeki?

– Hm, tego z niebieskimi oczami?

– Tak, byłem pewny, że stał za nią, gdy robiłem zdjęcie. Ale tam go nie ma.

– To znaczy?

– Po prostu go nie ma.

– Być może spojrzalesz na chwilę w innym kierunku, a on najzwyczajniej odszedł, zanim zdążyłeś je zrobić.

– Nie, cały czas patrzyłem przez obiektyw. Zawsze tak robię.

– O rany! Nie zamierzałem podważać twoich kompetencji. Chyba wjechaliśmy w jakąś głęboką dziurę, bo omal nie uderzyłem głową o podsufitkę.

– Był tam, a teraz go nie ma. Nie mam co do tego wątpliwości.

– Może to był duch... albo anioł.

– Tak, widuję duchy zmarłych. – Gdy tylko kończę to zdanie, od razu wiem, że to było bardzo niewłaściwe z mojej strony. Na szczęście Gordon nie wygląda na urażonego, a wręcz śmieje się pod nosem.

– To bardzo wyjątkowe doświadczenie, prawda?

– Czyli? Chodzi ci o to, że omal nie utonąłem, czy o człowieka, który znika z mojego zdjęcia?

– I o to, i o to. A nawet więcej. O całą tę podróż. To niezwykła przygoda, co?

– Robię to od dawna. Każda podróż jest inna.

– Ale ta jest wyjątkowa... różni się od innych.

– Dlaczego?

– Byłeś w różnych zakątkach świata?

– Zgadza się.

– I widziałeś różne rzeczy – te najlepsze i te najgorsze, które ma nam do zaoferowania świat.

– Szczególnie te najgorsze.

– Co więc o tym myślisz, Stuarcie? Co tak naprawdę zaprzęta twoje myśli od kilkudziesięciu ostatnich godzin?

– Poczekaj, nie za bardzo cię rozumiem.

– Co przeważa pośród twoich uczuć i myśli?

– No co ty, bawisz się w psychoanalityka?

– Żeby przeżyć w Afryce, musisz naprawdę się starać. A więc powiedz mi, jak sobie z tym radzisz?

– Hm... zadaję sobie ostatnio ważne pytania. Między innymi o sens tego wszystkiego. Zastanawiałem się także, gdzie w tym jest Bóg. To znaczy, czy jedynie stoi z boku i patrzy, jak stworzony przez niego świat rozpada się w kawałki... A modlitwa Adanny podczas burzy? Wtedy byłem pewien, że On słucha.

– I co, czujesz się nieco zagubiony?

– Delikatnie mówiąc.

– Zastanawiasz się...

– Tak.

– ... i szukasz odpowiedzi?

Tak. Ale po co?

– Biblia mówi, że Bóg ma plan wobec każdego człowieka i że cierpi razem z nim. Rzuca mi jakiś zeszyt, który widziałem w szpitalu. To pamiętnik Adanny.

– Adanna zostawiła go w samochodzie, nie mogłem się oprzeć i zajrzałem do środka. Jest niezwykłą pisarką i poetką. Ma niesamowity talent. Przeczytaj stronę, którą zaznaczyłem.

Przede mną rozciąga się jasna ścieżka, mężczyzna pełen światła rozkłada ramiona. Moje dało jest przy duszone i rozdierane przez jakiegoś złego człowieka, potwora, aleja czuję miłość płynącą od świetlanego mężczyzny. I pytam: – Czy mogę iść do domu? – A on odpowiada: Nie, jeszcze nie teraz. Ale pamiętaj o darze, o twoim zadaniu. – I wtedy przysłała Tagoze, by mnie ocalił.

Przeglądam pamiętnik, jego zapisane słowami kartki.

– To jest naprawdę niezłe.

– Stu, musimy zrobić o niej reportaż. Uważam, że powinien zamykać naszą serię. I jest jeszcze coś.

Wjeżdżamy na polanę i nasza rozmowa się urywa. Gordon jest równie zszokowany jak ja. Wokół kościoła siedzą skuleni ludzie – mężczyźni, kobiety oraz dzieci. Nikt nie biega, nikt się nie bawi. Siedzą nieruchomo, w zupełnym milczeniu. Przypominają bezradnych uchodźców z obozów. Na ich twarzach maluje się całkowita bezradność i posłuszeństwo wobec nieodwołalnej potęgi śmierci. Zbyt często widziałem to w krajach rozdartych konfliktami zbrojnymi.

Po mojej prawej stronie znajduje się z pięćdziesiąt świeżo wykopanych grobów, z kopcami ziemi leżącymi przy boku każdego z dołów. Przez chwilę siedzimy w samochodzie. Gordon zbladł.

– O nie, jest gorzej, niż myślałem.

Gdy tylko otwieram drzwi i moja noga dotyka ziemi, od razu jestem otoczony przez gromadę kobiet i dzieci. Znam kilka z nich, łącznie z dwiema, które odpowiadają za rozdzielanie żywności jeśli oczywiście jest czym się dzielić.

– Proszę, pomóżcie nam – błagają.

– Czego potrzebujecie? – Gordon od razu przechodzi do szczegółów.

Jedna z kobiet podchodzi do Gordona.

– Potrzebujemy świeżej wody. Nie mamy co jeść. Bez tego nie przeżyjemy. Tylko spójrzcie na nasze dzieci.

Bardzo wiele z nich wygląda na chore i odwodnione. Kilkoro siedzi na ziemi zupełnie nago, inne mają na ciele rany i zadrapania. Dwoje małych dzieci leży na plecach pod drzewem. Trudno powiedzieć, czy w ogóle jeszcze żyją.

Ulewa zmyła resztki upraw, które mieli. Za zabłoconymi chatami nie widać już małych poletek kukurydzy. Z samych chat pozostały tylko zniszczone fundamenty, parę kamieni i blaszane dachy.

– Zobaczę, co da się zrobić. – Gordon wyciąga okazałych rozmiarów telefon satelitarny. Te aparaty wszędzie mają zasięg.

Ludzie robią przejście, tak żebyśmy mogli wyjść z samochodu.

Walter od razu podchodzi do mnie. Wygląda jak ktoś, komu dano porządny wycisk. Mogę jedynie sobie wyobrazić, przez co ostatnio musiał przejść.

– Dzięki Bogu, że wróciłeś, Stuarcie.

– Walterze – obejmuję go ramieniem. – Chciałbym, żeby okoliczności były lepsze, ale cieszę się, że znowu cię widzę. – Na jego pomarańczowej koszuli w kratkę zauważam zaschnięte błoto i liście. Zerkam na swoje czyste ręce oraz świeżo wypraną koszulę i czuję się zażenowany. Jak ja przy nim wyglądam i przy tych wszystkich ludziach? Walter najwyraźniej nie zwraca na to uwagi.

– Tak, dziękuję ci bracie. I dziękuję za ocalenie Bisy, siostrzenicy mojej żony. Oszczędziłeś nam jeszcze większego bólu.

– Żałuję, że nie mogę więcej pomóc.

– Na pewno wiesz, że wielu z tych ludzi od dawna nic nie jadło.

Kiwam głową.

– Ta powódź jeszcze bardziej pogorszyła sytuację. Nie mamy nic do jedzenia, zupełnie nic i do tego powiedziano nam jeszcze, że woda w naszych studniach jest skażona. Nie możemy więc pić wody także z rzeki.

– Czyli nie macie już nic do jedzenia. Zupełnie nic? Ani nawet wody?

– Nic, zupełnie nic. Musimy coś z tym zrobić. Dookoła jest tyle wiosek – tyle ludzi, tyle dzieci, które potrzebują pomocy. Jeśli im nie pomożemy, mnóstwo z nich umrze. Jesteśmy jak stado owiec, o których rząd zupełnie zapomniał.

Przypomina mi się sytuacja w Nowym Orleanie po huraganie Katrina – ogrom zniszczeń i nieudolne wysiłki służb ratowniczych, ale chociaż starali się pomóc. Przynajmniej media mówiły o tej klęsce. Uświadamiam sobie, że w tym kraju jest zupełnie inaczej.

– Wszystko, co możemy zrobić, gdy przychodzą do nas dzieci z prośbą o pomoc, to odesłać je z nadzieją, że jutro będziemy mogli coś im dać.

Gordon podchodzi do samochodu, a za nim podąża sznur kobiet i dzieci.

– Dzwoniłem do znajomych w Mbabane i Nowym Jorku. Niestety nie mogli obiecać, czy będą w stanie nam pomóc. Przykro mi.

– Dziękuję. Jesteś naprawdę dobrym człowiekiem. Wiem, że masz sporo kontaktów. Bóg jeszcze nam pomoże przez ciebie.

– Ilu ludzi potrzebuje pomocy? – Gordon próbuje zebrać jak najwięcej konkretów.

Walter odwraca się i zerka za siebie. Jak na zawołanie dziesiątki ludzi z okolicznych wiosek wspinają się na wzgórze, zmierzając w naszym kierunku.

– Zupełnie jakby ktoś ich powiadomił – stwierdzam.

– Dokładnie – Walter uśmiecha się pomimo całej tej sytuacji. Mamy naprawdę zaawansowany system komunikacji. Gdy tylko przyjechaliście, jeden z chłopców powiadomił tłum. Ktoś pobiegł dalej, i tak oto mamy ich wszystkich.

– Dla mieszkańców tego kraju – zwraca się do mnie Gordon – biali ludzie oznaczają albo problemy, albo nadzieję. Kiedy wszystko zawodzi, lepiej wybrać nadzieję.

– Ale my nie możemy dać im nawet cienia nadziei.

Pastor Walter kręci głową.

– Co więc zrobimy?

Stoimy tak we trzech, czując pełną bezradność, podczas gdy napływający tłum gęstnieje z każdą chwilą. Niezwykle dziwna scena, coś w stylu *Świtu żywych trupów*.

Przebiegam szybko wzrokiem po tłumie.

– Widzieliście Adannę i jej rodzeństwo?

Gordon także mierzy tłum wzrokiem, badając sytuację.

– Szukałem ich, ale nic z tego.

– Nie, dzisiaj jej nie widziałem – odpowiada Walter i zaczyna iść w kierunku zbliżającego się tłumu. Gordon podąża za nim.

– Wrócę za chwilę – rzucam bez namysłu.

Droga do chaty Adanny zajmuje mi teraz nie dziesięć, ale dwadzieścia minut. Wszędzie jest pełno błota: na drzewach, kaktusach, diabelskich krzakach i skałach. Na drodze jest mnóstwo kałuż, mniej więcej co dziesięć kroków.

Zerkam w dół na dolinę i dopiero teraz naprawdę dostrzegam ogrom zniszczenia. Tam, gdzie kiedyś stały chaty, leżą jedynie stosy drewna i gałęzi. Gigantyczne drzewa wyglądają tak, jakby powyrywał je jakiś olbrzym i porzrzucał na boki, niczym zwykłe zielsko.

W oddali widzę dom Adanny. To jeden z niewielu, który przetrzymał burzę.

– Dzięki Bogu – szepczę.

Jestem coraz bliżej i wprost nie mogę uwierzyć w to, co widzę. Przed chatą znajduje się ponad dwadzieścioro dzieci, siedzą w grupkach po troje lub czworo i jedzą coś gotowanego. A pomiędzy nimi przemyka Adanna niczym wróżka z fundacji „Spełniamy marzenia”. W dłoniach trzyma chleb i słoik dżemu.

– Adanno! – wołam, żeby powiadomić ją o swojej obecności. Wszystkie głowy odwracają się w moją stronę.

– Pan Stuart! Co pan tu robi? – Precious i Abu natychmiast podbiegają do mnie i obejmują za nogi. Śmieję się, po raz pierwszy od wielu dni. Ściskam Precious i biorę Abu na rękę. Torba z aparatem ociera się o moją ranę, ignoruję ból.

– Adanno, czyja dobrze widzę? Wygląda na to, że prowadzisz tu mały pensjonat?

– Co takiego?

– Miejsce, w którym ludzie zatrzymują się na nocleg, a rano częstowani są śniadaniem. – Uświadamiam sobie, jak nedorzecznie musi to dla niej brzmieć.

– Ach, o to chodzi. Dał mi pan dużo jedzenia, więc się nim dzielę.

– Ale to jedzenie było dla ciebie. Wszystko już zużyłaś?

Kiwa głową.

– Co więc ty, Abu i Precious zjecie wieczorem?

– Nie mam pojęcia. Nie myślałam jeszcze o tym. Te dzieci też były głodne. – Macha w ich kierunku, jakby im błogosławiła. Niech pan się nie martwi. Bóg zatroszczy się o nas.

– Nic sobie nie zostawiłaś?

– Nie.

Kręcę głową i wzdycham głośno.

– Czy jest pan na mnie zły?

– Oczywiście, że nie. – Czuję się strasznie głupio z powodu swojej reakcji. – Skarbie, jakbym mógł być na ciebie zły? Coś wymyślimy.

Stawiam Abu na ziemi i dla żartu klepię go lekko w tyłek, a on biegnie z powrotem do swoich znajomych. Precious stoi tuż obok i zerkając na mnie, naśladuje każde pojedyncze słowo Adanny.

– Adanno, czy mogę zrobić kilka zdjęć tobie i tym wszystkim dzieciom?

Wygląda na zażenowaną i instynktownie zaczyna wygładzać zagniecenia na spódnicy. Widzę, że ją uprała.

– Tak. Dobrze – mówi, jakby chciała samą siebie zapewnić, że się zgadza. Przez obiektyw widzę, jak pochyla się nad niewiele od siebie młodszym dzieckiem. Dzisiaj wydaje się znacznie bardziej dojrzała i zarazem jeszcze słabsza. Cofam się, żeby uchwycić całą scenę. Dzieci są tak bardzo skupione na jedzeniu, że przestają mnie zauważać, poza małą Precious.

– Precious, moja maleńka, może pójdziesz pomóc siostrze, a ja zrobię wam zdjęcie, dobrze?

– Precious, chodź do mnie – woła Adanna niczym matka. Precious jednak ani drgnie. Zaczynam się śmiać.

– Niech zostanie – odpowiadam Adannie. Precious zerka na mnie i uśmiecha się. Robię dziesiątki zdjęć wychudzonym dzieciom w podartych i oblepionych błotem ubraniach, wdzięcznym za odrobinę jedzenia. Dla nich istnieje tylko ta chwila. Oglądanie się za siebie byłoby zbyt bolesne, a patrzenie w przyszłość – bezsensowne. Nigdy jeszcze nie czułem się aż tak zaangażowany i bezradny zarazem.

Pochylam się i pozwalam Precious popatrzeć na świat przez obiektyw.

– Rączki połóż tutaj, spójrz przez to małe okienko, a potem naciśnij przycisk, gdy będziesz chciała zrobić zdjęcie. – Jest drobna, podobnie jak Adanna, ale ma silny charakter. Nie można jej do niczego zmusić. Powoli ogląda świat przez obiektyw, zatrzymując ruch, gdy widzi siostrę. Adanna obejmuje nas zagadkowym spojrzeniem.

– Mam. – Wciska przycisk. Gdyby to była Ameryka, powiedziałbym, że jako piętnastolatka założy własną firmę. Tutaj jednak nie jestem w stanie myśleć o przyszłości. Potrzeba danej chwili zmusza mnie, by przeżywać ją wraz z dziećmi. To daje dziwny spokój.

Myślę o Gordonie pragnącym opisać historię Adanny. Jej pamiętnik wciąż jest w samochodzie.

- Dobra robota, pani asystentko – chwałę Precious, a Adanna uśmiecha się do nas.
- Nagle słyszę jakiś krzyk i odwracam się szybko. Mały chłopiec i dziewczynka pędzą niczym strzały, wołając głośno: – Przyjechali! Przyjechali, chodźcie szybko!
- Kto przyjechał?
- Wielkie ciężarówki! Przyjechali żołnierze. Pomogą nam!

Rozdział dwudziesty czwarty

Każdy kolejny krok przypomina uwalnianie się z wielkiego wciągającego cię bagna.

– Przyjdę za kilka minut – woła za mną Adanna, gdy mozolnie schodzę ze wzgórza, ślizgając się po błotnistym gruncie. Dwoje małych gońców mknie przede mną, a błoto aż tryska spod ich stóp. Nie jestem w stanie dotrzymać im tempa.

Dziwnie się czuję, zostawiając tu ją samą z dziećmi. To jasne, że nie mają powodów do pośpiechu. Mogą tu coś przekąsić i odpocząć trochę. Po zejściu ze wzgórza mam buty całe w błocie, lecz scena, którą widzę, sprawia, że zapominam o tym.

Cały krajobraz zdominowały potężne ciężarówky o osiemnastu kołach. Na każdej z nich widnieje rzucający się w oczy, niebieski napis „Pomocna dłoń”. Mają za sobą dosyć trudną podróż, biorąc pod uwagę wszystkie te wyboje i kamienie.

Dzieci w milczeniu wpatrują się w samochody, jakby te były co najmniej latającymi obiektami spoza ziemskiej przestrzeni. Zebrane w grupki kobiety ściskają się wzajemnie i podskakują z radości. Tłum gęstnieje z sekundy na sekundę, a radosny pomruk staje się coraz głośniejszy.

Gordon ma przy sobie notes. Rozmawia z mężczyzną w garniturze, trzymającym podkładkę do pisania. Wciąż ma w uszach słuchawkę Bluetooth. Wyjmuję aparat. Oto mamy do czynienia ze świętymi, którzy przynoszą dary z nieba. Co za dzień. To będzie niezła historia.

Drużyna składająca się z dwudziestu mężczyzn w niebieskich spodniach i białych koszulkach zachowuje się jak profesjonalna grupa rozładunkowa. Ich ruchy są automatyczne, rozstawiają stoły i odgradzają obszar. Podchodzę do Gordona.

– Gordonie, to niewiarygodne. Nie sądziłem, że pomoc nadejdzie tak szybko.

– Nie wierz wszystkiemu, co widzisz.

– O czym ty mówisz?

– Mamy tu do czynienia z góry ustalonym programem.

– Programem? Czy można w ogóle mówić o jakimś harmonogramie, gdy pomaga się ludziom i dostarcza im jedzenie?

– Nie wiem dokładnie, jakie są założenia. Być może to ludzie z otoczenia króla i chodzi o jakiś polityczny chwyt.

– Jesteś zbyt podejrzliwy.

– Obyś miał rację.

W przeciągu paru chwil towar jest rozładowany. To dziwne, że stworzono granicę oddzielającą ludzi od zaopatrzenia. Długie stoły, przy których stoją mężczyźni i kobiety w niebieskobiałych mundurach, opatrzone są banerami przypominającymi nazwę organizacji. „Pomocna dłoń” głośzą napisy składające się z gigantycznych, niebieskich liter, a poniżej znajduje się podtytuł: „Dotyk dobroci”. Jeszcze większe banery znajdują się na naczepach osiemnastokołowych ciężarówek, zajmując niemalże cały ich bok.

Do Gordona podbiega suazyjski chłopczyk i chwytą go za rękę.

– Czy to nie jest wspaniałe? Niech pan spojrzy, oni mają zabawki w przyczepie. Widzę je.

– Tak, Zineela. To naprawdę wspaniałe. – Gordon klepie chłopca po brudnej głowie w iście ojcowski sposób.

Do pastora Waltera zbliża się dwóch mężczyzn z ekipy rozładunkowej. Nie słyszę, co mówią, ale z ich min domyślam się, że chodzi o zebranie ludzi w grupy.

Robię zdjęcie Walterowi i tym mężczyznom.

– Co chcieli? – pytam pastora chwilę potem.

– Chcą, żeby ludzie ustawili się w kolejce według ustalonego porządku, najpierw dzieci, od najmłodszych do najstarszych, potem kobiety i starsi, a na końcu mężczyźni.

Na zmęczonej twarzy Waltera dostrzegam radość. Przecież właśnie o to się modlił. Jeden z mężczyzn podaje Walterowi megafon. Tłum błyskawicznie się ucisza, gdy znajomy im głos przekazuje kolejne instrukcje.

– Wiesz, Gordonie, nie rozumiem, dlaczego masz taką zmartwioną minę. Przecież ci ludzie dokładnie tego potrzebowali.

Gordon milczy.

Oglądam zapasy przez obiektyw mojego aparatu – olbrzymie skrzynie z jedzeniem, wodą, ubraniami oraz czymś, co wygląda jak mydło, apteczki pierwszej pomocy, chlor oraz inne detergenty i jakieś zestawy do filtrowania wody.

Ludzie z wiosek ustawiają się zgodnie z instrukcjami, starsze dzieci kierują młodszymi. Mężczyźni stają za kobietami.

Za ciężarówkami zatrzymuje się duża, czarna furgonetka z napędem na cztery koła. Ma przyciemnione szyby. Wygląda na nowy samochód, mimo iż jej karoseria jest cała w błocie. Nie tylko nowy, ale i drogi. Z samochodu wyskakuje dziesięciu elegancko ubranych mężczyzn z krótkofalówkami i słuchawkami w uszach, zajmują swoje stanowiska, zupełnie jakby mieli przygotować teren na przyjazd kogoś niezwykle ważnego.

– Gordonie, widzisz to, co ja? – Nie mogę wprost uwierzyć, jak przygaszeni są mieszkańcy wiosek, rozmawiają po cichu i czekają w kolejce potulni jak baranki.

– Coś mi się tu nie podoba. Dokumentuj to wszystko, dopóki ktoś nie zabroni ci robić zdjęć. Domyślam się, że nie będzie trzeba długo czekać.

– Tak, albo będę posłuszny, albo czymś mnie poczęstują. – Wskazuję na uzbrojonych mężczyzn. Teraz gdy wszyscy mieszkańcy ustawili się już w kolejce, ja i Gordon wyróżniamy się tak, jakbyśmy mieli na sobie pomarańczowe więzienne kombinezony.

– Przesuńmy się trochę do tyłu. – Gordon macha ręką, żebyśmy szedł za nim.

– Widziałem już coś podobnego, wtedy gdy miał zjawić się prezydent lub szef rządu.

– Być może zaraz zobaczymy tu króla. – Zaczynam rozumieć obawy Gordona. Nie mogę pozbyć się przeczucia, że coś jest nie tak.

– No tak, to byłaby dla niego niezła reklama. Nie sądzę jednak, że o to chodzi. Nie byłbym wcale zdziwiony, gdyby okazało się, że lokalni przedstawiciele tej organizacji są jedynie marionetkami jakiegoś amerykańskiego koncernu.

Tłum znowu zaczyna zachowywać się coraz głośniejsze. Widzę podenerwowanie u mężczyzn wyglądających jak agenci CIA. Wyciągają krótkofalówki i żywo ze sobą rozmawiają.

– Szkoda, że nie słyszę, co mówią.

Gordon zerka na ciężarówkę, ma zmartwioną minę.

– Stuarcie, spójrz tam, na drogę.

Odsuwając się od tego całego cyrku, możemy obserwować drogę. Zauważam dwa białe, naprawdę drogie mercedesy-benz, zmierzające w naszym kierunku. Zatrzymują się za furgonetką, która przyjechała wcześniej.

– Wygląda na to, że praca w organizacji humanitarnej jest bardzo dochodowym zajęciem – szepczę do Gordona.

Z pierwszego samochodu wychodzi grupa mężczyzn w eleganckich garniturach i czarnych, błyszczących krawatach. Przystawiam aparat do oka. Zaraz po mężczyznach pojawiają się kobiety w garsonkach, każda z nich ma na szyi apaszkę o jaskrawych kolorach, powiewającą delikatnie na wietrze.

Gordon pisze coś w notesie. Otwierają się drzwi drugiego vana i wysiada z niego ekipa z aparatami oraz kamerami. Kamery spoczywają na ich ramionach niczym papugi. Zajmują miejsca, z których mogą objąć całe dzisiejsze widowisko.

Służby porządkowe eskortują ich na specjalną platformę, znajdującą się przed rozstawionymi stolikami. Z całą pewnością widok robi wrażenie: ogromne ciężarówki, bandery, ważni ludzie w eleganckich strojach, kamery i aparaty oraz cała gromada głodnych Afrykańczyków w łachmanach.

Kilku mężczyzn w garniturach – nie ulega wątpliwości, że piastują jakieś wysokie stanowiska – podchodzi do stolików i zaczyna wręczać czekającym w kolejce przygotowane wcześniej koszyki z zapakowanymi darami. Zanim taki kosz spocznie w wyciągniętych rękach, znajdujący się tuż obok fotograf ustawia daną osobę do zdjęcia i może ona odejść, dopiero gdy wszystko zostanie sfotografowane.

W kolejce ustawia się coraz więcej ludzi. Teraz są ich już setki. Setki zdesperowanych, głodnych mężczyzn, kobiet i dzieci. Kamerzyści starannie dokumentują całe to wydarzenie. Niektórzy z mężczyzn w garniturach wychodzą przed stoliki i mieszają się z tłumem. Wymieniają uścisk dłoni oraz kilka słów, po czym przechodzą do kolejnej osoby, oczywiście uśmiech nie schodzi z ich twarzy. Kamerzyści śledzą każdy ich ruch.

Teraz już nie mam wątpliwości co do tego, że to nie wielkoduszność przywiodła tutaj ekipę z „Pomocnej dłoni”, lecz jakiś nikczemny cel. Czuję się naprawdę źle, patrząc na tych wszystkich głodnych ludzi, czekających na zaaranżowaną jałmużnę.

Gordon kręci głową.

– To zahacza już o jakiś paradoks. – Patrzymy na jednego z mężczyzn w garniturze za tysiąc dolarów, przypominającego raczej modela z magazynu o modzie, jak wręcza nędzną jałmużnę człowiekowi, który przez całe swoje życie nie będzie w stanie zarobić tysiąca dolarów.

Pozostałe osoby z mercedesów także rozdają kosze – do tej pory mniej więcej dwadzieścia, oczywiście przekazanie każdego zostało nagrane i sfotografowane. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, ochroniarze zaczynają wołać całą ekipę i prowadzą ich do samochodów. Kobiety oraz mężczyźni w wytwornych strojach machają jeszcze tłumowi na pożegnanie i wsiadają do wozów. Drzwi zamykają się za nimi i odjeżdżają – tak po prostu.

– Czy to akcja charytatywna, czy raczej kampania polityczna? Zerkam na Gordona.

– To bardzo dziwne. Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś równie zwariowanego. Cokolwiek to jest, przynajmniej ludzie nie będą głodni.

Z jednej z ciężarówek wyładowano sześć worków. Połowa ludzi z obsługi zaczyna rozdawać małe papierowe torebki, mniej więcej o pojemności woreczków śniadaniowych. W tym samym czasie druga połowa tych półgłówków i personelu ładuje stoliki oraz pozostałe produkty do ciężarówek, z taką samą wyrachowaną dokładnością jak przy rozładunku.

Jedna z torebek wypada na podłogę i jej zawartość rozsypuje się, ukazując, z jaką to hojnością mamy do czynienia. Widzę maleńki woreczek ryżu, nie większy niż moja dłoń, cztery razy mniejszą torebkę jakiejś przyprawy, herbatę oraz kostkę mydła – i coś, co przypomina traktat ewangelizacyjny.

Wymieniamy z Walterem spojrzenia. Wygląda na załamanego.

– Gordonie, kim oni są? Co oni robią? – Jestem wściekły. – To nieludzkie, nikczemne. Jak oni mogą? Przecież jedzenie to ich jedyna nadzieja – wyrzucam z siebie jednym tchem.

– Wiem. – Gordon rusza przed siebie, idę za nim i robię zdjęcia.

– Przepraszam pana. – Twarz Gordona i uszy przybierają czerwony kolor.

– Przykro mi, żadnych wywiadów ani pytań – odpowiada mężczyzna w garniturze, chłodnym i wyważonym tonem.

– Do cholery, nie zamierzam zadawać panu pytań. Nazywam się Gordon Clandish i pracuję dla *New York Timesa*. Co wy sobie wyobrażacie?

– Bez komentarza. – W naszym kierunku idą ludzie z ochrony.

– Nie, nie może pan powiedzieć tak po prostu „bez komentarza”. Ci ludzie głodują, a wy przywieźliście z sobą masę jedzenia. Dlaczego ładujecie to z powrotem na ciężarówki? Na Boga, o co tu w ogóle chodzi? – Po raz pierwszy słyszę u Gordona tak podniesiony głos.

– Powódź dotknęła mnóstwo ludzi z okolicy. Poczucie obowiązku oraz troska o nich nakazują nam jechać dalej. Tutaj zrobiliśmy już wszystko, co mogliśmy. – Mężczyzna mówi coś do stojącego obok niego kolegi, a ten zaczyna iść w moim kierunku.

– Proszę odłożyć aparat – oświadcza tamten niskim, spokojnym głosem. Nie odkładam aparatu.

Gordon nie odstępuje pierwszego mężczyzny ani na krok, mówiąc mu prosto w twarz, co myśli o całej tej akcji.

– Chyba sobie żartujecie. Wiecie dokładnie, co właśnie zrobiliście. Wykorzystaliście tych biednych ludzi, zrobiliście te swoje gówniane zdjęcia i filmy tylko po to, żeby zebrać więcej funduszy do waszych brudnych kieszeni.

– Proszę się odsunąć. – To nie brzmi jak prośba, ale ostrzeżenie.

– Nie zamierzam, ty kanalio.

Cały czas robię zdjęcia, cofając się przed idącym w moją stronę mężczyzną. Domyślam się, że zaraz mi się oberwie, gdy nagle jeden z mężczyzn, wyglądający na szefa całej ekipy, woła go.

– Chodź, jedziemy.

W okamgnieniu wszyscy znikają w ciężarówkach.

– Z całą pewnością przeczytacie o całym tym cyrku w *New York Timesie!* – krzyczy za nimi Gordon.

– Życzymy panu miłego dnia – wyrzuca z siebie kierowca, po czym zamyka drzwi.

– Będziecie się smażyć w piekle – odpowiada Gordon, lecz jego słowa zostają zagłuszone przez warkot szesnastocylindrowego silnika.

Rozdział dwudziesty piąty

Tłum w prowadzonym przez Waltera punkcie żywnościowym zaczyna się rozchodzić. Niektórzy wrócili do wiosek, większość jednak została, siadając w niewielkich grupkach. Jestem zdumiony tym, jak szybko starsze kobiety zebrały wszystkie torebki ryżu i zabrały się do gotowania posiłku. Jedyne go posiłku tego dnia.

– Walterze. – Gordon kładzie rękę na ramieniu pastora. – Wymyślimy coś i pomożemy wam.

Widzę, że Walter chciałby w to wierzyć, lecz w jego słowach pobrzmiewa zaledwie cień nadziei. Wygląda na przygnębionego i pokonanego.

– Dziękuję, przyjaciele. Niech Bóg wam błogosławi. Nie wiem, co się z nami stanie, jeśli ktoś nam nie pomoże. – W ciągu tego jednego dnia Walter postarzał się o dobre piętnaście lat.

Wracamy z Gordonem do land cruisera.

– Stuarcie, ile masz pieniędzy?

– Około tysiąca dolarów, a o czym myślisz?

– Zobaczmy... – Przelicza pieniądze ze swojego portfela. – Sześćset dziewięć dolarów. Musimy wymienić twoje pieniądze na tutejszą walutę.

Gdy odjeżdżamy, zerkam na punkt żywnościowy. Prawie żadnego ruchu, poza starszymi kobietami stojącymi przy garnku oraz unoszącą się nad nim parą.

– Walterze, dopilnuj, żeby woda gotowała się wystarczająco długo – przypomina Gordon. – W przeciwnym razie możecie się rozchorować.

Jedziemy przed siebie, ziemia zaczyna obsychać i widać teraz mnóstwo kamieni, ubrania, kije, puszki oraz inne śmieci.

– Nigdy jeszcze nie byłem aż tak wściekły – stwierdza Gordon, skręcając gwałtownie, żeby nie przejechać wystraszonego kurczaka.

„Pomocna dłoń” okradła go niestety z optymizmu, ale jest pełen determinacji, żeby zrobić coś, co będzie miało sens.

– Jedziemy do supermarketu SPAR. Mają tam wszystko, czego potrzebujemy. Będziemy tam za około godzinę, ale najpierw musimy zajechać do mnie po przyczepkę. Nie zmieścimy wszystkiego w samochodzie.

– Czysty wyzysk, chłodna kalkulacja. – Gordon uderza nerwowo ręką o kierownicę. Wciąż jest bardzo oburzony. – Pomyśl, ile muszą zadać sobie trudu, żeby objechać z tym cyrkiem całą okolicę skapaną w błocie. – Jego twarz znowu przybiera kolor purpury. – To są węże, przychodzące w imię naszego Boga. Wilki w owczej skórze.

Pamiętam te słowa. Słyszałem je kiedyś od Whitney, gdy opisywała swoje szefostwo, po tym jak podczas uroczystej kolacji poinformowano ją, że nie otrzymała awansu.

– Jesteś naprawdę świetna – powiedziano jej – potrzebujemy cię tu, gdzie jesteś.

Zgodnie z relacją Whitney kiwnęła tylko grzecznie głową i uśmiechnęła się do szefostwa, jeden z nich był niewiele od niej starszy. A potem, po zakończonym tamtego wieczoru dyżurze, wykorzystując cały swój wdzięk, oznajmiła szefowi, że nie zamierza „zostać tu, gdzie jest” i wracać do ich stacji z całym tym bezpłciowym kierownictwem oraz spadającą oglądalnością. Whitney rzadko przeklina, ale wystarczy jej piorunujący wzrok nadzwyczaj uprzejmy ton głosu, zupełnie nieadekwatny do sytuacji. Dostajesz od niej podwójnie – najpierw jej spojrzenie pełne gromów, a potem poczucie winy, że skrzywdziłeś tak wspaiałomyślną i bezinteresowną istotę.

Zerkam na zamyślonego Gordona.

- Uważasz więc, że do wieczora powinieneś skończyć ten artykuł dla *Timesa*?
- Wygląda na to, że za dużo czasu spędzamy razem. Czytasz w moich myślach, Stu. Myślę o Adannie karmiącej te wszystkie dzieci u siebie w domu.
- Mam jeszcze coś: jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym, żebyś włączył to do artykułu.
- Tak? A co dokładnie masz na myśli? – Zerka na mnie, a potem znowu na rozciągającą się przed nami drogę.
- Adannę. – Jej imię natychmiast zwróciło jego uwagę.
- Okay. Zamierzałem napisać o niej w odrębnym artykule... Ale o czym dokładnie myślisz?
- Kiedy poszedłem dzisiaj do jej domu, przed drzwiami siedziało mnóstwo dzieci, a ona rozdawała im jedzenie, które jej dałem – jedzenie przeznaczone dla niej, Precious i Abu. Rozdała wszystko. A na moje pytanie, dlaczego to zrobiła, odparła: „Przyszły tu, więc je nakarmiłam”.
- Gordon śmieje się.
- Pamiętaj, że dla Suazyjczyków liczy się tylko chwila obecna. Ale biorąc pod uwagę jej wiek, to niezwykle, że zachowuje się tak bezinteresownie. Szczególnie po tym wszystkim, co miało miejsce w ciągu ostatnich dni.
- Ostatnich dni. Więc minęło zaledwie kilka dni? Mam wrażenie, że to wszystko działo się wieki temu.
- Tak, to niesamowite. Myślała, że jestem na nią zły za to, że rozdaje jedzenie. Oczywiście, że nie. Martwię się tylko o nią, Precious i Abu.
- Gordon podnosi leżący pomiędzy siedzeniami pamiętnik Adanny i podaje mi go.
- Być może użyjemy w artykule także coś z jej zapisków. Oczywiście, jeśli wyrazi zgodę.
- Czuję się poniekąd jak ktoś, kto bierze udział w przestępstwie urzędniczym, otwieram jednak pamiętnik.

Nie mam zbyt wielu wspomnień związanych z tatą. Mama mówi, że był ważnym człowiekiem i zajmował się wielkimi sprawami. Nie wiem, czy to prawda, ale wiem, że cały czas go nie było. Tata był dla mnie bardzo dobry. Zabierał mnie na ryby i przywoził do domu prezenty, słodycze z miasta, jedzenie, a raz nawet śliczną sukienkę, białą w różowe kwiaty. Niestety czasami gdy wracał do domu, czuć było od niego alkohol i papierosy. Robił mi wtedy takie rzeczy, których ojcowie nie powinni robić córkom, o których nawet nie powinno się pisać. Nienawidziłam go w tych chwilach. Chciałam, żeby umarł. A potem po długiej nieobecności wracał do domu, nucąc coś wesoło pod nosem, przywoził nam słodycze i znowu traktował mnie jak córkę. Czulałam się wtedy zagubiona. Chciałam, żeby zły człowiek odszedł i został tylko mój dobry tata. Nigdy nie mówiłam o tym Fridzie. Nigdy.

Jej staranne pismo zapełnia każdy wolny skrawek papieru. To oczywiste. Adanna rozumie, jakim luksusem jest tutaj papier. Nic nie może się zmarnować.

Kilka kartek dalej natrafiam na wiersz.

*W najciemniejszym momencie nocy
moja niegdyś zrozpaczona dusza staje się wolna,
bo znalazłam Miłość, która jest Światłem.
Oddała mi skradzioną czystość.
Jest przy mnie, chociaż pełno wciąż problemów,
a śmierć i demony czają się w każdym zakątku.
Lecz większa jest Miłość, która kryje się we mnie.
I jeszcze większy Przyjaciel, którego znalazłam.
Nie boję się już ciemności*

*Drogę oświeca mi Ten, który stworzył niebiosy.
Przed Nim jestem zupełnie czysta*

Kończę czytać i unoszę wzrok ku niebu. Słowa jej wiersza płyną ku górze, błędząc pomiędzy chmurami, i nie przestają do mnie przemawiać. Chciałbym je zrozumieć.

Gordon zerka na mnie. Milczy.

– Wiesz, Gordonie, Adanna ma niezwykły styl. Jesteś pisarzem, co o tym myślisz?

– Pisarzem czy nie – uśmiecha się Gordon – sam widzisz, że jej słowa mają moc. Tak, jej myśli oraz to, jak je przekazuje, tworzą niezwykłą całość. Jest nad wiek utalentowana.

– Jak myślisz? Moglibyśmy zamieścić niektóre z jej myśli? Nie będzie to źle postrzegane? Możemy liczyć na Billa, puści to jutro do druku. Na pierwszą stronę.

Gordon śmieje się w głos, po raz pierwszy od dawna.

– O Panie, zlituj się. Tym, co najbardziej go interesuje, jest polityka. Jeśli chodzi o mnie, mógłby pracować dla *Washington Post*.

Powracam myślami do lanczu z Billem, po tym, jak dostałem to zlecenie.

– Tak, wszystko musi być zgodne z linią polityki popieranego przez niego ugrupowania. Ale co mamy do stracenia?

Gordon zwalnia przed zakrętem, za którym znajduje się miasteczko. Zatrzymujemy się przed sklepem wyglądającym na szczęście jak zachodnie markety sprzed kilku lat. To zastanawiające, że w centrum kraju, gdzie ludzie umierają z głodu, znajduje się taki sklep. Parking jest zapelniony.

– Niedobrze – stwierdza Gordon, szukając wolnego miejsca.

W markecie jest pełno ludzi, wychodzące z niego kobiety i dzieci niosą kartony wypchane żywnością i wodą, tyle ile są w stanie udźwignąć.

Gordon przeczesuje włosy ręką, w powietrze wzbijają się pyłki kurzu, pozostałość po zaschniętym błocie, i opadają na jego kolana. Ma przekrwione oczy.

– Właśnie dlatego tak trudno pomóc ludziom żyjącym w wioskach. Opanowani strachem przedstawiciele średniej klasy wykupują wszystko, co możliwe, nie zostawiając nic dla tych, którzy naprawdę głodują. To nic innego jak tylko samolubne chomikowanie.

– Tak, również w innych krajach istnieje przepaść pomiędzy bogatymi i biednymi. Bez odpowiedniej infrastruktury biedni nie mają szans. Co robimy? – Wiem, że Gordon zadaje sobie to samo pytanie.

– Widzę tylko jedno wyjście. – Wyjeżdżamy z parkingu. – Nie ma sensu próbować w innym z tutejszych sklepów, nic tu po nas. Jedziemy do Mbabane i modlimy się, żeby coś dla nas zostało. Mbabane jest położone wyżej i prawdopodobnie nie ucierpiało aż tak jak tutejsze rejony.

– No to się śpieszmy. Nie mamy chwili do stracenia.

Docieramy do Mbabane późnym popołudniem. Za późno, by wracać dzisiaj do wioski. Musimy zostać tu na noc.

– SPAR jest tam, na prawo. – Pokazuje Gordon i hamuje gwałtownie.

– Parking wygląda całkiem spokojnie. Miejmy nadzieję, że nie oznacza to, iż półki zostały już wyczyszczone.

Wchodzę do sklepu pełen obaw. Co za radość, jest dobrze zaopatrzony. To jasne, że nie mają tu za wielkiego ruchu w porównaniu z tym, co dzieje się w Manzini.

Gordon zaciera ręce i przejmuje dowodzenie.

– No dobrze, kupujemy za tysiąc sześćset dolarów. Ty kupujesz wodę za tysiąc, a ja wydaję resztę najedzenie.

– Świetnie. Widzimy się przy wyjściu.

Od razu zaczynam szukać kierownika. To prawie tona wody, ponad dwa tysiące butelek. Podchodzę do wyglądającego na szefa mężczyzny. To jeden z nielicznych starszych

mężczyzn, jakich widziałem tu od przyjazdu. Ma siwe włosy i jest dobrze zbudowany, ale nie za gruby. Porusza się powoli, jego ruchy naznaczone są pewnością siebie. Nawet okulary, które nosi, nie są w stanie zatuszować wyraźnych kurzych łapek wokół oczu. Okulary wyglądają jak te dla wojska z lat pięćdziesiątych. Tak, ten człowiek ma w sobie coś z żołnierza.

– Witam, czy mam przyjemność z kierownikiem?

– Tak, dokładnie. Czym mogę służyć? – Czuję, jak mierzy mnie wzrokiem – wychudzonego Amerykanina w znoszonych dżinsach i podkoszulce, z brudnymi, zmierzwionymi włosami.

– Chcemy kupić wody za tysiąc dolarów. Największe butelki, jakie macie, za jak najlepszą cenę.

Patrzy na mnie tak, jakbym właśnie uciekł z jakiegoś zakładu dla obłąkanych.

– Przepraszam, ale nie mogę panu pomóc.

– To znaczy? Jak to nie może mi pan pomóc? Mam pieniądze i jestem zdesperowany.

– Co pan może wiedzieć o desperacji? – Śmieje się, podczas gdy ja zachowuję kamienny wyraz twarzy. Ostatnio bardzo wiele nauczyłem się o desperacji. Mężczyzna kontynuuje swoje przesłuchanie. – No dobrze, a z kim pan przyjechał i czym się pan zajmuje?

– Z kim? Razem z kolegą. Pracujemy dla *New York Timesa*. Jestem fotografem. Robimy cykl artykułów o pańskich rodakach podkreślam ostatnie dwa słowa. – O trudnej sytuacji Suazyjczyków.

– Nie. Nie mogę panu pomóc. – Odwraca się, a ja uświadamiam sobie, że muszę bardziej się postarać. Myślę nad kolejnymi słowami, starając się oczyścić je z jakichkolwiek emocji.

– Proszę pana, próbujemy pomóc wiosce, w której brakuje pitnej wody po powodzi. Współpracujemy z organizacją humanitarną. Mój kolega jest teraz na terenie sklepu i kupuje jedzenie, które mamy dostarczyć tam nad ranem.

Mężczyzna zacisnął usta, a potem lekko je wydał i cofnął.

– Czyli chce pan powiedzieć, że robicie to wszystko po to, żeby pomóc ludziom z mojego kraju.

– Tak, oczywiście.

– Naszym ludziom z wioski? Suazyjczykom?

Spogląda na mnie sponad okularów w ciemnej oprawie, spoczywających teraz na czubku jego nosa, obdarzając mnie spojrzeniem typu „chciałbym w to wierzyć”. Nie jest do końca przekonany. Być może przed nami odwiedzili go ludzie z „Pomocnej dłoni”.

– Błagam, niech mi pan uwierzy. Proszę na mnie spojrzeć. Jestem taki brudny właśnie dlatego, że robiłem wszystko, żeby tylko pomóc.

– Zauważyłem was, jak wysiadaliście z samochodu – śmieje się mężczyzna. – Pan i pański kolega jesteście najbrudniejszymi ludźmi, jakich widziałem w ciągu tego dnia – najbrudniejszymi białymi ludźmi, jakich kiedykolwiek widziałem. – Przerywa na moment. No dobrze. Wierzę panu. He butelek potrzebujecie?

– Za tysiąc dolarów.

W jednym z przejść pojawia się Gordon z dwoma ogromnymi wózkami. W każdym z nich znajdują się wysokie pięćdziesięcio- oraz stukilogramowe worki z ryżem, fasolą i kukurydzą. Z niczym, co jest zbyteczne, tylko to, co najważniejsze.

W ciągu godziny przyczepa i samochód są załadowane. Jest już ciemno, więc trudno byłoby odnaleźć drogę do wioski. Postanawiamy przenocować w hotelu. Wskakujemy do samochodu i ruszamy z parkingu. W radiu nadają właśnie najświeższe wiadomości, zwiększam głośność.

„Radio Suazi AM 1060 – jedyna stacja w Suazi. Powódź dokonała ogromnych spustoszeń w całym kraju. Mówi się o ponad dwudziestu tysiącach ofiar oraz setkach tysięcy ludzi,

którzy stracili dach nad głową. Brakuje żywności oraz pitnej wody. Liczba ofiar śmiertelnych może być jeszcze większa”.

– To straszne – mówię do siebie i Gordona. A być może i do Boga.

– Aż boję się myśleć, co będzie z dziećmi.

– To mi łamie serce, Gordonie.

– Muszę ci coś powiedzieć. Myślałem o tym setki razy i muszę komuś o tym powiedzieć.

– Tak, słucham.

– Rozważam adopcję Adanny, Precious i Abu.

– Co takiego? To niesamowite! Nie wyobrażam sobie lepszego rodzica. Naprawdę możesz to zrobić?

– Mogę, ponieważ mieszkam w Suazi już ponad rok. Spełniam więc kryteria rodzica adopcyjnego.

– Gordonie, to zupełnie odmieni ich życie. Stworzysz im rodzinę, będziesz dla nich ojcem, dasz im bezpieczeństwo i przyszłość.

– Jestem tylko zwykłym śmiertelnikiem, ale przynajmniej tyle mogę zrobić. Pamiętasz, jak mówiłem d o tym, by nie tracić z oczu większego obrazu?

– Oczywiście, że tak.

– Co mamy na przyczepie? O czym robimy artykuł? To wszystko jest ważne. Ale Adanna...

Gdy wypowiedział jej imię, słowa uwięzły mu w gardle.

– Adanna, Precious i Abu są moim małym obrazkiem.

Kiedy o tym mówi, wyobrażam sobie całą tę czwórkę na rodzinnym zdjęciu. Zapisuję ten obraz w sercu i uśmiecham się do siebie.

– Tak bardzo ich kocham – wyznaje Gordon. – Adanna już tak długo jest dla nich matką. Chcę zdjąć z niej ten ciężar, kochać ją i pozwolić jej znowu być dzieckiem.

– Wiesz, Gordonie, słyszałeś to już ode mnie, ale powtórzę to jeszcze raz.

Twarz Gordona rozjaśnia szeroki uśmiech, do jego oczu zaczynają napływać łzy.

– No dobrze. Mów.

– Jesteś świętym człowiekiem.

Rozdział dwudziesty szósty

Gordon Clandish – korespondencja specjalna dla *Timesa*.

Matsapha, Suazi, 76 lutego. Intensywne trzydniowe opady wywołały powódź w południowej części Manzini. Tysiące ludzi straciło dach nad głową, brakuje im jedzenia oraz wody pitnej. Są to przeważnie dzieci poniżej dwunastego roku życia. Prawie jedna czwarta z nich opiekuje się resztą rodzeństwa, gdyż ich rodzice lub opiekunowie zmarli na AIDS.

Rząd Suazi twierdzi, że sytuacja nie jest na tyle dramatyczna, by prosić o pomoc międzynarodową. Niestety jedyna pomoc, jaka nadeszła z kraju, to wilki w owczych skórach, określające siebie mianem organizacji humanitarnej.

Dzisiaj rano do punktu żywnościowego w Ihembini, prowadzonego przez pastora Waltera Malazę, zajęchały dwa tiry należące do krajowej organizacji humanitarnej „Pomocna dłoń”. Punkt ten jest położony wyżej, więc schroniły się tu setki ludzi z zalanych terenów z nadzieją, że otrzymają jedzenie oraz wodę.

Powodzianie skakali z radości i głośno wiwatowali na widok przedstawicieli „Pomocnej dłoni” rozładowujących ogromne kontenery z żywnością, wodą oraz środkami sanitarnymi. Aa tirami przyjechały trzy furgonetki z urzędnikami państwowymi. Oczekujących na pomoc ludzi ustawiono w kolejki. Elegancko ubrani urzędnicy, jakby mieli brać udział w jakimś partyjnym kongresie, zaczęli wręczać powodzianom małe brązowe torby z papieru, podczas gdy wynajęci fotografowie uwieczniali wszystko z ogromną starannością. Każda taka torba zawierała niewielką ilość ryżu – ledwie wystarczającą na jeden posiłek paczkę przypraw, pudełko herbaty, kostkę mydła oraz jakiś traktat religijny.

Rozdawszy papierowe torby, urzędnicy wsiedli do mercedesów i odjechali, a reszta załogi „Pomocnej dłoni” zapakowała pozostałe produkty na tiry, pośród nich także wodę pitną, kończąc tym samym całą akcję. Pracownicy organizacji humanitarnej nie chcieli komentować niezwykłych metod dystrybucji, które zastosowali, oraz kierujących nimi motywów.

„Zgromadzono nas tu niczym jakieś ofiarne kozły” – wyznaje zniechęcony pastor Malaza – „tylko po to, by zostać oszukany przez naszych ludzi, przez naszych rodaków”.

Koordinator ONZ w Suazi, Mncobi Msibi, w telefonicznym wywiadzie z Mbabane stwierdził, że nigdy nie słyszało „Pomocnej dłoni”. „Powodzianom brakuje wody pitnej, jedzenia oraz dachu nad głową, ale sytuacja jest pod kontrolą” – wyjaśnia Msibi. Na chwilę obecną przedstawiciele rządu odmawiają rozpoczęcia szeroko zakrojonej akcji pomocy.

Zaledwie kilometr dalej rozegrała się zupełnie inna scena niż w punkcie żywnościowym. Dwunastoletnia dziewczynka, mieszkanka Ihembini, zgromadziła przed swoją chatą ponad dziesięcioro osieroconych dzieci, rozdając im całe jedzenie oraz wodę, jaką miała.

Ta mała dziewczynka, Adanna Dlamini, kilka dni wcześniej otrzymała zapas jedzenia dla siebie oraz dwójki swojego rodzeństwa od gościa ze Stanów Zjednoczonych. Zapytana, dlaczego nie zostawiła nic dla siebie oraz rodzeństwa, odparła: „Te dzieci są głodne. Dlaczego więc nie miałabym ich nakarmić?”.

Adanna i jej rodzeństwo, w wieku dwóch oraz pięciu lat, stracili ostatnio mamę, która zmarła na AIDS. Kobieta została zarażona wirusem HIV przez męża, który porzucił rodzinę cztery lata temu i uważa się go za zmarłego. Adanna jest jedną z tysiąca bezbronnych sierot w tym kraju, pozostawioną samej sobie, ignorowaną przez krewnych oraz członków tutejszej społeczności i często jawnie maltretowaną przez innych dorosłych.

Podobne historie są, niestety, częste tutaj w Afryce. Brak wykwalifikowanego personelu medycznego oraz leków antyretrowirusowych sprawia, że dzieci patrzą na śmierć umierających na AIDS rodziców. Dla kontrastu spójrzmy na sytuację chorych na AIDS w Stanach "Zjednoczonych. Obecnie bardziej prawdopodobne jest, że Amerykanin popełni samobójstwo niż to, że umrze z powodu AIDS.

Ta drobna dziewczynka, wyglądająca raczej na ośmiolatkę niż dwunastolatkę, ma wszelkie powody do rozpacz, ale nawet po osobistej tragedii oraz katastrofie naturalnej, która odebrała życie tysiącom ludzi w jej kraju, czyni innym dobro, i żyje nadzieją.

Adanna nie tylko pomaga ludziom, ma także niezwykły talent pisarski i przyszłość przed sobą. Kartki pamiętnika, który otrzymała od nauczycielki z Finlandii, zapisane są jej przemyśleniami i poezją.

„Mój Kraj”

Dzisiaj przyfrunął do mnie fioletowy ptak,
gdy było jeszcze ciemno,
gdy słońce i księżyc
pozdrawiali się, zwróceni do siebie twarzami.
A potem pojawił się łuk!
Jeden jego kraniec witał dzień, a drugi noc.

Ptaku mojego dawnego kraju,
zanurkowałeś i spadłeś na ziemię.
Wierzę w ciebie,
kiedy mama daje mi jedzenie z garnka,
żebym rozsypała je na ścieżce jako ofiarę.
Pozwalam ziarnom opadać na ziemię,
byś mógł podnieść je swym królewskim dziobem.

Ptaku krainy Suazi,
przenikasz moją duszę swoimi czarnymi oczkami.

Zrozum: Nie mogę już nabrać wody
z rzeki, którą pochłonęła ziemia.
Spękana gleba nie chce już rodzić kukurydzy.

Ptaku smutku,
przez moje palce przesypują się tylko grudki suchej ziemi,
pragnące kropli wody.
Tęskniące za ziarnem kukurydzy.
Dotyk mamy
i jej głos, niczym poranny śpiew ptaka, mówią:
Sawubona, moje dziecko. Powitaj nowy dzień!

Rozdział dwudziesty siódmy

Wyjeżdżamy z hotelu, kierując się na drogę prowadzącą do wioski. Widać, że coś się zmieniło. Wszyscy są w ruchu, sprzątają po powodzi, lecz gdy mijamy ich samochodem, na ich twarzach maluje się smutek. Wyciągają do nas ręce, zauważywszy, co wieziemy na przyczepie. Zbliżając się do punktu żywnościowego, mijamy dwóch chłopców w podartych szortach. Zerkam w lusterko wsteczne i widzę, że biegną za nami.

– Widzisz to? – zwracam się do Gordona.

– Tak. To znany mi widok. Gdybyśmy się zatrzymali...

– Nie puściliby nas dalej. Nic by nie zostało. – Znowu zerkam w lusterko, chłopcy zatrzymali się i zgięci wpół, dyszą ciężko. Czuję, że serce podchodzi mi do gardła.

Zbliżamy się do prowadzonego przez Waltera punktu żywnościowego. Dzieci rozpoznają nas i zaczynają entuzjastycznie machać do nas rękoma, jakbyśmy byli co najmniej gwiazdami rocka, biegną za przyczepą.

– Jesteśmy jak Szczurołap z Hameln. – Gordon jedzie ostrożnie, starając się ominąć coraz bardziej gęstniejący tłum. Jest bardzo spięty. Opuszczam powoli szybę i macham do witających nas ludzi.

W końcu dojeżdżamy do punktu Waltera, nasz przyjazd powoduje prawdziwe ożywienie. Widmo śmierci zostaje pokonane, powraca nadzieja. Otaczający nas ludzie wyglądają teraz zupełnie inaczej, zmienia się wyraz ich twarzy, ruchy ciała i rąk, zmienia się wszystko dookoła.

Starsze kobiety zaczynają podskakiwać radośnie, klaszcząc przy tym żywiołowo i wznosząc ręce ku niebu. Zараżają nas swoją radością, śmiejemy się z Gordonem w głos.

Hałas przyciąga coraz więcej ludzi, kurz nie zdążył nawet jeszcze opaść, a nasz samochód jest już otoczony gęstym tłumem. Nie możemy wręcz otworzyć drzwi.

Ludzie wdrapują się na przyczepę. Przez chwilę odczuwam nawet przypływ paniki. Błyskawicznie rozchwytyją zawartość przyczepy. Nigdy jeszcze nie widziałem aż takiego ożywienia.

– Gordonie, co robimy?

– Módl się.

Powoli opuszczam szybę do końca.

– Proszę, odsuńcie się od samochodu. Chcemy wam pomóc.

Teraz do kabiny zaczyna wciskać się las rąk, przypominając setki wijących się robaków. Próbuje mnie dotknąć, chwycić za ramię.

– Szybko, zasuń szybę!

– Nie mogę, a ich ręce?

– Zasuń, wtedy je cofną.

Samochód zaczyna się kołysać.

– Oni oszaleli.

– To nie szaleństwo, ale rozpacz.

– Gordonie, oni rozrywają torby na przyczepie.

– Dobra, kiedy powiem „ruszamy”, otwórz drzwi i mocno je trzymaj. Utorujemy sobie drogę i spróbujemy opanować sytuację.

– Nie jestem pewien, czy to dobry...

– Zrób tak, jak mówię. Raz, dwa...

Nagle powietrze rozdziera przenikliwy i nieprzyjemny dla ucha świst, potem następny. Ludzie rozbiegają się jak mrówki, uciekając przed samochodem. Niektórzy upadają na ziemię, inni chowają się za drzewa, zatykając sobie uszy.

- Co to takiego?
- Nie mam pojęcia.
- Spójrz, i oto mamy odpowiedź.

Zauważamy mężczyznę ze skierowaną do góry strzelbą. Wykrzykuje coś po suazyjsku. I chociaż nie znam ich języka, widzę, że wszyscy robią dokładnie to, co im każe.

- Dzięki Bogu. To wódz Bhulu.
- Co on robi?
- Strzela w powietrze, żeby uspokoić tłum. Ci ludzie boją się broni.
- Ja też.

Mężczyzna idzie w naszą stronę, a pastor Walter zaraz za nim. Wódz macha ręką, w której trzyma broń, a tłum rozstępuje się jak Morze Czerwone. Wychodzimy z samochodu. Mężczyzna mówi coś szybko po suazyjsku.

- Wódz przeprosza nas za zachowanie swojego ludu.
- Znowu coś głośno do nich krzyczy, a Walter wszystko nam tłumaczy.
- Nie jesteśmy zwierzętami! I nawet jeśli jest nam ciężko, musimy trzymać się razem.

Wódz odwraca się do nas i podejmuje przerwana rozmowę.

– Sami nie wiedzą, co robią. W tak niepewnej sytuacji, w jakiej ostatnio się znaleźliśmy, człowiek jest w stanie posunąć się do wszystkiego, żeby tylko przetrwać.

– Wodzu – wtrąca Gordon – to zaszczyt znowu cię widzieć. Rozumiemy to. Pewnie sami zachowalibyśmy się podobnie w takiej sytuacji. Przywieźliśmy trochę jedzenia. Nie ma tego za wiele, ale wystarczy przynajmniej do czasu nadejścia kolejnej pomocy.

W oczach Waltera błyszczą łzy. Pozwala mówić wodzowi, przerywając mu tylko po to, żeby przetłumaczyć kolejne słowa. Kiwam do niego głową, a on składa ręce jak do modlitwy, a potem wyciąga je w moim kierunku, okazując tym samym wdzięczność.

Wódz mówi donośnym i wyraźnym głosem.

– Moi bracia, proszę, przyjmijcie naszą wdzięczność za wasz trud. Będziecie tu bezpieczni. Macie moje słowo.

Tłum skrada się za plecami wodza, ostrożnie, jakby ten miał zaraz się odwrócić i ich ukarać.

- Doceniamy waszą gościnność. Gordonie, chodź, trzeba dać to ludziom.

Twarz Waltera rozjaśnia szeroki uśmiech, taki, którym wita się niewidzianego od lat przyjaciela. A potem podchodzi do mnie wódz z szeroko rozłożonymi ramionami, omal nie przyduszając mnie swoim uściskiem.

- Dziękujemy, dziękujemy, że o nas nie zapomnieliście.
- Robimy, co możemy. To, co do nas należy.

Mężczyzna cofa się i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Bracie, jesteś Bożym naczyniem – szepce. – Dłońmi i stopami samego Chrystusa, nadzieją dla tych ludzi.

Podchodzimy do przyczepy, gdzie wódz zaczyna gromadzić ludzi do pomocy przy rozładunku.

Pod kierownictwem Waltera i wodza przekazanie żywności przebiega sprawnie i spokojnie. Ludzie ustawiają się w kolejce, podobnie jak do samochodów „Pomocnej dłoni”. Najpierw dzieci, potem osoby starsze i kobiety, a na końcu mężczyźni.

Walter wchodzi na kamień i woła:

- Pomódlmy się.

Nie wiem, czy to z czci i szacunku dla pastora, czy też ze strachu przed uzbrojonym wodzem u jego boku, wszyscy cichną i odwracają się w ich kierunku.

Donośny głos pastora Waltera – o świetnej modulacji i intonacji, doskonalonej przez lata głoszenia Słowa Bożego – niesie się pośród tłumu niczym podmuch potężnego wiatru.

– Boże, pełen łaskawości i chwały, dziękujemy, że pamiętałeś o swoim ludzie...

– Tak, Jezu. Tak, Ojczy – słyhać głosy z tłumu.

– Pobłogosław swoim sługom, którzy przywieźli nam te dary. I niech nasz rząd podejmuje wszelkie dobre działania i kontynuuje pomoc dla tych wszystkich, którzy jej potrzebują w naszym kraju. Boże, pamiętaj o nas, o Twoim ludzie. Amen.

Walter i wódz zapraszają mnie i Gordona, żebyśmy stanęli na przedzie, przy rozładowanej żywności. Gordon natychmiast zabiera się do pracy i zaczyna rozdawać jedzenie, uśmiechając się od ucha do ucha. Nie widziałem jeszcze u niego aż tak szerokiego uśmiechu.

– Zaraz wracam – mówię i odwracam się w stronę samochodu. Zdążyłem jednak zrobić dwa kroki i słyszę wołającego za mną Gordona.

– Idziesz po aparat?

– Tak, pomyślałem, że może...

Gordon wyciąga ręce przed siebie i wskazuje na tłum.

– Stu, według mnie to nie jest materiał na newsa.

– Ale to jest dobra wiadomość. To najlepsza z ostatnich wiadomości. Pomyślałem, że jeśli zrobię parę fotek...

– Nie, posłuchaj lepiej głosu serca. Słyszysz?

Wzruszam ramionami, czując zażenowanie. I nagle słyszę. Głos sprzed tyłu lat. Ten sam, który słyszałem podczas tamtego nabożeństwa w kościele. Ten głos zmienia mnie. *Nakarm Moje owce.*

Wracam i staję obok Gordona. On także to dostrzega – widzi to w moich oczach. Podchodzący do mnie to ci sami ludzie, którzy byli tu przed pięcioma minutami, głodni i potrzebujący. Wciąż mają na sobie znoszone, dziurawe ubrania i trzymają popękane miski. Lecz nie wyglądają już obco.

Zerkam na prawo i zauważam Adannę, a za nią Precious i Abu. Precious podskakuje wesoło, domagając się mojej uwagi. Macham do nich. Widok małej uniesionej rączki Abu, który odwzajemnia mój gest, sprawia, że wzruszam się jeszcze bardziej. Adanna śmieje się do mnie, ale to jest podwójny uśmiech. Po pierwsze uśmiech szczęśliwego dziecka, a po drugie kogoś, kto jest wdzięczny za obecność dobrego przyjaciela.

Gordon pochyła się nad nią i kładzie dłoń na jej drobnym ramieniu. Mówi coś do niej, a potem odwraca się do mnie.

– Stuarcie, pamiętnik Adanny wciąż jest w samochodzie. Przypomnij mi o tym.

Kiwam głową. Po tym, jak zostaje obsłużona ostatnia osoba, pomagam zanieść pozostałe produkty do budynku kościoła. Następnie idę do samochodu po pamiętnik Adanny. To był długi dzień, nie czuję jednak zmęczenia.

Adanna siedzi z Gordonem pod drzewami. Walter i starsze kobiety są zajęci przygotowaniami do przyjęcia następnej fali głodnych ludzi z okolicy, którzy mają się tu pojawić lada chwila.

Dzieci biegają dookoła, bawiąc się to w berka, to w chowanego oraz inne lubiane przez nie zabawy. Ich śmiech oraz krzyki wypełniają dzisiejsze popołudnie radością, rozkoszną jak posiłek, który właśnie zjadły. Kobiety siedzą w kręgach i rozmawiają. Nieopodal usadowiła się także grupka mężczyzn prowadzących ożywioną dyskusję. Przypominają mi się chwile, gdy odwiedzaliśmy z Whitney jej rodzinę w Karolinie Południowej. Sąsiedzi przystawiali przy rozwalającym się ganku, żeby „trochę pogawędzić”, jak to mawiał jej tata. Wtedy uważałem, że takie posiedzenia to strata czasu i powrót do zwyczajów, które już nie istniały i

tak naprawdę niczemu nie służyły. Było to oczywiście coś, czego nie znałem. Potem przez dłuższy czas nawet sobie żartowałem z Whitney oraz „małomiasteczkowych rozmów towarzyskich”. Zawsze się uśmiechała, nigdy nie wyrzucając mi, że nie mam racji. Jednakże teraz, gdy tak tu siedzę i przypatruję się ludziom rozmawiającym w języku, którego zupełnie nie rozumiem, uświadamiam sobie, jak bardzo się myliłem.

Powietrze wypełnia zapach palonego drewna, a nasze ubrania pachną tak, jakbyśmy przez cały dzień stali przy grillu. Tutaj wszyscy lubią ten zapach.

Oparty na łokciu Gordon śmieje się głośno, rozmawiając z kobietami.

Siadam obok Adanny i oddaję jej pamiętnik.

– Zostawiłaś go w samochodzie Gordona. To piękny pamiętnik.

– Dziękuję panu. Frida – to znaczy ten pamiętnik – jest dla mnie bardzo cenny.

Precious zerka w naszą stronę i uśmiecha się słodko. Macham do niej, ale ona jest już zajęta zabawą w berka z innymi dziećmi. Abu robi, co może, żeby za nią nadążyć.

Adanna spłotła dłonie, przekręciła głowę i oparła podbródek o ramię. Na jej włosach i skórze widnieją jasne brązowe plamki, ma ziemistą cerę. Zaczyna kasłać, jej kaszel jest bardzo uporczywy i długi.

– Dobrze się czujesz?

Podnosi rękę, gdy kaszel w końcu ustaje, i mówi:

– Nic mi nie jest.

Nie przekonało mnie to, chociaż bardzo stara się przegonić moje obawy uśmiechem. Cieszę się na myśl, że Gordon zamierzają adoptować.

– Muszę ci coś powiedzieć. Mam nadzieję, że nie będziesz zła na mnie i Gordona.

– Co takiego?

– Czytaliśmy twój pamiętnik. Czytaliśmy *Fridę*.

Nie potrafię odczytać z wyrazu jej twarzy, co myśli.

– Jesteś świetną pisarką. I powinniśmy cię najpierw o to zapytać. Nie zrobiwszy tego, złamaliśmy bardzo ważną zasadę w dziennikarstwie... Zamieściliśmy jeden z twoich wierszy w artykule Gordona. Mam nadzieję, że nam wybaczysz.

– Nic nie szkodzi. – Podciąga kolana pod brodę, okrywając nogi sukienką, i zamyka oczy. Kładę dłoń na jej plecach i bez chwili zastanowienia wypowiadam w sercu modlitwę: *Boże, błogosław temu dziecku.*

Podbiegają do nas Precious oraz Abu, chwytając się sukienki Adanny.

– Pobaw się z nami. Danna, pobaw się z nami!

Widać wyraźnie, że nie ma siły na zabawę. Z zamyślenia wyrывa mnie dzwonek satelitarne telefonu Gordona.

– Tak, słucham? – pyta Gordon. Po chwili zakrywa telefon dłonią. – To Bill.

Teraz ja także słyszę donośny głos Billa, zupełnie jakby siedział obok mnie.

– Gordonie, dostałem twój artykuł i zdjęcia Stuarta.

– Świetnie, Bill. Właśnie jesteśmy wśród tych ludzi, w wiosce.

– Czy Stuart jest w pobliżu? Chciałem zamienić z nim słowo.

Gordon podaje mi telefon.

– Cześć, Bill.

– Stuarcie, muszę przyznać jedno: wróciłeś do nas. Te zdjęcia są imponujące. Wiesz, że rzadko używam tego słowa. Co tak na ciebie wpłynęło? I kim jest ta dziewczynka ze zdjęcia?

– Adanna.

Słyszając swoje imię, Adanna otwiera oczy i unosi głowę.

– Tak, macie swoje pięć minut. – Czuję wypieki na twarzy. Gordon otwiera szeroko usta.

– Świetna robota – ciągnie dalej Bill. A ten artykuł zamieścimy na pierwszej stronie sekcji międzynarodowej. Te kanale z „Pomocnej dłoni” nawet mnie wkurzyły.

– Dzięki Bill, to świetna wiadomość.

Gordon klepie mnie po plecach.

– Co to oznacza? – Adanna pyta Gordona.

– To znaczy, że cały świat dowie się o twoim dobrym sercu.

– Pamiętasz to zdjęcie, które zrobiłem ci przed twoim domem, jak karmiłaś inne dzieci? – zwracam się do niej.

– Tak. – Kiwa głową.

– Będzie na okładce jutrzejszej gazety, niedzielnej edycji. Bardzo wielu ludzi czyta tę gazetę.

– Będzie tam także artykuł o tobie oraz twój wiersz – dodaje Gordon.

– Który wiersz? – pyta.

Wymieniamy z Gordonem lekko spanikowane spojrzenia. Czyżbyśmy popełnili błąd?

– *Mój Kraj* – wyjaśnia Gordon. Przyglądamy się Adannie, szukając aprobaty na jej twarzy.

– To dobrze. – Opuszcza ramiona.

Patrząc na nią, mam ochotę się rozpłakać.

– Adanno, będziesz sławną poetką.

– Będziesz rozpoznawana wśród znajomych i sąsiadów – zaznacza Gordon. – Dzięki tobie także oni otrzymają pomoc.

Na te słowa Adanna unosi odruchowo głowę. Przez jej twarz przemyka jakiś dziwny grymas. Walter pochyla się nad nią i niczym dumny ojciec całuje ją w czoło. Starsze kobiety idą za jego przykładem i obejmują jej drobne ciało. Wygląda na szczęśliwą. Przez chwilę wszyscy mamy powody do radości.

Po kilku minutach Gordon wstaje i odprowadza Adannę, Precious i Abu do ich chaty. Kiedy wraca, słońce zaczyna znikać za wzgórzami. Ruch w punkcie żywnościowym maleje z każdą chwilą. Na jego twarzy maluje się troska.

– Adanna jest całkowicie wycieńczona. Bardzo kaszle. Zauważyłeś to? Muszę wezwać do niej lekarza. Próbowałem ją przekonać, żeby dzisiaj przenocowali z nami. Ona jednak nalegała, żeby odprowadzić ich do domu. Nie można mieć do niej pretensji o to, że chce być u siebie.

– Gordonie, może więc zostaniemy tu na noc? Będziemy bliżej Adanny i pomożemy tu trochę z samego rana. Walter mówił, że jutro będzie im potrzebna pomoc.

Pastor idzie właśnie w naszym kierunku. I chociaż wygląda na zmęczonego, jest uśmiechnięty.

– Chcemy dzisiaj tu przenocować – oznajmia Gordon – żeby pomóc wam z samego rana. A prawdę mówiąc, chciałbym być blisko Adanny.

Pastor zamyślił się na chwilę.

– Tak, musimy na nią uważać. Gordon, mówiłeś już Stuartowi, że znowu chcesz być ojcem? – Oczy pastora rozjaśniły się.

– Oczywiście – rzucam szybko, klepiąc Gordona po plecach. – To najlepsza wiadomość, jaką ostatnio słyszałem.

Gordon odwraca się do Waltera.

– A wiesz, że Stuart też będzie ojcem.

– Już jestem! – Mój entuzjazm zaskoczył nawet mnie.

– Naprawdę? Gratulacje. Och, Stuarcie, będziesz świetnym ojcem. Niech Bóg błogosławi tobie i twojej żonie.

– Dzięki, Walterze.

Walter zaczyna iść w kierunku kościoła i macha ręką, żebyśmy szli za nim. Ci dwaj mężczyźni przede mną wiele nauczyli mnie o ojcostwie. Jak nikt dotąd.

– Cieszę się, że chcecie zostać tu na noc. Może prześpicie się w kościele? Nie mamy łóżek, ale tam będzie wam wygodniej i przede wszystkim bezpiecznie – przerywa na chwilę – Nigdy nie wiadomo, jaki zwierz może zapuścić się w te okolice na łowy.

Leżymy z Gordonem na materacach w przedsionku. Przez podarte moskitiery i uchylone okna widzimy, co dzieje się na zewnątrz. Obok nas na podłodze śpi mnóstwo innych osób; to ci, którym powódź zabrała dach nad głową. Nie przejmują się naszą obecnością.

Ciemność przekształca pokryte pożółkłą trawą wzgórze w szare cienie, zewnętrzne krawędzie czarnej dziury.

– Stu, co myślisz o zdjęciu na pierwszej stronie? – pyta Gordon. – Spodziewałem się u ciebie większej euforii. Pierwsza strona to nie było co.

– Tak, wiem. I zgadzam się, że to wspaniała wiadomość.

– Ale...

– Nie wydaje ci się, że to rodzaj wyzysku?

– Hm... czekałem na to pytanie. A ty, jak to widzisz, Stu?

– Kiedy myślę o zdjęciu zamordowanych mężczyzn z Demokratycznej Republiki Konga, o tym, za które otrzymałem to głupie wyróżnienie, zastanawiam się, czy nie jestem tak samo zły, jak ci łajdacy z „Pomocnej dłoni”.

– Być może nie zawsze temu, co robimy, towarzyszą dobre motywy...

– Tak...

– Ale nie wątpię w to, że jesteś dobrym człowiekiem z wielkim sercem. Być może nie byłeś taki w przeszłości albo tego nie dostrzegałeś. Z całą pewnością mam teraz przed sobą innego Stuartha niż ten, którego poznałem w hotelu, gdy rozpoczynaliśmy całą tę przygodę. Suazi cię zmieniło. Podobnie było i ze mną, po tym, jak straciłem rodzinę. Jaki bodziec może być lepszy niż nasza Adanna, karmiąca dzieci?

– Być może masz rację. Trudno podążać tą drogą. Pragnę robić dobre rzeczy – znacznie bardziej niż poszukiwać sławy. Pewnie nie zawsze tak było, ale teraz już to wiem. To ten większy wycinek rzeczywistości, prawda? Trzeba wypełniać go dobrem. Mam rację?

– Tak, to większy obraz.

W przyćmionym świetle dostrzegam błyszczące w oczach Gordona łzy.

– Dziękuję, Gordonie.

– Dziękujesz mi? Za co?

– Za wszystko. Za to, że włączyłeś się w to zadanie. Za twoją przyjaźń. Za wyzwania, które przede mną postawiłeś. I – być może najbardziej – za to, co robisz dla Adanny, Precious i Abu. Będą bardzo szczęśliwi. – Teraz także ja czuję szczypanie w kąciakach oczu.

Cisza. Po chwili słyszę ciche chrapanie Gordona. Nigdy nie należałem do tych, którzy tak szybko odnajdują sen.

Za nami dobry dzień. Dzień odmieniający życie. Odczuwam jednak cień smutku. Trzęsę się pod kocem. Obserwuję, jak gasną ostatnie promienie słońca, jakby zdmuchnięto całe mnóstwo świec.

Tęsknię za Whitney. I za moim nienarodzonym jeszcze dzieckiem.

Rozdział dwudziesty ósmy

Noc mija spokojnie, chociaż wcale tak się nie czuję. Rozglądam się wokół. Nie widzę Gordona, musiał już wstać.

Poranek przynosi nowe obawy. Jestem przecież na obszarze dotkniętym katastrofą, jak zatem powinienem się zachowywać? Wiem, co robić, gdy stoję za obiektywem. Ale bez niego? Czuję się zagubiony.

Do środka wchodzi Walter, jest pełen entuzjazmu, raczej niespotykanego na tak wczesną porę.

– Dzień dobry, Stuarcie. Jak się spało?

– Dobrze, dziękuję.

Zauważył, że nie mówię prawdy. Nie wyrzuca mi jednak tego.

– Chodź, napijesz się herbaty.

Wychodzę z nim na dwór. Słońce wygląda nieśmiało zza chmur.

– Mamy dzisiaj coś ważnego do zrobienia. Nie jest to łatwa praca, ale konieczna. Nadal chcesz nam pomagać?

– Tak, Walterze, oczywiście.

– Potrzebujemy pomocy przy kopaniu grobów dla tych, którzy stracili życie podczas powodzi. Jest już kilku mężczyzn, ale to za mało.

Czuję zmęczenie, zbieram jednak w sobie wszystkie siły, żeby tylko Walter nie zauważył, co naprawdę myślę o tej prośbie. Czy zauważył, że aż się wzdrygnąłem?

– Poproszę łopatę. Pokaż mi, gdzie mam iść.

I chociaż wyraziłem zgodę, czuję, jak ściska mnie w żołądku.

Walter prowadzi mnie do starszych kobiet, gdzie wypijam herbatę i zjadam niewielką ilość jakiejś papki. Myślami jestem daleko – i to zarówno w sensie dosłownym, jak i w przenośni – przy mojej porannej kawie ze Starbucksa i orzechowych babeczkach z syropem klonowym.

Walter rzuca mi spojrzenie pełne współczucia i wręcza łopatę. Na niego czeka całe mnóstwo innych spraw. Szybkim ruchem ręki wskazuje kierunek, w którym mam się udać. Schodzę nad brzeg rzeki, gdzie znajduje się już rząd świeżo wykopanych grobów. Tuż obok nich ułożone jedno przy drugim, leżą ciała zmarłych.

Na pochówek czeka około trzysta ciał. Zaczynam zastanawiać się, czy w ogóle wolno grzebać zmarłych tuż przy rzece. Jednakże już wcześniej tu chowano. Właśnie zrobiono dla mnie miejsce w szeregu, mężczyzna obok podnosi wzrok i wita mnie szybkim skinieniem głowy. Nie muszę o nic pytać. Wiem, co mam robić.

Łopata bardzo łatwo wchodzi w ziemię, niczym nóż tnący miękkie ser. Grunt jest wilgotny. Wbijam łopatę w ziemię i wyrzucam piach, wbijam i wyrzucam. Znajduję się obecnie w takim zakątku ziemi, gdzie jest tylko „tu i teraz”, a daną chwilą rządzi konkretna potrzeba. Wykonywaną pracą oddaję cześć zmarłym, a także żyjącym tu ludziom. Wydaje się to takie niewystarczające. Wchodzę w rytm pracy znajdujących się obok mężczyzn, chowających swoich synów, córki, matki i ojców. Chrząst wbijanych w piach szpadli tworzy przedziwną symfonię.

Chmury przysłaniają popołudniowe słońce, dając chwilowe wytchnienie od lejącego się z nieba żaru. Przerywam pracę po kilku godzinach kopania. Bolą mnie plecy... Jestem jednak zdziwiony tym, jak szybko zabliznia się moja rana. Gdybym teraz był w domu, leżałbym w łóżku i czekał na rosół z kury.

Postanawiam wrócić do punktu żywnościowego, odpocząć trochę i zamienić się z Gordonem. Wchodząc na wzgórze, zerkam za siebie: osiemdziesiąt starannie wykopanych grobów dla osiemdziesięciorga ciał. Ze wzgórza dostrzegam Gordona rozmawiającego z lekarzem. To ten sam ciemnoskóry amerykański lekarz ze szpitala.

– Cześć, Gordonie. Doktorze Smith, co u pana słychać?

– Pan Stuart, witam. To raczej ja powinienem zapytać, jak pan się miewa. Jak tam plecy?

– Dobrze.

– Proszę pokazać, jak to wygląda.

Podciągam podkoszulek i czuję, że przy okazji oderwał mi się kawałek strupa.

– Rzeczywiście. Wygląda to nadzwyczaj dobrze. Czy bierze pan antybiotyk, który panu przepisałem?

– Uhm... Tak, to znaczy nie. – Naprawdę nie miałem czasu o tym pomyśleć.

– Sugeruję jednak, żeby pan wziął. Chodzi o uniknięcie infekcji.

– Dobrze, doktorze.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Adanna

Do środka wpadają pierwsze promienie porannego słońca. Zbieram w sobie siły i wstaję z łóżka. Precious i Abu jeszcze słodko śpią. Wychodzę na dwór, na ścieżkę, którą wszędzie mogę dojść.

Jestem naprawdę bardzo zmęczona. Nie mogłam spać przez ten kaszel, chcę jednak poczuć poranne słońce na swoich plecach. Spacer ścieżką, którą każdego ranka chodziła mama, uspokaja mnie. Bardzo za nią tęsknię. Idę powoli, a przysłonięte chmurami słońce ogrzewa moje ramiona.

Moje nogi są bardzo słabe. Przypominają dwa kruche patyki. Zatrzymuję się więc, żeby usiąść na dużym kamieniu, na którym często siadałam, zapisując swoje myśli lub czekając na tatę. To było tak dawno. Nagle czuję, że nie mogę oddychać, boję się.

Czyjs cień pada na ścieżkę. Odwracam się i widzę jakiegoś nieznajomego. Idzie w moją stronę. Zatopiona we wspomnieniach, nawet go nie usłyszałam.

– Wyglądasz na zamyśloną. Mogę się przysiąść?

Zaskoczona, lecz nieprzerażona pozwalam mu usiąść obok.

– Skąd jesteś? – pytam.

Jego skóra jest ciemna, ale oczy mają kolor morskiego błękitu.

Przyglądając się uważnie jego twarzy, znowu pytam.

– Gdzie jest twój dom?

Mężczyzna śmieje się.

– Mój dom jest gdzie indziej – przerywa na chwilę. – Podobnie jak twój. – Jego głos brzmi jak kojąca muzyka.

– Nie – wyjaśniam. – Mój dom jest niedaleko. Trzeba pójść tą ścieżką. Urodziłam się tutaj, pod tym różanym drzewem. Od zawsze tu mieszkam.

– Adanno, to nie jest twój prawdziwy dom.

– Skąd znasz moje imię?

– Znam cię od dawna.

Ten człowiek jest naprawdę dziwny.

– Przysłał mnie Ktoś, kto zna cię bardzo dobrze.

Zastanawiam się, czy przypadkiem nie jest to przyjaciel pana Gordona lub pastora Waltera.

Wysoko nad naszymi głowami przelatuje stado gęsi, głośno krzyżąc. Zmierzają do jakiegoś ważnego miejsca. Tagoze powiedział mi kiedyś, że gęś, która leci z przodu, osłania inne przed wiatrem, żeby tamte mogły odpocząć. Och, jak bardzo mi go brakuje.

Zaczynam kasłać, mężczyzna kładzie dłoń na moim ramieniu. Kaszel natychmiast ustaje.

– Adanno, przychodzę, by powiedzieć ci, że zostałam tu posłana na taki właśnie czas, jak ten. I bardzo dobrze wykorzystałam swój dar do pomocy innym.

Jego słowa przypominają mi o kimś, kogo do końca nie potrafię sobie przypomnieć. Jestem taka zmęczona, taka słaba, że ledwie mogę utrzymać głowę. Mój oddech zatrzymuje się na chwilę i nagle wszystko rozumiem.

– Świetlista postać... – mówię. A On się uśmiecha.

– Skarbie, czas, żebyś wróciła do domu.

– A kto zajmie się Precious i Abu? – kolejne słowa przychodzą mi z coraz większym trudem.

– Ojciec wyznaczył już kogoś, kto się nimi zaopiekuje. Zostaną otoczeni miłością i troską. Kiwam głową i zamykam na chwilę oczy.

– Dziękuję – odpowiadam, lecz gdy otwieram oczy, już Go nie ma.

Chwiejąc się na nogach, wracam do domu i wczołguję się do łóżka. Precious i Abu wciąż śpią. Biorę *Fridę* i kładę się na boku, twarzą do ściany. Zaczynam pisać, z każdym jednak słowem ubywa mi sił.

Mam płytki oddech, rzezi mi w piersiach i świszczę, ale nie czuję już bólu. Moje ciało jest lekkie. Powieki stają się jednak coraz cięższe. Nie mogę otworzyć oczu.

– Adanno?

Znam ten głos, potężny jak szum wielkich wód. Otacza mnie znajomy zapach niczym słodka woń najpiękniejszych kwiatów. Widzę Go pomimo zamkniętych oczu – mężczyznę pełnego światła. Siadam, zdumiona siłą, którą mam. Kiedy On wyciąga dłoń, widzę zapisane na niej moje imię. „A” wygląda identycznie jak to, którym zawsze rozpoczynam swoje imię.

– Adanno, jesteś moją córką. Kocham cię, przynosisz mi ogromną radość.

Jego słowa trafiają wprost do mojego serca. Być kochaną jak prawdziwa córka – tak bardzo tego pragnęłam. Patrzę na Niego i widzę w Nim miłość. Z moich ust wychodzą słowa, których nigdy nie wypowiedziałam.

– Jesteś święty, Panie, Dawco wszelkich darów i Oblubieńcze mojej duszy.

Unosi mój podbródek. Patrzę teraz prosto w Jego oczy i wtedy ją widzę. Jej ciało, przyodziane we wspaniałą szatę, jaśniejącą blaskiem tysiąca słońc, jest takie piękne.

– Witaj w domu.

Biegnę w jej szeroko otwarte ramiona.

– Mama?

Rozdział trzydziesty

Wkrótce do doktora Smitha uformowała się dosyć pokaźna kolejka. Gordon stoi obok niego i pomaga jako tłumacz. Wygląda na trochę podenerwowanego. Wiem, o czym myśli. Chciałby być już przy Adannie, ale sumienie nie pozwala mu zostawić dzieci, które czekają na konsultację.

Stoję pod drzewem na obrzeżach punktu żywnościowego i piję wodę. Starsze kobiety zamiatają starannie teren miotłami z gałązek. Według mnie to daremny trud, lecz one robią to z wielkim zaangażowaniem i dokładnością.

Dzieci grają w piłkę nożną niedaleko grobów. Zupełnie surrealistyczny obraz, zabawa w sąsiedztwie śmierci oraz destrukcji. Któreś z nich kopnęło mocniej i piłka zakreśliła w powietrzu łagodny łuk, odpowiadający kształtom usypanych dalej kopców ziemi. Nie potrzebuję aparatu, żeby na zawsze zapamiętać ten obraz.

Postanawiam iść do Adanny – chcę powiedzieć jej o obecności doktora Smitha, że jest tutaj i może jej pomóc. Po drodze zatrzymuje mnie niezwykle widok – śliczne, drobne kwiatuszki o olśniewająco błękitnych płatkach i białych środkach. Odżywa we mnie jakaś dawno zapomniana tęsknota. Znam tę odmianę. Kiedyś babcia dużo opowiadała mi o kwiatach. To jedne z moich ulubionych: cebulka niebieska. Wyrastają zaledwie kilka centymetrów nad ziemię, okrywając ją niebieskim kobierczykiem. Wiem, że Adanna bardzo je lubi. Zrywam kilka i układam w mały bukiet.

Idę dalej ścieżką i dostrzegam dwie postacie, zbliżające się w moim kierunku. To Precious i Abu.

– Cześć! – krzyczę z daleka. Podbiegają do mnie, a ja pochylam się i mocno je przytulam.

– Gdzie wasza siostra?

– Odpoczywa – mówi Precious. – Chyba nie czuje się najlepiej.

– Idźcie do pastora Waltera. Tam jest bardzo miły lekarz i bada ludzi. Pan Gordon wkrótce przyprowdzi go do Adanny, żeby ją zbadał.

– Dobrze, proszę pana.

Patrzę za nimi, jak idą dalej ścieżką, trzymając się za ręce.

Chwilę potem jestem już przy chacie i pukam lekko do drzwi.

– Adanno? Nie śpisz?

Cisza. Tym razem pukam mocniej.

– Adanno? To ja, pan Stuart. Przyniosłem ci coś.

Zaglądam do środka, widzę, że Adanna leży w łóżku. Otwieram drzwi i powoli podchodzę do niej.

– Adanno?

Nie odpowiada. Kładę ostrożnie dłoń na jej ramieniu i lekko nią potrząsam. Czuję pod ręką chłód. Jej skóra jest zimna.

– Boże, nie! Tylko nie ona. Proszę, nie.

– Adanno... – powtarzam po raz kolejny. Na początku cicho, a potem głośniej. Nic, tylko cisza. Klękam i odwracam ją.

Ma zamknięte oczy, na jej twarzy maluje się spokój. Niezmacony spokój. Całuję jej zimne czoło, a potem biorę drobne ciało na ręce, mocno tuląc do piersi. I idę tak ścieżką prowadzącą do wioski. W pewnej chwili widzę Gordona, a za nim Precious i Abu. Podążają w moim kierunku. Kiedy zobaczył, że niosę Adannę na rękach, zaczyna biec. Czuję, że serce podchodzi mi do gardła, a kontury wszystkiego dookoła rozmywają się.

– Co się stało? Co jest Adannie?

Brakuje mi słów.

Podbiega do mnie, ostrożnie oddaję mu jej ciało.

– Nie... nie... – Gordon pada na kolana, jego słowa przechodzą w cichy szloch.

Tuli jej bezwładne ciało do piersi, a z jego duszy wyrywa się krzyk rozpacz. Nagle wstaje i zaczyna biec do wioski, ciało Adanny podskakuje w jego ramionach. Chcę biec za nim, ale nie mogę. Jestem cały odrętwiały, nie mogę ruszyć się z miejsca. Coś ponagla mnie, żebym wrócił do jej chaty. Wchodzę do środka, na podłodze leżą rozrzucone niebieskie kwiaty. I wtedy zauważam pamiętnik. Podnoszę go i otwieram na ostatniej zapisanej stronie. Pismo jest chwiejne i trochę niewyraźne, jakby napisała je drżąca ręka starszej kobiety. Zaczynam czytać.

Nieznajomy mężczyzna stanął na ścieżce.

Jego głos brzmiał jak muzyka,

jak głos przyjaciela. Powiedział, że to nie jest mój dom.

Nie bałam się.

To do Ciebie przychodziłam dniami i nocami,

wypowiadając tęsknoty mojego serca.

Mój smutek i radość.

Mężczyzna z błękitnymi jak niebo oczami

mówi, że zakończyłam moje zadanie.

Mogę już odejść, Ojciec wyznaczył kogoś,

kto zajmie się Precious i Abu. Tak bardzo będę za nimi tęsknić.

Mój oddech zwalnia, ciało robi się lekkie jak powietrze.

Dzisiaj pójdę do domu moich przodków.

Mojego prawdziwego domu.

Już się nie boję.

Wkładam pamiętnik do tylnej kieszeni spodni i wychodzę na zewnątrz. Czuję się dziwnie pusty w środku, obojętny, niezdolny do jakichkolwiek uczuć. Zerkam w kierunku stojącego nieopodal chaty drzewa i zauważam łopatę. Tę samą łopatę, którą wcześniej kopałem groby. Nie pamiętam nawet, że zabrałem ją z sobą. I wtedy coś we mnie pęka. Płacę jak nigdy dotąd. A potem zaczynam kopać.

Jakiś czas później ścieżką idzie procesja. Walter przewodzi temu uroczystemu marszowi. Trzyma Precious za rękę, a jego żona niesie śpiącego Abu. Gordon idzie razem z lekarzem. Mężczyzna jest wyraźnie zagubiony. Przypomina aktora, który znalazł się na niewłaściwym planie filmowym. Niosą ciało Adanny na prowizorycznych noszach. Inni idą kilka kroków za nimi. Jest dziwnie cicho.

Precious podchodzi do wykopanego dołu i zagląda do środka. Walter patrzy na mnie, kiwa głową. Głęboki smutek maluje się na jego twarzy. Napotykam na wzrok Gordona, w jego oczach widać żal nie tylko po stracie Adanny, lecz także i tych, którzy odeszli wcześniej. W takich chwilach słowa są zbędne.

Ciało Adanny zostaje położone obok grobu. Kilka kobiet zaczyna płakać. Precious dołącza do nich, jej zawodzenie budzi Abu. Rozgląda się wokół nieco zdezorientowany, a potem także on przyłącza się do żałobnego płaczu.

Słońce zniża się za horyzont, jego ostatnie promienie rozświetlają niebo niezwykle kolorami.

Walter otwiera swoją Biblię, jej czarne okładki są już mocno poprzecierane, nie patrzy jednak na tekst. Nie musi.

– „Usłyszałem też z nieba głos, który mówił: «Napisz: Odtąd szczęśliwi są umarli, którzy umierali w Panu. Tak – mówi Duch niech odpoczną od swoich trudów, bo ich czyny im towarzyszą»” (Ap 14,13).

Ciało Adanny złożono w grobie, każdy z zebranych rzuca w dół garść ziemi. Z głębokim smutkiem biorę łopatę i zakopuję dół, oddając jej ciało ziemi, po której codziennie chodziła. Ciało, w którym mieszkała najpiękniejsza z dusz.

Zapada zmrok, odchodzę od grobu jako ostatni. Wchodzę jeszcze do chaty i zbieram rozrzucone niebieskie kwiatki. Kładę je na świeżym kopcu ziemi i szepczę cichą modlitwę:

– Boże, zaopiekuj się nią. To jedno z najlepszych Twoich dzieci.

Rozdział trzydziesty pierwszy

To nasza kolejna noc spędzana u Waltera. Nie śpimy jednak w kościele, tylko siedzimy, milcząc pod drzewem aż do porannej herbaty. Gordon jest u kresu sił. Nie wiem, czy to pomoże, czy jeszcze bardziej go zrani, lecz postanawiam dać mu należący do Adanny pamiętnik.

Sięgam do tylnej kieszeni i wręczam mu go. Otwiera pamiętnik i czyta, a wyraz jego twarzy powoli się zmienia. Już nie wydaje się taki smutny.

– Dziękuję. – Wyciąga rękę i ściska moje ramię.

Walter rozmawia ze starszymi kobietami. Nie wiem, jak to możliwe, ale okazuje się, że są jeszcze zapasy jedzenia, nie tylko na dzisiaj, lecz być może na kolejne dwa, a nawet trzy dni. Byliśmy przekonani, że jedzenie skończy się wczoraj wieczorem.

Grupka dzieci krzyczy coś po suazyjsku i wskazuje na drogę.

– Gordonie, co to takiego?

– To znaczy?

– Spójrz na drogę.

Podchodzimy z Gordonem do radośnie podskakujących chłopców. W naszą stronę zbliża się kawalkada samochodów, a tłum ciekawskich robi się coraz gęstszy.

Walter dołącza do tłumu i spogląda z zaciekawieniem w tamtym kierunku.

– Pastorze, kto to może być?

– Nie mam pojęcia.

– A te flagi na samochodach?

– To samochody króla! Chyba przysłała nam swoich wysłanników. Bogu niech będą dzięki!

Zebranych ogarnia radość, zaczynają tańczyć i to tańczyć w błocie. Po twarzach starszych kobiet płyną łzy, obejmują jedna drugą i obracają się niczym zwinne baleriny. Mężczyźni tupią nogami i podskakują jak koniki polne, przypomina to jakiś prastary taniec.

Czarne limuzyny i mercedes zatrzymują się obok nas, wysiadają z niego dwaj wysocy mężczyźni i zajmują miejsca przy drzwiach. Dołącza do nich dwóch kolejnych mężczyzn.

Jeden z nich otwiera drzwi limuzyny, po czym pochyla głowę, gdy wychodzi z niej mężczyzna odziany w iście królewską szatę o intensywnym czerwonym kolorze, z domieszką czarnego. Ludzie natychmiast padają na kolana i zniżają czoła ku ziemi. To nie są królewscy wysłannicy, to sam król, władca Suazi.

– Witajcie, bracia i siostry! Przynoszę wam najgorętsze pozdrowienia od Jej Królewskiej Mości oraz całego ludu Suazi. Jestem tu, by przekazać wam wiadomość.

Ludzie powoli wstają z kolan.

– Bardzo ucierpieliście z powodu tej powoda. Wszystko, co wypracowaliście, zostało zmyte. Jednakże ja, wasz król, jestem tu, żeby się o was zatroszczyć i pocieszyć tych, którzy są w żałobie.

Wokół panuje głęboka cisza, co jakiś czas przerywana głośnym szlochem niektórych, podczas gdy inni stoją niczym zahipnotyzowani.

– Społeczność międzynarodowa śle nam pomoc na niebywałą wręcz skalę – przerywa na chwilę dla lepszego efektu. – Słyszeli o waszej trudnej sytuacji – kolejna przerwa – i widzieli wasze zdjęcia, czytali o waszych zmaganiach... Jest im bardzo przykro z powodu waszych zmarłych. Już nie będziecie głodować i nie będzie brakować wam wody. W naszym kierunku

jadą samochody pełne wody, jedzenia, lekarstw i ubrań. Wszelkie wasze potrzeby zostaną zaspokojone. Daję wam moje słowo.

Ciszę przerywają głośne wiwaty. Tak głośne, iż wydaje się, że słyszy je cała Afryka.

– Przyjechałem tu także po to, by oddać cześć komuś, kto stał się bohaterem Suazi. Wszyscy jesteśmy jej dłużnikami. To właśnie z jej powodu społeczność międzynarodowa przychodzi nam z pomocą w czasie tej ogromnej próby. Gdzie jest dziewczynka o imieniu Adanna?

Wiwaty i oklaski cichną tak nagle, jak się zaczęły. Ludzie wymieniają spojrzenia.

– Gdzie jest Adanna? – powtarza król. – Dzisiaj to dziecko jest najślawniejsze w naszym kraju, a być może i na świecie. – Podnosi gazetę, a zebrani rozpoznają na zdjęciu twarz Adanny i wydają zbiorowy okrzyk zachwytu. Niektóre z kobiet zaczynają płakać.

– Wasza Wysokość, proszę wybaczyć – wtrącam.

Mężczyzna spogląda na mnie z nieskrywaną ciekawością.

– Tak, mój przyjacielu. Podejdź bliżej. Czy wiesz, gdzie ona jest?

– To ja zrobiłem to zdjęcie.

Wyraz twarzy króla zmienia się, wyciąga do mnie rękę.

– Wasza Wysokość, nie ma tu Adanny. Mogę pokazać, gdzie spoczywa. – Macham na Gordona, żeby stanął obok mnie. Król ruchem ręki przywołuje do siebie dwóch ochroniarzy. – To niedaleko.

Mężczyzna kiwa głową i idzie za nami. Wraz z Gordonem opowiadamy mu historię Adanny, kierując się w stronę grobu, którego nie spodziewał się zobaczyć.

Rozdział trzydziesty drugi

Nowy Jork, 2008

Drzewa w Central Parku wyglądają tak, jakby płonęły, mieniąc się ciepłymi barwami w blasku słońca, które przegania chłód jesiennego poranka. Czynyś za nasze nowe mieszkanie jest niezwykle wysoki, ale widoki z balkonu są tego warte. Teraz gdy oprócz fotografii zająłem się także wygłaszaniem prelekcji, stać nas na to. Wciąż dużo podróżuję, ale głównie po Stanach, opowiadając o moich zdjęciach, pracy oraz epidemii HIV na świecie. Wangari włącza mnie w działania swojego zespołu, gdy podróżuje, szukając wsparcia dla swojego kraju. Uważam, że tworzymy zgraną drużynę.

Trzymam właśnie w ręku kartkę, która nadspodziewanie mnie wzruszyła. Wykonano ją ręcznie, jej autorką jest pięcioletnia dziewczynka z dalekiego kraju. Widnieje na niej staranny różowy napis: *Gratulacje*. To bardzo staranna praca. Prawdopodobnie pięknej córeczki Gordona – najwyraźniej jednak pod jego okiem.

Z pokoju obok dociera znajomy płacz. Nie zdziwiłbym się, gdyby usłyszeli go także ludzie z sąsiedniego apartamentu. Jestem pewny, że rozpoznałbym ten płacz nawet w parku, w najgłębszym śnie czy też otoczony rozgadany tłumem.

Szybkim krokiem przemierzam niewielki przedpokój, jesiennie powietrze miesza się teraz z zapachem świeżej farby. Podchodzę do łóżeczka i wydaję z niego moją córeczkę. Przy jej małym ciałku moje dłonie przypominają ręce olbrzyma. I chociaż po porodzie ważyła niespełna dwa tysiące czterysta gramów, jest największym darem, jaki kiedykolwiek otrzymałem.

– Chodź do tatusia, moja maleńka.

Do pokoju dziecinnego wchodzi teraz także Whitney.

– Miałaś odpoczywać – mówię.

– Dobrze się czuję. Mała jest już chyba głodna.

Długie włosy Whitney są spięte w niestaranny kok. Ma na sobie ten sam błękitny dres, co wczoraj i przedwczoraj. Nigdy jednak nie wyglądała pięknie.

Podaję jej małą.

– Chyba czas na lancz, Danno.

Whitney siada z nią na bujanym fotelu.

– Whit, chciałbym coś ci pokazać. – Biorę do ręki kartkę i dołączony do niej nierozpakowany jeszcze prezent.

Whitney czyta kartkę:

*Niech Bóg błogosławi Waszą Adannę i obdarzy ją darem słowa,
żeby mogła Go uwielbiać i uczcić pamięć swojej imienniczki.*

*Z wyrazami miłości,
Gordon, Precious i Abu*

Rozpakowuję prezent. To piękny pamiętnik, czysty, czekający na słowa. Jest także zdjęcie. Precious ma na sobie jasnożółtą sukienkę, a Abu bawełniane spodnie i czerwoną koszulę. Gordon natomiast, cóż, jak to Gordon. Jedzą lody i śmieją się. Whitney otwiera pamiętnik i czyta dedykację:

I te łzy,

*potokiem spływające po uniesionej twarzy,
w końcu nową rzeczywistość wyraźnie ukaza, słońce i gwiazdy.*

– Piękne słowa.

– Taka sama dedykacja była w pamiętniku Adanny. To z wiersza *Łzy*, napisanego przez sławną poetkę dawno temu. Adanna wspomniała o tym wierszu w swoim pamiętniku. Pisała, że smutek jest częścią życia, lecz gdy wznosimy oczy ku Bogu, łzy oczyszczają nasz wzrok.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że życie i śmierć pewnej dziewczynki zwróciły moją twarz ku niebu, ku Bogu. Teraz wyraźnie widzę mój cel. To prawda, że jest jeszcze mnóstwo tajemnic i spraw, których nie rozumiem do końca. Lecz wiem jedno: Bóg jest życiem i dawcą życia.

Zauważam łzy w oczach Whitney. Klękam obok niej i przyglądam się naszej małej córce. Ma moje usta i nos, a oczy Whitney.

– Wiesz, Stuarcie, wybraliśmy dla niej odpowiednie imię.

– Uważam, że to ono zostało dla nas wybrane.

Adanna. Córka ojca.

Posłowie

I coś jeszcze...

Kiedy kończy się piękny koncert,
orkiestra może zagrać na bis.
Kiedy kończymy wspaniałe danie,
zawsze miło jest uwieńczyć je deserem.
I kiedy dobiega końca niezwykła historia,
czytelnik pragnie zostać przy niej jeszcze chwilę.
Wychodzimy mu zatem naprzeciw.

Posłowie – to coś, co oferujemy Wam,
gdy kończycie naszą powieść.
Zapraszamy do zostania z nami jeszcze przez chwilę.
Dziękujemy za przeczytanie!

Prosimy przewrócić stronę na:

- ◆ Pytania do dyskusji
- ◆ Wywiad z Autorem

Pytania do dyskusji

Użyj tych pytań do dyskusji w grupie na temat książki Adanna lub po prostu spójrz na tę historię z nowej perspektywy.

1. Co czujesz, czytając początek historii? Czy łatwo było to czytać? Dlaczego tak lub dlaczego nie?
2. W jaki sposób identyfikujesz się ze Stuartem? Z Adanną?
3. Czy ta historia stała się dla ciebie inspiracją? Wyzwaniem?
4. Które z przedstawionych tu postaci zasmuciły cię lub zdenerwowały?
5. Chociaż mamy tu do czynienia z fikcją, powieść opiera się na prawdziwych doświadczeniach. W jaki sposób fakt, że historia Adanny nie odbiega od konkretnej rzeczywistości, wpływa na to, co wyniosłeś z tej powieści?
6. Jaką znaczącą rolę w tej powieści odgrywa Tagoze?
7. W jaki sposób poszczególni bohaterowie dojrzewają i zmieniają się wraz z przedstawioną tu akcją?
8. Jak zareagowałeś na zakończenie?
9. W jaki sposób Stuart użył darów, które otrzymał, by przemieniać rzeczywistość?
10. Czy ta powieść cię zmieniła? Jeśli tak, to w jakim sensie? W jaki konkretny sposób możesz wpłynąć na los takich dzieci jak Adanna?

Wywiad z Autorem

Zacznijmy od najważniejszego pytania: Co zainspirowało Cię do napisania tej powieści?

Historia Adanny przedstawiona w książce częściowo jest oparta na faktach. Podczas mojej pierwszej podróży do Afryki nieustannie spotykałem dzieci, które doświadczyły ogromu niewyobrażalnego wręcz cierpienia. Pośród nich była mała dziewczynka, którą poznałem w sierocińcu na obrzeżach stolicy Suazi. Nigdy nie widziałem tak pięknej i niewinnej twarzy. Była szczęśliwa i pełna radości. Dyrektor ośrodka opowiedział mi jej historię. Wyjaśnił, że doznała wielkiej przemocy. Na początku nawet oni sami nie zdawali sobie sprawy, jak potwornie wyglądało jej życie.

Zabrali ją ze sobą i pokochali jak własne dziecko. Była bardzo zaniedbana, brudna od palców po czubek głowy. Jej podarte ubrania wisiały na niej niczym szmaty. Całe ciało miała pokryte sińcami i ranami, po tym jak okładano ją pięściami i kijem. Pierwszego dnia, gdy ją przywieziono, wszystkie dzieci jak zawsze zebrały się na dziedzińcu, żeby się wspólnie pobawić. Dziewczynka nie mogła powstrzymać moczu i doszło do przykrego epizodu na oczach wszystkich. Początkowo wychowawcy sądzili, że nie nauczono jej korzystać z toalety. Niestety dzień w dzień historia się powtarzała. Zabrano ją do lekarza i okazało się, że była wykorzystywana w stopniu, jaki trudno nawet sobie wyobrazić.

Kiedy jej rodzice umarli na AIDS, wziął ją na wychowanie jakiś daleki krewny. Traktował ją jak niewolnicę, zmuszając do piętnastogodzinnej pracy. Ponadto sprzedawał jej ciało mężczyznom z okolicy za pieniądze na alkohol, a potem sam ją gwałcił. Stąd problemy z utrzymaniem moczu.

Niestety wiele razy słyszałem podobne historie. To było więcej, niż potrafiłem znieść. Wciąż nie potrafię o tym zapomnieć.

Zrozumiałem, że muszę działać i opowiedzieć historie tych dzieci. Mam nadzieję, że ludzie po przeczytaniu *Adanny* wzruszą się i także poczują się zobowiązani do niesienia im pomocy.

Którzy jeszcze z bohaterów czy opisanych sytuacji mają swoje odbicie w rzeczywistości? Skąd pochodzą? Oczywiście, jeśli nie chcesz, nie musisz nam zdradzać szczegółów.

Prawie każda postać z mojej książki związana jest z tym, czego rzeczywiście doświadczyłem w Afryce. Na przykład pastor Walter jest jednym z najbardziej podziwianych przeze mnie ludzi, jakich spotkałem w Suazi. Wybudował tam kościół i troszczy się o setki sierot w swojej parafii.

Wiem, że były takie sytuacje, gdy pastor żywił mnóstwo sierot, a tymczasem jego dzieci chodziły głodne. To niezwykły człowiek. Jego wiara w Opatrzność Bożą przerasta moją wiarę w bardzo wielu obszarach. Dzieli się z innymi, chociaż sam jest bardzo ubogi, podczas gdy ja z trudem zdobywam się na to, by podzielić się tym, czego mi zbywa. Opowiedział mi, jak został powołany do zaopiekowania się wszystkimi sierotami z wioski. Wyznał, że w jego uszach nieustannie pobrzmiwały słowa z Listu św. Jakuba 1, 27: „Człowiekiem religijnym i nieskazitelnie czystym przed Bogiem Ojcem jest ten, kto sierotom i wdowom przychodzi z pomocą w ich utrapieniu”. Zawołał więc do Pana: „Boże, przecież wiesz, że jestem biedny. Przyślij mi zatem bogatych ludzi, aby mnie wspomogli”. Odpowiedź Boga była natychmiastowa: „Posłuchaj, synu, włóż rękę do kieszeni i daj im, podobnie jak ja dałem

tobie”. I tak też uczynił Walter. Obecnie troszczy się o tysiąc sierot w ośmiu różnych ośrodkach. Jest dla mnie prawdziwą inspiracją.

Niektóre z opisanych wydarzeń są prawdziwe. Na przykład historia o organizacji, która udawała, że pomaga ofiarom powodzi. Biedni z Afryki są wykorzystywani na mnóstwo sposobów – kolejny powód, dla którego ludzie pragnący nieść autentyczną pomoc powinni się zaangażować, dotrzymać słowa i pokazać im, jak wygląda prawdziwa miłość bliźniego.

To oczywiste, że tematy, które poruszasz w „Adannie”, bardzo leżą Ci na sercu. Skąd takie zainteresowanie?

Uważam, że każdy powinien dowiedzieć się o cierpieniu afrykańskich dzieci. Jest ono definicją niesprawiedliwości, która nie powinna mieć miejsca w XXI wieku. Wiem, że trudno tego słuchać. Przecież nikt nie lubi czuć się bezsilnym lub winnym, myśląc o tego typu sytuacjach. Zapewniam, że nie jest to moją intencją, ale tak wygląda rzeczywistość.

Pragnę jedynie uświadomić ludziom, jak niezwykle łatwo jest zmienić los takiego dziecka. Zaledwie pięć dolarów to kwestia życia lub śmierci. Taka kwota oznacza lekarstwo na malarię ratujące życie, sto posiłków lub moskitierę.

Jestem głęboko przekonany, że ludzie Zachodu nie tylko mogą, ale także powinni zrobić coś, aby pomóc dzieciom dotkniętym skrajną biedą. Królestwo Boże przychodzi, gdy wierzący zajmują się takimi problemami i kierowani miłością zmieniają rzeczywistość. To my jesteśmy odpowiedzią i dlatego musimy działać.

To Twoja pierwsza powieść. Opisz nam proces jej powstawania. Czego się nauczyłeś?

Wyczerpujący – tak opisałbym cały ten proces. Jak dotąd napisałem trzy książki z zakresu literatury faktu, co przyszło mi znacznie łatwiej. Literatura faktu wydaje mi się bardziej spójna i logiczna, a u mnie dominuje lewa półkula mózgu. Pisanie powieści to już zupełnie inny proces. Zapłaciłem wysoką cenę za lata nieuwagi w szkole średniej i college’u podczas zajęć z literatury angielskiej oraz gramatyki. Musiałem nadrobić te zaległości w bardzo krótkim czasie.

Powieść jest niczym gobelin. Każda scena, każdy rozdział, każde słowo muszą utworzyć całość. I wszystko, naprawdę wszystko musi być opisane. W literaturze faktu nie ma takiej potrzeby.

Nauczyłem się, że wszystko jest możliwe, jeśli włożymy w to całe serce, umysł i duszę. Trudno w to uwierzyć, ale przychodziły chwile zwątpienia, gdy traciłem pewność, czy w ogóle uda mi się to dokończyć. Były takie dni, kiedy wszystko, co napisałem, nie miało dla mnie sensu; noce, gdy nic mi nie wychodziło, oraz tygodnie, podczas których nie napisałem ani słowa z powodu zbyt napiętego harmonogramu. Najprawdopodobniej zapisałem około tysiąca stron, żeby stworzyć owe trzysta.

W całym procesie twórczym służyły mi pomocą takie osoby, jak Lisa Samson, Claudia Mair Burney, Moira Allaby oraz Steve Parolini. To im zawdzięczam ostateczny kształt powieści, szlify, które wygładziły różne nierówności.

Na koniec chciałbym podkreślić, że jestem zadowolony z zakończenia powieści. To trudna historia. Chodzi jednak o to, że kieruje uwagę czytelnika na prawdziwy sens życia i mówi nam, gdzie powinniśmy złożyć swoją nadzieję bez względu na to, w jakim kraju przyszło nam żyć.

Jakie są różnice pomiędzy Twoją pierwszą wersją a tą, która została opublikowana?

Jest kilka istotnych różnic. Pierwszą z nich był charakter Stuarta. Początkowo miał być człowiekiem znacznie bardziej skupionym na sobie, raczej niesympatycznym. Nie zrozum

mnie źle, bo przecież wciąż ma wiele problemów, które musi „przepracować” w pierwszej połowie książki.

Tę postać zainspirował fotoreporter Kevin Carter. Być może jego nazwisko niewiele mówi, ale mnóstwo ludzi zna zdjęcie, które zrobił. Chodzi o małą Sudankę, która przewróciła się w drodze do punktu żywnościowego. Była bardzo wychudzona i całkowicie wyczerpana z głodu. W tle można zobaczyć dobrze odżywnionego sępa, czekającego na jej śmierć. To przerażające, tym bardziej że pan Carter stał się sławny dzięki temu zdjęciu i został uhonorowany Nagrodą Pulitzera. Jednakże sława, która przysłała wraz z owym ujęciem, oraz wiele niewyobrażalnych obrazów zła i cierpienia, które uchwycił jego obiektyw, stały się ciężarem ponad siły fotoreportera. Szesnaście miesięcy po tym, jak zrobił to zdjęcie, popełnił samobójstwo. A oto kilka zdań z jego pożegnalnego listu:

Jestem zrozpaczony... Bez telefonu, bez pieniędzy na mieszkanie, na alimenty, na spłatę długów... Prześladowają mnie żywe wspomnienia scen śmierci, martwych ciał, gniewu i cierpienia, głodnych i poranionych dzieci, szaleńców zbyt szybko chwytających za broń, często policjantów, a także katów...

Stuart zmierzał w tym samym kierunku co Kevin, lecz spotkanie Adanny go odmieniło. Przechodzi przemianę, która sprawia, że zaczyna inaczej patrzeć na życie, dzięki czemu staje się nowym człowiekiem.

Zmieniłem także nieco los samej Adanny. Nie jest aż tak przerażający, jak tamtej dziewczynki. Niestety to, co ją spotkało, to rzeczywistość, której doświadczają miliony dzieci. To rodzaj współczesnej niesprawiedliwości. Nie mogłem jej tego zrobić, nie dałem rady. Napisałem scenę, w której sprzedaje swoje ciało za bochenek chleba, żeby nakarmić brata i siostrę, ale usunąłem ją.

Zakończenie również jest zupełnie inne niż początkowo. Zmieniałem je ze trzy razy. W pierwszej wersji Adanna nie umiera. Staje się sławna dzięki swoim wierszom i podróżuje po Afryce, głosząc wykłady o AIDS oraz wykorzystywaniu dzieci. Tak, to byłoby podnoszące na duchu, ale nieprawdziwe. Obecne zakończenie jest bardziej odpowiednie. Pasuje do całości. Jest bolesne, ale prawdziwsze.

W nieco przebiegły (i delikatny zarazem) sposób zamieściłeś w powieści wzmiankę o Children’s HopeChest. Opowiedz nam więcej o tej organizacji oraz o roli, jaką w niej odgrywasz.

(śmiech) Przyznaję, że to było przebiegłe z mojej strony. Childrens HopeChest bez cienia wątpliwości jest moją pasją. Właśnie tym pragnę się zajmować przez resztę życia. Ta organizacja ratuje życie bardzo wielu wdowom i sierotom na całym świecie. Dążymy do tego, aby wszyscy mogli zaangażować się w życie najuboższych. Pragniemy, aby słowa z Listu św. Jakuba, o których już wspomniałem, stały się rzeczywistością: „Człowiekiem religijnym i nieskazitelnie czystym przed Bogiem Ojcem jest ten, kto sierotom i wdowom przychodzi z pomocą w ich utrapieniu”. Dlatego troszczymy się o ich potrzeby: fizyczne, edukacyjne, medyczne, stomatologiczne, emocjonalne i duchowe. Jest to całościowy, długoterminowy i praktyczny program objęcia troską sierot. Naszym celem jest niesienie miłości i opieki sierotom oraz wdowom, tak aby potem mogły stać się liderami w swoich społecznościach. To będą pokolenia, które wyprowadzą swój kraj z biedy, śmierci i rozpacz. Wierzymy w to.

Chcielibyśmy zjednoczyć wszystkich, którzy pragną oddać swoje serca tego rodzaju posłudze, tak aby odmieniło to ich życie oraz życie wdów i sierot, z którymi się spotkają. Jeśli jesteście tym zainteresowani, wejdźcie na stronę www.hopechest.org i napiszcie do mnie maila lub zadzwońcie.

Jak Twoim zdaniem wpłynie na czytelników spędzenie odrobiny czasu w świecie Adanny?

Mam nadzieję, że przykład życia Adanny spowoduje, że sytuacja sierot wzbudzi czytelników do tego stopnia, że poczują się przynaglani do działania. Pomagając ubogim naszego świata, odkryłem pewną zaskakującą prawdę. To my – ty i ja możemy odmienić los sierot i wdów, gdy chodzi o kwestię ich życia lub śmierci. Naprawdę! Jak już powiedziałem, pięć dolarów to cena lekarstwa ratującego życie, to suma, za którą można przez rok zaopatrywać czyjś dom w wodę pitną lub wykupić sto posiłków dla głodujących sierot w Afryce. Każdy czytelnik może to zrobić.

Uważam również, że chodzenie w czyichś butach ma uzdrawiającą moc, a ta powieść stwarza taką możliwość. To przerażające doświadczenie spojrzeć na Afrykę oczami żyjącego tam osieroconego dziecka. Nie mogę powstrzymać się od pytania: A gdybym to był ja lub moje dzieci? A jeśli to my urodzilibyśmy się w takim miejscu? Tu nie chodzi o to, by dziękować za to, że urodziliśmy się w Ameryce. Rzecz w tym, żeby wczuć się w czyjeś cierpienie i starać się zmienić tę sytuację.

Głęboko wierzę w to, że Bóg dał nam już odpowiedź na pytanie, jak rozwiązać najbardziej palące problemy naszego świata.

Tą odpowiedzią są ludzie tacy jak my. Uczyn więc krok i pomóż choćby jednej osobie, a to na zawsze odmieni twoje życie.

W jaki zatem praktyczny sposób czytelnicy mogą wpłynąć na sytuację w Afryce?

Za każdym razem, gdy rozmawiam z sierotami w Afryce, okazuje się, że ich pierwszą potrzebą jest edukacja, a nie woda czy jedzenie. Dlaczego? Ponieważ, jak mówią, bez szkoły umrą. Dzięki naszej stronie: www.scaredthebook.com możecie dołączyć do grona tych, którzy pomogą im spełnić marzenie życia. To znaczy opłacić pełną edukację – szkoła podstawowa, średnia, a nawet college i studia. Przeprowadzamy zbiórkę miliona dolarów, który zostanie przekazany na fundusz edukacyjny wspomagający tysiące sierot (www.orphaneducationfund.org).

Drugim ze sposobów jest zaangażowanie się w zorganizowanie stu posiłków dla sierot w Afryce. Wystarczy, że wejdziecie na stronę www.5for50.com. Znajdziecie tam pięć praktycznych kroków, które pomogą wam naprawdę odmienić życie najbiedniejszych. Jako podziękowanie przyślemy wam darmową bransoletkę.

Możecie również przeczytać moją książkę pt. *Red letters: Living a faith that bleeds* i zapoznać się z problemem, aby następnie przyczynić się do zmiany czyjś losu.

Kolejnym dobrym źródłem jest mój blog: www.cthomasdavis.com. Zamieściłem tam wiele linków, historii oraz sposobów, które pomogą wam wyruszyć w niezwykłą podróż.

I jeszcze jedno, ale nie mniej ważne, wejdźcie na stronę Children's HopeChest: www.hopechest.org. Możecie zostać sponsorem jednego dziecka, zapisać się na wyjazd lub dowiedzieć się więcej na temat możliwości pomocy.

Czy masz w planach inne powieści?

Adanna jest pierwszym tytułem w serii, którą piszę. W następnej części Stuart Daniels wyjedzie do Rosji, gdzie zetknie się z najbardziej przerażającym i potwornym biznesem na tej ziemi – niewolnictwem seksualnym dzieci. Będzie to thriller trzymający w napięciu od pierwszego rozdziału. Zanurzymy się w historii i kulturze tego kraju, będzie mowa o niebezpiecznej konfrontacji z mafią w celu uwolnienia dziewczynek, będących seksualnymi niewolnicami. Stuart zostanie poddany trudnym próbom. Będzie ukrywał się w sierocińcu i pozna niezwykle utalentowanego chłopca.

Pracuję również nad książką, która nie jest powieścią. Koncentruję się w niej na temacie pierwszych chrześcijan, na tym, jak wyglądało ich życie. Poprzez wszystkie swoje działania oddawali cześć Bogu. Chciałbym, żebyśmy i my tak czynili. Bardzo się cieszę z tych

projektów. Zapraszam do odwiedzania moich stron, gdzie znajdziecie więcej informacji oraz filmy z Afryki i Rosji, które stały się inspiracją dla moich książek.